

KAZIMIERZ HR. WODZICKI

CZŁONEK AKADEMII LUGDUŃSKIEJ,
TOW. PRZYRODNIKÓW JSIS, CENTRALNEGO TOW. ORNITOLOGÓW NIEMIECKICH
I TOW. LEKARZY I PRZYRODNIKÓW POLSKICH.



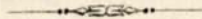
ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

— x —

II.

JASKÓŁKA.

Wydanie WYDANIE DRUGIE POPRAWNE. *Wydanie*



W KRAKOWIE,

NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU”
pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego.

1878.

93697



222653/2

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

O JASKÓŁKACH.

I.

Po rozumnym bocianie czyż mogę o czém inném pisać, jak o jaskółce, tej zwiastunce wiosny, lubéj, miłéj, a tak nas kochającej ptaszynie, która bez człowieka żyć nie może i ustawicznie go odwiedza, mimo doznanych dowodów okrucieństwa, pod pozorem żartów, wprawy do strzelania zręcznego. Tłumu unika, bo tłum nie towarzystwo; zgiełku unika a garnie się do mieszkania spokojnych, pracowitych rodzin. Gdzie tylko człowiek osiadł, czy na umiarkowanej północy lub południu, czy na wschodzie i zachodzie, wszędzie mu śpiewa latem jaskółka, wszędzie go bawi swą powietrzną gimnastyką, a gdy w jesieni zacznie się w stada gromadzić, każdemu zimno a w duszy smutno, bo świat bez igrających jaskółek, zaiste, martwy obraz przedstawia. — Jaskółka, to nasza lokatorka, pod strzechą jak pod gątem, w kominie i przysionku, w stajni, w owczarni, wszędzie jéj pełno; wdzięczni jéj być powinniśmy, bo

/264710

bez téj dobroczynnej ptaszyny niktby przed miriadami owadów nie wytrzymał, wypłaca ona sownie czynsz za mieszkanie. Ściele gniazdo, że je ręką dostać można, powierza nam pisklęta, do nas się garnie, nuci nam miłosne śpiewki, bawi nas swym lotem, a nikomu się nie naprzykrzy, dlatego wszyscy ludzie z czuciem pokochali ją serdecznie i na zawsze; ona zdobyła nasze serca i wszystkich wieszczów, od Wirgiliusza do najnowszych poetów, każdy ją zauważał, każdy ją śpiewał, każdy jęj miał słów kilka życzliwych powiedzieć; jaskółka z całej przyrody jedna nie zna nieprzyjaciół, uciekłszy pod skrzydła króla przyrody: człowieka, ufa jemu i nie przypuszcza, że może posunąć niewdzięczność do płacenia okrucieństwem za dobrodziejstwa. Zostawmy jęj to przekonanie, może się człowiek poprawi, a my kochajmy ten typ lotnego żyjątko, bo ona nas kocha, bo ona nas broni od nieznośnych komarów, niecierpliwących much i innych szkodliwych owadów, bo narzeczcie my naród gościnności, a ona bezbronna nam się oddała.

Gdy św. Franciszek Salezysus kazał przed kościołem, tak głośno szczebiotały na gźémsie siedzące jaskółki, że słowa mowcy zagłuszały; odezwał się kapłan: *Ciszéj, siostry Jaskółki; pozwólcie, aby mnie słyszano.* Gdy to przeczytałem, ucieszyło mnie to słowo słodczy, bo istotnie one niemal do naszych rodzin należą, poeci zowią je przyjaciółkami lub towarzyszkami, wszystkim zatem miłe te ptaszyny; więc się nie dziwcie, że ja ich życie wam opiszę, opiszę dobrodziejstwa, jakie nam świadczą, ich czułość, życie małżeńskie i towarzyskość,

która przykładem być może dla ludzkości, gdyż zgoda i wzajemna pomoc w tém liczнім towarzystwie zawsze panuje, rodziny razem się trzymają, młodzi bracia i siostry starszemi się opiekują, władze i starszeństwo szanowane, posłuszeństwo zapewnione w ważnych wypadkach, życie małżeńskie nader przykładne, dlatego im téż Bóg błogosławi, rozmnażają się i *posiadają nieograniczoną wolność.*

Jaskółki od najdawniejszych czasów są szanowane u niektórych narodów dawniej do zabobonu, u ludu wiejskiego w całej Słowiańszczyźnie otaczane opieką, bo przekonanie rozpowszechnione, że szczęście chacie przynoszą i od ognia bronią; u Rzymian były pod opieką bogów domowych (Penatów) i wierzono (czego mamy dokładne opisy w dziele Arystotelesa), że gdzie w domu prześladowano jaskółki, tam one przez zemstę leciały do stajen i dziobały wymiona krów, które mleko traciły. Jest-to zabawny zabobon, lecz pożyteczny. Jaskółka mściwą być nie może, bo tam, gdzie napotykamy czułość i poświęcenie, tam ohydna zemsta zajrzeć nie potrafi! Człowiek więc przyjął jaskółki za swe towarzyski, raduje się, gdy nadlatując wiosnę nam zwiastują, patrzy na nie z wdzięcznością, gdy krocie owadów dokuczliwych same pożerają lub pisklętom donoszą. Są przecież smutne wyjątki, pochodzące z lekkomyślności, pustoty i swawoli! Są ludzie, a szczególnie jest dużo młodzieży, co dla wprawy w strzelaniu obierają sobie za cel ruchliwe jaskółki, a te biedne niewiniątka, ufne w swe pożyteczne życie, pomne na pożytek, jaki człowiekowi przynoszą, z tém ich do niego

przywiązaniem, zamiast z popłochem uciekać, jedne drugich wołają na tę im nieznaną burzę z grzmotem i piorunami, z żalonym zadziwieniem patrzą na krwawiące ofiary; a wołają ustawicznie: *divit civit* (co to znaczy!) i coraz ich więcej się gromadzi, a lekkomyślny człowiek niepomny na szkody, jakie sobie sam sprowadza pomnażaniem miliardów nieznośnych owadów, śmieszny w swęj zřęczności, okrutny w swęj zabawie, strzela dalej, ciesząc się, że mu coraz więcej jaskółek nadlatuje! W południowej Francyi, w Neapolitańskim, pod Hallą i Magdeburgiem, łapią na wędki i w sieci biedne jaskółczęta, które służyć mają za ortolany lub skowronki; śmieszna to chciwość ludzi, gdyż jaskółka bez pierza, skrzydeł i ogona ma ledwie wielkość orzecha włoskiego *). W przyrodzie mają jednego srogiego nieprzyjaciela w Sokole Kobuzie (*Falco subbuteo*), który mimo ich zřęczności w locie często je łapie; dopóki

*) Francuzi z południowej części ich kraju i Neapolitańczycy obrzydliwi są swą żarłocznością, a dla braku ptastwa chciwi każdej ptaszyny i pod nazwą *Bec-figue* (co obejmuje rzeczywiście dwa rodzaje ptaków *Anthus*, Świergotek i *Saxicola*, Podkamionka) pożera wszystkie owadożerne drobne ptaszyny; zdaje mi się, że z jaja wygryzałby zarodki, gdyby się w nich ptaki te gnieździły licznie. Gdy przez ciekawość dowiedzieć się chciałem, co rozumieją pod nazwą pełną nieporozumienia *Bec-figue*, odpowiedzieli mi ptaszniczy i handlarze zwierzyną, że wszystkie drobne a tłuste owadożerne ptaki udawać muszą *Bec-figue* i tak pokrzywki (*Sylviae*); Rudopióra (*Ruticillae*), Pliszki (*Motacillae*), często i wróble, trznadle i jaskółki obskubane, tym żarłokom szkodliwym podawane są za przysmaczki. A gdy handlarzowi znajomemu mówiłem, że po dzióbku przecie każdy pozna, odpowiedział mi: «a ktoby im nastarczył *Bec-figue*, tu o to chodzi, aby Francuz mógł naraz włożyć do ust tłustego ptaszka, to on nie zapyta o gatunek.»

ma skowronki, na jaskółki się nie kwapi, lecz jak nasze polne śpiewaki w podrastającym zbożu znajdują bezpieczne schronienie, a młode sokolątka w gnieździe o zer się upominają, wtedy kobuz przesładuje jaskółki. Jeżeli się nieprzyjaciel niespodzianie zbliżyć potrafi, wtedy za pierwszém lub drugim uderzeniem porwie ją; gdy mu się to nie uda, wtedy jaskółka szyje powietrze lotem strzały i manewruje między drzewami, gałęziami i budynkami męcząc napastnika, a ustawicznie woła: *cier cier*, niebawem na ten apel zlatują się wszystkie towarzyski z jaskółczego osiedla i wszystkie krzycząc *cier cier*; głuszą kobuza, a ten widząc, że to już ponizająca walka, jak niepyszny odlatuje; jaskółki głośno zawabiają: *weide wod, weide wod*, swiergoczącym tonem, co jest w nich zawsze znakiem wielkiego zadowolenia i tryumfu.

Gdy zaś zgłodniała parka kobuzów uweźmie się w czystém polu na jaskółkę, prawie zawsze biedaczka zginie, lecz ta walka dla widza jest tak zajmującą, że oka oderwać nie można. Najzřęczniejsi latawce ze wszystkich lotnych żyjatek natężają siły, aby tu złowić, a tam uciec, szybkość ruchów nie do obliczenia, gracya lotu nie do opisania; patrząc długo na podobną walkę można dostać zawrotu głowy, a gdy nareszcie drapieżny ptak porwie niewinną ofiarę, tak w duszy smutno, jak po utracie sympatycznego stworzenia.

Gdybym miał tworzyć nowy systemat podziału ptaków, na czele całej gromady postawiłbym jaskółkę: bo cóż charakteryzuje ptaka? *śpiew, lot i pierze*. Jaskółki śpiew, to wprawdzie tylko miłe harmonijne szcze-

biotanie, lecz pełne wyrazu i uczucia. Słowiki, drozdy i pokrzywki, to śpiewaki z rzemiosła; jaskółka, to śpiewaczka bawiąca romansami kółka rodzinne i przyjaciół, zawsze wesoło zanuci, rano nas do wstawania śpiewem budzi (bo ona pierwsza z ptaków Bogu hymn wdzięczności śpiewa), nigdy smętnym i melancholijnym akordem nie zachmurzy naszej duszy, nigdy hałaśliwemi nutami ucha nie zniecierpliwi, zawsze miła, swobodna, czysta i kochająca. Weźmy ją do ręki: całe swe jestestwo zjednoczyła w skrzydłach długich i wyciętych w kształcie kosy i w długim wyciętym ogonie, służącym za ster na oceanie powietrza, po którym pływa; szyi prawie nie ma, aby potroić siłę lotu, nogi dodane jak dla uzupełnienia jej kształtu, lecz nie dla pożytku *), bo ona prawie nie siada, żywi się w powietrzu, kąpie się latając, w locie żywi pisklęta, skrzydłami odbywa podróże niepojętej odległości w głąb Afryki; powietrze jest jej żywiołem, jak woda żywiołem ryb. Patrzymy na nią, jak koło toczy w powietrzu, a przypomni nam zręcznie łyżwującego młodzieńca; który ptak może toczyć takie koła, te zmniejszać i powiększać do woli, w największym impecie stanąć w powietrzu i trzepotać na miejscu jak dla wypoczynku, lub chuścić się nad wodą chwile długie, to maczając brzuszek, to ogon i skrzydełka, to znowu rzucić się za komarem kapryśnego lotu, lub za muchą brzęczącą, co ją w locie oko nie doścignie? Powiedzcież sami, pełni pobożania czytelnicy, czy nie myślicie, że jaskółka co każdy owad w powietrzu uchwycić

*) Grecy nazwali je słusznie beznożnemi a *pode*.

zdoła, która wśród burzy i wichrów kołysze się pod chmurami, jak okręt na kotwicy, a przyciem pięć miesięcy nuci nam swe śpiewki, uwalnia nas od dokuczliwych owadów, przestrzega od słoty i zimna, zwiastuje tyle zawsze oczekiwaną wiosnę; cóż dopiero zważając na jej cnoty społeczne i rodzinne, na jej organizację ciekawą, na jej rozum, czułość i pieśczośliwe usposobienie, powiedzcież sami, czy nie ona ma przewodniczyć gromadzie ptaków? Kto pozna jaskółkę, zgłębiwszy jej życie, zbadawszy skryte zwyczaje i przekona się o tej wesołości bez swawoli, o czułości bez nerwowej exytacyi, o wierności małżeńskiej bez pętów przymusu, o poświęceniu się dla drugich i dla dzieci, o tém uregulowaném życiu, kto na nią patrzy przy gnieździe i pisklętach, w niebezpieczeństwie lub przed podróżą, ten powie: to przeistoczenie miłej, słodkiej, czulej a rozumnej dziewczycy! Jeżeli Bóg po śmierci karze dusze pokutujące wędrówką i przeistoczeniem, to w jaskółkach same dusze niewinnych dziewcząt pokutują. Gdy w dniu mglistym przy zachmurzonym niebie, ku zachodowi słońca, badacz w smętném usposobieniu stanie nad jeziorem i duma: co za dziwne wrażenie robią te czarne ptaszeta kręcące się nad zwierciadłem wody, wołające jak o pomoc, szybkie i zwinne jak motylki, czasem jedna popędzi daleko, zawoła towarzyszkę i znowu wraca kręcąc się i kołując, to znowu przeleci tak blisko twarzy, że niemal skrzydłem ruszy i wiatr pochodzący z szybkości lotu podniesie włosy człowieka, znowu i znowu latają i kołyszą się piszcząc; już nietoperze nadlatują, słonko za pagórkami się skryło, a one jak

gdyby dziennój pokuty dokończyć musiały, latają ustawicznie, aż nareszcie starsze zawołają *już na dziś dożyć* i wszystkie te duszyczki rozlatują się, cicho pozdrowszy się wzajemnie dwoma tylko nutami, bo każdy dzień ma swoje biedy i zakończyć się musi!

Nim wam życie jaskółek opiszę, muszę was obeznać z gatunkami, bo posądzam, że ich nie znacie; jeżeli się myślę, to wybaczcie, ja treściwie je odrzysuję, bo broń mnie Boże, abym Wam zadawał naukę łyżeczką, jak lekarstwo; ja Was chcę rozerwać, a spamiętacie co, pokochacie ptaszęta me lube, o to ja będę sownie wynagrodzonym. Nie myślcie, że te długoskrzydłe czarne ptaki, co ustawicznie okrążają kościoły i wieże, że to jaskółki. O nie, to żałobne Jerzyki (*Cypsellus*), smutne, ciemne i żałobne ptaki, przypominające na dole pod niemi chodzące sutany, to towarzysze śmierci i pogrzebów; ustawicznie piszczące przeraźliwie, niezgodne, w ciągłym ruchu, mieszkające w ruderach, basztach, więzieniach i klasztorach, to też pokutujące ptaki, lecz za cięższe grzechy, bo ich pokuta sroższa; o! to nie jaskółki, tych niegodnych, hałaśliwych jerzyków ja wcale nie pragnę abyście kochali, opis ich życia czytali i pod waszą opiekę wzięli; oni na to nie zasługują.

Jaskółek mamy w Polsce całej trzy gatunki *):

*) Nie mam dotąd żadnych dowodów, że jaskółka skalna *Hir. rupestris vel montana* Lath. w naszym kraju się znajduje; w tym celu w Tatrzańskich skałach i Karpatach kamienistych stanisławowskiego i kołomyjskiego cyrkułu badałem ściśle okolice i tego gatunku nigdy nie odkryłem, wątpię zatem bardzo, żeby się gdzieindziej gnieździła, kiedy w tych dogodnych miejscowościach jej nie

1. Jaskółka dymówka

(Kluk). *Hirundo rustica* (Linn). *Lastowka* (gm.). *Hirondelle de cheminée* (Buff.)

Płaszcz czarny z połyskiem granatowym, czoło i gardziel rdzawy, otoczone przepaską koloru płaszcza, czoło równie rdzawe, brzuch i podogonie białe, ogon czarny, na każdej sterówce biała plamka, skrajne przedłużone o trzy cale i szpiczaste (długość wielka ogona dowodzi doskonałości ptaka) stanowią mocno widłowaty ogon, długości 6" do 7". U starych ptaków, na bieli pierza spodniego jest cień rdzawy zbliżony tylko widziany, a prześlicznego koloru, u doskonałych samców znaczniejszy; samiec od samicy nie wiele się różni i to li w pewnych drobnych odcieniach. Mieszka w całej Europie, posuwa się pojedynczo do Islandyi, w północnej Szwecyi i Norwegii pospolita. Ku końcu sierpnia gromadzą się rodzeństwa, łączą się rodziny, nareszcie zbierają się w hurmy wszystkie jaskółki jednego osiedla, lecą na zbiorowe miejsca, tam się ilość ich powiększa do niezliczonych liczb i w połowie miesiąca września opuszczają nasz kraj, aby lecieć w głąb Afryki, a w połowie lub ku końcu kwietnia wracają do nas, zwiastując wiosnę.

2. Jaskółka oknówka

(Jundz). *Hirundo urbica* (Linn). *Hirondelle de fenêtre* (Buff.)

Płaszcz jak u poprzedzającej, spód cały i nadogonie śnieżnej białości, mniejsza od Dymówki, nogi skąpo

było, a zatem tylko przypadkowo, wiatrem zapędzona może się czasem u nas zjawić.

białym mchem pierzastym okryte; później do nas przybywa a razem odlatuje; między samcem a samicą niema prawie różnicy. Nazwana oknówką, bo najczęściej lepi gniazdo pod oknami, kiedy poprzedniczka w chatach dymnych i po kominach swoje kleci. Ogon mniej widłowaty, końcówki lotek go nakrywają.

3. Jaskółka brzegówka

(Kluk). *Hirundo riparia* (Linn). *Grzębiolka* (gm.).

Hir. de rivage (Buff).

Płaszcz szaro-brunatny, tego koloru przepaska na piersiach, gardziel i brzuch biały, jeszcze mniejsza od poprzedzających i widłowatość ogona mniej znaczna; przylatuje w tej porze, co Oknówka i jest równie szeroko rozpowszechnioną, gnieździ się w norach spadzi-
stych brzegów gliniastych; samiec ma to samo ubarwienie, co samica.

Wszystkie te trzy gatunki noszą tesame cechy: nogi krótkie, oczy duże wypukłe, skrzydła długie i wy-
cięte, dziób krótki, otwór paszczy wielki, a paszcza za-
wsze zwilżona klejowatą śliną, na której przylepiają się
złowione owady i która służy do lepienia gniazd, na-
zwane paszczaste lub beznożne.

Jaskółka dymówka.

To wieśniaczka, rzadko do miasta zaziera, zaraz przed hałaśnym zgiełkiem ulatuje, bo miłuje strzechę i zacisza wiejskie; tuli się po wsiach do człowieka, jak gdyby myślała, że na wsi człowiek mniej zepsuty i czul-

szy, niżli w mieście; terminów przylotu i odlotu wier-
nie dochowuje, spieszy się z podwójnym gniazdem
w jednym lecie; pochłania corocznie miliardy much
i komarów, zbiera pod dachami larwy, poczwarki i pa-
jaki, rozwesela wieś i oddaje niepospolite usługi. Dy-
mówki dzielają nam rok przylotem i odlotem na dwie
połowy; koło Wielkiej Nocy przednie straże armii ja-
skółek przybywają do połowy kwietnia, dalej zjawiają
się korpusy liczne, a w końcu tego miesiąca tylna straż
i marodery zmęczone. Rzecz szczególna, na wiosnę cią-
gną do dnia i przez dzień cały, zostawiając po drodze
kontyngensa, jakie gdzie latować mają, a armia dalej
leci ku północy i na zachód w wielkiej wysokości; w je-
sieni przeciwnie, jak gdyby im na tej wysokości za-
ciężkie było powietrze, ciągną niżej i do ciemna w noc.
Stósowne przysłowie: Jedna jaskółka nie stanowi lata!
W początkach kwietnia zjawia się jedna, dwie, to re-
konesansy i znowu znikają; później czasem awangarda
z czterech do pięciu i znowu pauza, a mimo tych ostro-
żności narażają się na wielkie niebezpieczeństwa, bo na
głodową śmierć i zmarznięcie. Ale też powiedzcie, komu
ta polska, biała wiosna się już nie narażała, komu się
nie dała we znaki? Słońce zaświeci, ptaszki zanucą, kwia-
tki, krzewy i drzewa zakwitną, cała przyroda ze snu
zimowego się budzi, wszystko ku niebu zwraca radosne
oczy, bydło i owce spieszą w pole, gospodarz się ra-
duje, że już koniec tej długiej zimy: a tu znowu śnieg,
deszcz lodowaty, a czasem i przymrozek! Jaskółki ro-
zumne, u których doświadczenie nie idzie w las, wy-
syłają czaty, dowiadują się dokładnie, jak tam w tej

zimnej i biednej Polsce. Lecz jak forpoczty powrócą i głoszą, że tam już muszki latają, słonko przygrzewa i trawka się zieleni, jakże tu nie lecieć, kiedy na do-
trzymaniu sumienném reputacya rodu jaskółczego za-
leży. Przylatują więc — i często z zimna i głodu giną.
Gdy taka bieda niespodziana ich nawiedzi, lecą nad je-
ziora i stawy, chronią się po łożach i trzcinach, radzą,
szczebiocą, jak tu uratować życie, i często, gdy siły się
znajdą, a na energiczną determinacyą jeszcze zdobyć się
potrafią, wtedy porwą się wszystkie, wybiją pod obłoki
i znikną na dni kilka; myślę, że lecą za żerem i chro-
nią się w cieplejszych zaciszach.

I ja byłem młody, nie wierzyłem w dokuczliwość
reumatyzmów i sciastyk, chodziłem więc po bagnach
na wiosnę za ptakami, powracałem skostniały z zimna;
dziś nie żałuję tych niebezpiecznych wycieczek, lecz
jako higieniczny środek nikomu ich zalecać nie mogę;
uzbierałem wiele bardzo spostrzeżeń ciekawych i po-
czynilem odkrycia, nieprzystępne dla nas w innych
porach roku. Często lodowaty deszcz twarz kaleczył,
śnieg sypiący ubranie przypruszył, wiatr północny krew
w żyłach mroził, a ja często widywałem pojedynczą
w tym czasie jaskółkę szyjącą powietrze, czasem dwie,
cztery, rzadko kiedy więcej. Niepokój i pośpiech tych
ptaków zawsze mnie zadziwiał i do téj chwili pojąć nie
mogę, z kąd się tam wzięły i gdzie pędziły. Przypuścić
nie można, że przy kilkudniowej, lodowatej słońce, ja-
skółki podróz odbywały, ani też, że z pośpiechem ku
stodom dążyły, gdyż kierunek zawsze był ku północy
i zachodowi, a zatem przeciwny. Ile razy spostrzegałem

te ptaki w popłochu i w ucieczce, zawsze mi na myśli
stawała gadka chłopska, że część jaskółek w wodzie
i w norach brzegów zimę przepędza. Te ptaki, istne
kuryery, leciały zawsze nie szukając pożywienia i wiatr
mając przeciwny; nie były to znane mi rekonesanse
i awangardy, złożone z 7 do 10 sztuk — i pozostały
dotąd zagadkowemi dla mnie istotami.

Przeżyłem z jaskółkami dwie klęski, myślą nie
objęte, mianowicie w kwietniu roku 1851. Była to zwo-
dnicza nasza wiosna, ciepła i zielonawa, w połowie
marca zaczęliśmy siewy, ukończyli je w końcu tego
miesiąca. Koło siódmego kwietnia począł padać mokremi
płatkami śnieg, sypał przez dni cztery i warstwa śniegu
leżała na grubość pół metra: krocie jaskółek z głodu
ginęło, rozumniejsze, przebieglejsze i doświadczeńsze
schroniły się do mieszkań ludzkich, do stajen i owczarni,
tuliły się pod strzechę dymnych chałup i do kominów
wlatywały. Nie przesadzam, gdy liczbę schronionych
do mojej owczarni jaskółek podaję na 300; było tam
na ścianach i powale niemało jaj owadów, poczwerek
i pajaków, lecz to armii jaskółek na pożywienie nie
wystarczyło i piątego dnia, już z głodu konające na
gnoju podnosiliśmy, ratowali, nosili do mieszkań i pa-
miętam, że kilka w oranżeryi wyratowałem od głodowej
śmierci. Chcąc aby część uratować, otwierałem wrota
od owczarni i kazałem je gonić, lecz rozumne ptaszyny
wiedziały dobrze, że na powietrzu śmierć je czeka, tłu-
kły się i rozbijały o ściany, wszakże żadna wylecieć nie
chciała. Co to była za rozkosz, co śpiewu i świergota-
nia, jakie radosne zwoływanie, gdy znowu dobroczynne

ciepło przyrodę ogrzało i poczęło topić całun zimowy, bo to te miłe ptaszyny sobkostwa nie znają i same nie umieją nawet z przysmaczków korzystać i przyjemności używać, więc przy jakiegobądź odkryciu korzystnym wołają towarzyszek, wabią świergocąc, a nawet powracają po nie i zabierają ze sobą.

W końcu kwietnia roku 1865 tysiące jaskółek zginęło z zimna i z głodu i wtedy dopiero zdefiniowałem sobie te lotne istoty. Zdawałoby się, że ptaki wytrzymujące męczący lot przez 12 do 14 godzin, muszą być wytrwałe i silnego organizmu, tymczasem widziałem na oczy jaskółki latające dosyć szybko, po chwili siadające na belkach z napuszczonym piórem i po kilku minutach spadające nieżywe na ziemię. Widocznie ruch ich gwałtowny przyspiesza trawienie — i głód a nie zimno dziesiątkował schronione pod strzechami ptaki.

Żywią się jaskółki w powietrzu, uganiając się za latającymi owadami, które dzióbem chwytają, często tak mocno, że kłapanie szczęk słyszeć się daje; nad wodą bez przestanku łowią owady, a gdy gdzie natrafiają na chmurę krążących muszek lub komarów, wtedy pędem błyskawicy, z otwartą paszczą, uderzają w środek, nawracają drugi i trzeci raz, a muszki i komary przylepiają się w paszczy na klejowatą ślinę i dopiero nasyćwszy się, odlatują. W ustawicznym locie za żerem chwytają drobne latające żuki, lecz twardych skrzydełek strawić nie mogą i jak drapieżne ptaki pierze i kości, tak one łuski wyrzucają dzióbem. Zręcznie chwytają małe ćmy i motyle, na listkach i trawkach robaczki i gąsienice; oka badacz od tej pospiesznej a całej dzień

trwającej pracy oderwać nie może, ta szybkość, ta zręczność, a każdy najtrudniejszy ruch pełen gracy; wszystkie te niepojęte ewolucje w powietrzu robi bez nałożenia, u jaskółek zaiste nigdy spostrzedz nie można najmniejszego zmęczenia, lub chęci odpoczynku, lata od wschodu do zachodu, a jak siedzie to na chwilę, jak gdyby li pokazać światu chciała, że i ona siedzieć umieć. Zabawny to widok, gdy przy zachodzie słońca zjawia się podobna chmurka krążących owadów i jaskółka ją spostrzeże, radośnie zawoła *wit witurit*, leci po towarzyszek i szarżują w tę kupę, dopóki muszek masy nie nałapią lub apetytu nie zaspokoją. Dla owadów towarzyszą stadom bydła i owiec, dla owadów okrążają stajnie i gnieźdzą się w tychże, dla braku owadów opuszczają nas w jesieni. Nic pociesniejszego, jak widok jaskółek, polujących w dzień słotne na owady nad dachami: zręczność nie do pojęcia! W locie potrafi uchwycić na ścianie siedzące muszki, lub też skrzydełkami je płoszy i łowi w powietrzu, w głodzie porywa suche muszki, wiszące na pajęczynach, a czasem i pajęczek padnie ofiarą. Za każdym uchwyceniem owada, słyszeć można kłapanie dzioba, w kilku minutach kilkaset tych nam nieznanych tonów do uszów dochodzi.

Nie budując tak silnego gniazda, jak jaskółka oknówka, instynkt jej wskazuje schować je pod dach, albowiem nie wytrzymałoby naszych deszczów, zacinających jak batogami, gdzie wiatr wieje. Pierwsza jej czynność po przylocie wiosennym, odżywiwszy się nieco, jest wyczyszczenie gniazda, jeżeli go zastała parka jeszcze w dobrym stanie, lub budowanie nowego. Gniazdo nie tak

doskonałe, jak oknówki, przecie należy już do dzieł architektury ptaków: przylepia ścianę tylną gniazda do belek, łat i innego materiału naszych dachów, starając się, aby dolna część opartą była o sęk wystający lub gwóźdź; kształt gniazda wystawić inaczej nie mogą, jak w $\frac{1}{4}$ próżnej kuli, ściany $1\frac{1}{2}$ " grube, wysokość $4\frac{1}{2}$ " do 5", a głębokość gniazda 4". Materiały zbierają po mokrych miejscach z lekkiej ziemi, na których w czasie budowy gniazda wielka ich liczba siada, ile może dzióbkiem tego błota zabrać, tyle bierze, zwilży śliną i mocno przygniecie do miejsca, gdzie ma być gniazdo; zaczynając budowę od tyłu gniazda czyli punktu oparcia, lepią dalej od dołu, a gdy połowa tego gmachu już sterczy, siadają oboje na krawędzi i szczebiocą rozkosznie codzien w południe na wypoczynek. Lepianka postępuje widocznie przy tak pilnych robotnikach, dopiero u góry zostawiony otwór do wlatywania; ta budowa trwa od sześciu do ośmiu dni i w locie jest wykonywaną, gdyż jaskółka, która jest *uosobieniem poświęcenia*, nie siada, tylko trzepocząc jak wieczorna ćma nad kwiatkiem, tak ona przy gniaździe w trzepotaniu potrafi swą bryłkę błota doskonale wlepić. Te bryłki niemal wszystkie porachować można, bo sterczą, każdy się wtedy zadziwić musi, ile to razy mąż i żona nosić musieli!

Gdy budowa w połowie skończona, siada pani domu do środka i skrzydełkami, brzuszkiem i dzióbkiem wygląda wewnętrzne ściany, które później jak politurowane wyglądają. Po wybudowaniu lepianki, pilno bardzo znosić i częstokroć dach nieskończony, a już

jajko zniesione i drugie i trzecie, a gdy cztery do pięciu jaj leży w gniazdeczku, mąż musi dokończyć, a ona już pilnie wysiaduje. Parki się czule Kochają, on rzadko na jajach usiedzie i to li w południe, samiczka nadzwyczaj pilna w wysiadaniu, mając ogrom ciepłika w sobie, a mnożąc go ustawicznym ruchem, może kilka razy na dzień opuścić gniazdo bez narażenia jaj na zaziębienie; mąż jej donosi czasem muszki, szczególnie ku końcu siedzenia, gdzie najpilniejszą być musi: przynosząc zaszcebioce miłośnie przed lepianką, trzepocze w locie, jak gdyby stał w powietrzu, ona główkę wychyli, odpowie mu kilku nótami i weźmie dzióbkiem z dzióbka muszkę, a zadowolniony ulubieniec wesoło świergotając, leci dalej, głosząc swe szczęście bez chmurki. Samiec śpiewa szczebiotliwie, lecz pełne melodyi romanse, ona ciszej i przerywano, a jak jego rozkosznie pieści, to dzióbem, to skrzydełkiem nakrywa, zawsze ma coś mu szepnąć, nigdy dosyć blisko męża, czy na dachu, czy na gałązce, zawsze się do niego tuli, on zaś wdzięczny i pełen pamięci, równie jak czułości, ile razy blisko gniazda przesyje powietrze, zawsze zawabi partykularnym głosem, aby ona wiedziała, że o niej myśli i że przeleciał. Rzecz szczególna, u żadnego ptaka nie spostrzegłem tak częstych rozmów czy to między małżeństwem, czy z dziećmi, czy też w towarzystwie, istne to dialogi: i tak przylatuje samiec, trzepocze przy gnieździe, świergotcze chwilkę, ona mu odpowie, on znowu przemówi i znowu bując leci w powietrzu; — lub też siedzi na dachu stara parka, przy nich rządem dziatwa, starzy coś mówią, młodzież słucha, tu i owdzie się odezwie, aż nareszcie

wszystkie krótko zaświergoczą, często starzy przemówią, a dzieci się zrywają i lecą przed rodzicami toczyć koła, wycinać esy i floressy w powietrzu, a ci na dachu radośnie nucą, dumni ze zręczności swych jaskółcząt: on śpiewa, ona mu wtóruje, skrzydełkami trzepią i znowu pełno pieszczot, bo oboje już niecierpliwi, myślą o drugiem znoszeniu jaj, kiedy dzieci wychowali, a tu czas krótki w tój zimnój, biednój Polsce, i jeszcze przed sierpniem rodzinę jaskółek świata wychować trzeba, bo tak instynkt surowo nakazuje. Ten spieszny proceder lęgu przypomina w świecie roślinnym tę karpacką wegetację, która nakryta śniegiem do połowy czerwca i znowu w połowie sierpnia dostaje swą zimną koszulkę białą, a mimo to rośnie, zakwita i nasienie daje w tym krótkim czasie. Bóg tak zrządził, nasz rozum tego pojąć nie może, lecz corocznie widzimy te odnawiane cuda.

W tym rodzaju napotykamy, jak gdyby mowę w jednym języku, od wszystkich zrozumianym. I tak mają głos na oznaczenie strachu lub popłochu, wabienie zwołujące lub ostrzegające, szczebiotanie zadowolenia i rozkoszy, innym głosem towarzysze do siebie mówią, innym przemawia matka do dzieci, inny znowu dźwięk w rozkosznych, pieszczotliwych wyrazach małżonków. Napomnienia starszych, zwoływania przed podróżą i w podróży, dawane dziatwie lekcyje lotu i pożywienia, przy zbliżającym się niebezpieczeństwie, wszystko to przez jaskółki bez alfabetu i gramatyki oznaczone, lecz dla wszystkich zrozumiałe i powtarzane od początku rodu jaskółczego. Niema wątpliwości, czy wy-

razy wymawiać trzeba przez o kreskowane, lub niekreskowane, czy *ch*, czyli *h*, wszystkie czysto mówią, czystą mową, wszystkie w zgodzie Boga chwałą! Pierwsze zniesienie jaj składa się z pięciu do sześciu, drugie z trzech; jajka z tłem białem nakrapiane rdzawo, rzadsze lub gęstsze, bledsze lub ciemniejsze plamki, często zupełnie białe, lub też przy grubym końcu tak upstrzone punkcikami, że tworzą rdzawą obwódkę, skorupa bez glancu, porowatość znaczna. Wysiaduje samiczka pisklęta przy ciepłym powietrzu w dwóch tygodniach, w zimnie potrzebuje do 20 dni, a to z powodu, że gdy dżdżysta pora nadeszła i owady się pochowały, ona dłużej latać musi, aby głód swój zaspokoić; żeby nie ciepłik nadzwyczajny, jaki posiada jaskółka i zakryte pod dachem, niemal ogrzane miejsce, w którym gniazdo ulepione, nigdyby pisklęta dla zimna wykluc się nie mogły z jajek. Gdy po dwóch dniach ogrzane dzieci już więcej pożywienia wymagają i ustawicznie piszczą, matka ich w gnieździe tak układa, że wszystkie główki, jak jaki żółty bukiet przy otworze gniazda sterczą i ten porządek surowo rodzice utrzymują, aby nie być przypadkiem dla jednego lub drugiego parcyalnym, aby wszystkie jaskółczęta dostały regularną strawę. Bez tój rozumnej organizacyi, silniejsze wypchałyby młodsze do środka i niejedno zginąłoby musiało; a że wszystkie te główki do siebie podobne jak krople wody i wszystkie za każdym przylotem ojca lub matki otwierają zawsze szeroko swe paszcze, piszcząc prośbę o żer, a zważywszy, że donoszenie pożywienia rodziców od-
bywa się w niepospolitym pośpiechu, zatem ta instyn-

ktowa organizacja (instynktowa, bo całemu rodzajowi właściwa) jest dla piskląt kwestią życia. Druga równie instynktowa, równie niezbędna potrzeba, jest uczenie piskląt czystości: co chwila wlatuje jedno z rodziców do gniazda, podnosi pisklę tak, aby łajno wypadło za gniazdo, potem drugie, trzecie i t. d.; po kilku dniach surowo, a systematycznie trzymana dziatwa, tak się wyuczy, że gniazdo czyste, a co niemowlęta w pierwszych dniach nieczystości narobiły, rodzice starannie dzióbem wyrzucają z gniazda. Czystość posunięta do przesady niemal, gdy łajno pod dachem ku ziemi leci, jaskółka go dzióbem łapie, wylatuje otworęm i upuszcza na wolności. Ona to gospodynie czystości i porządku uczyć może! Niedarmo Stwórca tak zrządził i w tej drobnej na pozór organizacji jest ogrom mądrości! Gniazdo jest do góry zalepione, z małym tylko otworem, w środku wysłane pierzem; gdyby żarłoczne pisklęta tej czystości nie utrzymywały, albo w fetorze zaduszoneby były, albo też w gniazdzie nie znalazły pomieszczenia, w każdym zaś razie pierzem świeżem okryćby się nie mogły w tym wilgotnym gnoju.

II.

Jaskółczątka rosną, jak baby na drożdżach i po czternastu dniach już w lepiance pomieścić się nie mogą; pomału otwór rozprzestrzeniają i siedzą sobie dzień cały, jak panny w oknie, tak one na krawędzi gniazda, przyglądają się wszystkiemu z ciekawością, a bez trwogi; słuchają uważnie świergotania starych, które zawsze po kilka lub kilkanaście par pod jednym dachem mieszkają i pomału zaczynają nucić cicho, często chrapliwie, zdarza się niejeden fałszywy akord, lecz w tej kupce rodzinnej trafia się prawie zawsze jeden braciszek z uchem muzycznym, więc ten głośniej śpiewa, a tamte się uczą i tak pomału lekcye muzyki przy pomocy rodziców, wykształcają nam miłych, harmonijnych śpiewaków. Siedzą więc, już zupełnie pierzem okryte jaskółczęta, z bledszemi wprawdzie kolorami i krótkim widłowatym ogonkiem, zresztą podobne do starych, lecz lepianki opuścić nie chcą, bo to nie wiecie, jak ona wygodną jest: w środku dosyć obszernie, miękko siedzieć, a tak ciepło, jak w pierzynie; jakże tu opuścić tę sypialnię,

kiedy na świecie, gdy zajęczy głóg kwitnie w pierwszej połowie czerwca, tak nieprzyjemne powietrze i wiatr mroźny, deszcz, a tam ciepło i spokojnie. One siedzą wtedy w gniazdeczku, kiedy my kominka z trzaskającym, wesołym płomieniem opuścić nie chcemy, a zatem pojąć i podzielać musimy ich do komfortu przywiązanie. Rodzice zmęczeni ustawicznym łowieniem owadów, wycieńczeni tym polowaniem, bo to zimno, muszki się pochowały, a dziatwa ustawicznie jeść woła, lecą za muchami do stajen i owczarni, lecz nastarczyć nie można pożywienia; mąż już zniechęcony dąsa się na żonę, bo on już myśli o świeżym łożu małżeńskim, ona niby to poświęcenie dla dzieci udaje, ale pała tą samą żądzą i już bardzo często i blisko do męża się tuli, często nawet w locie buzi dostanie, lub kokietujący małżonek złapawszy muszkę, żonkę woła i w locie jęj ofiaruje przysmaczek. Stają więc oboje w powietrzu, przytulają się chwilę, ona porywa muszkę i wdzięcznym i radosnym tonem dziękuje i znowu z pośpiechem w świat bujając lecą. Powiedzcież sami, czy można być srogą dla takiego męża, mając silny afekt, a krew niepospolicie gorącą. A zresztą pora się spóźnia, mogą nie wychować dzieci z drugiego zniesienia, więc radzą, jak to pogodzić swe plany z dopełnieniem obowiązków dla dzieci i najczęściej na tym staje, że głodem upór malców przelamują.

Stary uchwyciwszy muchę, leci przed gniazdo, lecz trzepocząc staje w powietrzu w pewnej odległości i woła dzieci: te zawsze zgłodniałe dostać nie mogą pokazywanego owadu, nachylają się, próbują skrzydeł, a nareszcie

któreś spadnie z wyteżenia, przestraszone leci do ojca, dostaje muszkę, powraca na gniazdo i wesoło szczebiocząc, do drugich mówi: *wierzajcie, my możemy tak latać, jak rodzice*. Młodzi nie wierzą, lecz że potrzeba jest matką rodzicielką wszystkich wynalazków, więc pomału całe rodzeństwo nabiera odwagi i uczy się latać. Zostaje jeden Benjaminek, który rzeczywiście dośroć nie mógł i siedzi opuszczony dzień cały, piszcząc żałośnie za rodzeństwem, które czule kochał; osieroczone biedactwo, mimo troskliwości poczciwych rodziców, którzy przy pomnażających się coraz rozlicniejszych czynnościach istotnie cuda pilności robią i o nim nie zapominają, nareszcie w desperacji rzuca się z gniazda i niepewnym lotem, jak ćma przy świecy, szuka otworu, którym bracia i siostry wyleciały i jak pijany potraćiwszy się o ściany kilka razy, na świat się wydobywa; radosna to chwila: rodzice go otaczają, jedno pod nim przelatuje, aby go w powietrzu podnosić, drugie ostrożnie prowadzi na miejsce dachu, na którym się dziatwa umieściła, ta rozkosznie trzepocze skrzydełkami i woła Benjaminka. Wszystko razem siedzi, młodzież rzędem, starzy opodal śpiewają, odlatują chwilę i znowu wracają, zachęcając dziatwę do lotu, ta się zaś wcale ruszyć nie myśli, jak siedziała tak siedzi, mimo pokus, pokazywanych przysmaczków ruszyć się nie chce. Nowa bieda dla rodziców, lecz tu trzeba dać dowód charakteru i nakazać milczenie sercu, a zatem głodzić próżniaków, a donosić tylko malutkiemu. Żle się dzieje dziatwie, żołądek próżny, zazdrosnym okiem patrzą na żywionego Benjaminka, szepczą między sobą, radząc co uczynić

wypadnie, a rodzice latają ustawicznie, pokazują owady to w dzióbku, to latające, które przed młodemi chwytają. Radzi, nieradzi, nareszcie się puszczają za rodzicami; a malec zostaje na dachu, bo on rozkazu latania jeszcze nie dostał, i już po kwadransie bujają jaskółczęta jak doskonałe ptaki. Stare im w powietrzu tu i owdzie dają pożywienie, wskazują owady, prowadzą na miejsce, gdzie ich jest obficie, a o Benjaminsku nie zapominają. Po chwili wraca do niego cała rodzina, a że na tę ważną wyprawę dzień pogodny wybrany, więc słonko przyświeca, rodzice śpiewają, dzieci im wtórują, to znowu odlatują i znowu powracają, aż się słonko ku zachodowi schyli, wtedy rodzice dzieci wołają i wszystko wraz z Benjaminskiem leci spać. Tu się rzeczy komplikują: jest wyraźnie w rodzie jaskółczym nakaz, że pierwsze nocy po wyleczeniu dzieci z rodzicami, razem wszyscy w gnieździe spać muszą; dzieci wołają, że to być nie może, bo one same już tam miejsca nie miały, jakże się teraz one wykształcone wraz z rodzicami w ciasnej lepiance pomieszczą. Malkontenci nic nie mogą wskórać, sejmik burzliwy trwa krótko, matka lub ojciec wchodzi do gniazda, za nim dziatwa, którą drugi rodzic nagania. Co tam pisku i narzekania, jak się to wszystko gniece, a potem skarży, aż nareszcie ulokowani cicho siedzą, lecz ojciec chce wejść do żonki i dziatki, nowa protestacja hałaśliwa, on na to nie zważa i oparty na swém prawie, pakuje się do środka, jeszcze chwila burzliwa i nareszcie chociaż to w tej lepiance djabelnie niewygodnie, wszystko zasypia, bo to niemałe było zmęczenie w tym dniu próby.

Ledwie na horyzoncie spostrzedz się daje jasny pasek, a kogut zapiał, już wstaje jaskółka, siada sobie i Bogu nuci ranną modlitwę ona pierwsza; jeszcze we dworze wszystko uspione, nawet lubieżny wróbel głęboko w swęj pierzynie spoczywa, a drób dworski ani myśli wstawać, jaskółki już nam wschodzące słońce zapowiadają i zachęcają do pracy i ruchu. Dopiero później ruszają się ptaszęta, wróbel wychyla głowę z gniazda, rudogon ogrodowy (*Sylvia phoenicurus*) swój romansik odśpiewa, kosi i drozdy fletowym koncertem ucho zachwycają, słowik melancholicznie zanuci, to znowu jak fanfarą uderzy, zięba powtarza z wysileniem swe kilka głośnych nót, dudek smętnie mówi *hup, hup, hup*, pliszka na dach wybiega, rusza swym długim ogonem, muska się i leci nad wodę przypatrywać się, czy jęj do twarzy, a zdaleka słyhać śpiew skowronka, który się pod obłoki wzbija, aby jak najbliżej niebios swe dziękczynne hymny odśpiewał Bogu; gołębie zagruchoczą, gąski zagęgają, a tu już niecierpliwe jaskółki szyją powietrze, szukając owadów, które jak inne żyjątko czekają wschodu słońca, aby życie pracy na nowo rozpocząć.

Gdy się nareszcie młode jaskółczęta przyswoiły spać w lepiance z rodzicami w tej niewygodzie i już kilka dni bujały niezważając, że gniazdo wyporządzone, aż tu jednego wieczora zastają ojca na warcie, a matkę na swém pierwszym jajku w gnieździe. Niepospolite zadziwienie i wielkie nieukontentowanie. Gdzież tu tak późno i po zmęczeniu szukać miejsca bezpiecznego na odpoczynek? Ojciec im tłumaczy, wszyscy razem

świergoczą i nareszcie wraz ze starym przewodnikiem lecą na miejsce, już pewnie pierwój przez tegoż obrane, są to jakieś tyki na strychach, lub odstające łąty pod dachami, suche gałęzie rosnących drzew, a najczęściej gdzie można w trzcinę i w tém zaciszu spokojném ulokowawszy butną młodzież, wraca do swój ulubionój lepianki i już wygodnie i przestrono nocuje z samiczką. Działwa swawolna rano nadlatuje jak po radę, dyspozycyę i żeby rodzicom dzień dobry powiedzieć; wieczór nieraz próbują wracać do gniazdeczka, lecz to fałszywe zachcianki, rodzice już co innego mają w głowie i z kwitkiem odprawiają dzieci.

W drugim zniesieniu najczęściej trzy jajka tylko znajdujemy i wychowanie téj drugiej familii niepospolite kłopoty dla rodziców sprowadza, gdyż wyklute późniejsz pisklęta często jeszcze w gnieździe siedzą, kiedy już w sierpniu jaskółki do podróży się gromadzą. To niepokoi starych, bo wiedzą, że te dzieciaki często w spóźnionój podróży głodem i zimnem nocném lub deszczami srogo nawiedzane bywają i często giną.

Mylnie twierdzą autorowie, że co roku każda parka jaskółek nowe gniazdo lepi; przeciwnie, ile razy tylko może, wylepi, wyczyści, nową pościel przyniesie i jajka spiesznie znosi w przeszłoroczne gniazdo; to są parki, które wcześniej wychowują silne dwie rodziny i do podróży się nie spóźniają. Te zaś, co nowe gniazda lepić muszą, później wychowują pierwsze dziatki, a z drugimi albo się spóźnią i na niebezpieczeństwo je wystawiają, albo téż mimo zniesienia jaj samiczka ich wysiedzieć nie może. Gdy mamy mokre i zimne lato, a ja-

skółkom o żer trudno, wtedy tak często są przymuszone odlatywać z jaj, że nareszcie te zaziębnieją i w zarodkach giną. Tu znowu łatwo spostrzedz, że brat z siostrą się paruje, zawsze bowiem rodzina razem przylatuje i tam gdzie było jedno gniazdo, jest drugiego roku dwa, trzy i te się mnożą, dopóki doskonale ptaki widzą za wielką liczbę lepianek, nareszcie niektóre pary wypędzają i zmuszają je szukać w inném miejscu schronienia. Jednoroczne ptaki bardzo niezgrabne do architektury, próbują na wszystkie strony, lepią nieporządnie, a widząc, że z tego mieszkania przyzwoitego nie będzie, odstepują fundamenta, a często i zaczęte ściany i na nowo budują; później nadlatujące jaskółki częstokroć z tych opuszczonych zaczętych gniazd w potrzebie korzystają i z dziwnym rozumem, z podziwienia godną zręcznością potrafią wygodne gniazdo wybudować z nieforemnie zaczętej lepianki. Młode parki zapatrują się na stare gniazda i one im za modele służą, dlatego starają się zawsze jak najbliżej tamtych budować; zupełnie to takie wrażenie robić musi badaczowi, jak kiedy syn gospodarza na bliskim folwarku pod jego okiem i opieką gospodarstwa się uczy. W opuszczonych kominach lub szerokich z gżémsami, a w drewnianych chłopskich budują w kątach, gdzie ich dym nie dochodzi, jedno na drugich tak, że często pięć do sześciu pięter gniazd widzieć można, zawsze przecie w tej odległości, że jedno drugiego nie dotyka (dla tego dymówkami nazwane). Widziałem strychy nieobszernych chałup z dziesięciu do piętnastu gniazdami, a w stajniach długich czterdzieści do sześćdziesiąt gnieźdzących się parok;

tam dopiero szwadronowanie, tam sejmiki hałaśne, a co życia i ruchu, w oczach się mieni widzowi, istna rzeczpospolita; lecz to nie ludzka, *ale ptasia*, pełna zgody, bez ślepych ambicji, bez okrucieństwa i chciwości, tam łączy wszystkich miłość, tam wszędzie poświęcenie, porządek i organizacja, nie potrzeba tam prezesa i politycy, ani też zbrojnej siły, prawa od Opatrzności nadane są szanowane, zgoda i pomoc wzajemna zawsze gotowe, bo wszyscy mieszkańcy tej hałaśliwej kolonii mają jedne zasady, te same dążności i ten sam cel, do nich jedynie zastosować możemy *viribus unitis*, słowo, które człowiek wszędzie jak zepsute dziecko poszarpać się stara i nie dozwala, aby w rzeczywistość przeszło.

Równie fałszywe twierdzenie autorów, że jaskółki w pasiekach szkody zrzadzają. Jest to czarna obmowa i muszę moje pożyteczne ptaki od tego niesprawiedliwego zarzutu obronić. Najpierw jaskółka tylko drobne owady łapie z chciwością, te które bez poszarpania połknąć może, bo nie targa, lecz wszystko w całości pożera; pszczoła dla niej już niewygodnym pożywieniem, a po drugie, ona przezorna i rozumna, wie dobrze o żądle i wie, że szeroką paszczę to żądło ukłuje, a ona nie ma czasu i siły zabić pierwój pszczołę, jak robią inne ptaki, *bo to latający pośpiech*, jeżeli głodem przymuszona leci do pasiek i nad kwiatkami zbiera, to czasem porwie trutnia i to wyjątkowo. Czy jej za złe wziąć możemy, że czasem zjada trutnie, których tyle na świecie? Proszę was bardzo, nie dawajcie wiary tej potwarzy rzuconej na jaskółki przez złych mieszczan, niechętnych dla jaskółek. Nie szkodę, lecz ogrom po-

żytku nam przynosi. I tak ścigajmy okiem bujającą jaskółkę i uważajmy, ile razy uchwyci owad w owczarni lub stajni, przez godzinę liczymy, wiele usłyszymy kłapania, a każde dowodzi złowienia muszki; z zegarkiem w ręku notujmy przez dwie godziny ranne, ile razy z owadem wlecą jaskółki, aby piskłétom żer podać, a porachowawszy przez szesnaście godzin dnia pracy, spisujemy takie olbrzymie cyfry, że je mało który rozum obejmie, może li ten, który pojmuje liczby długów niektórych państw europejskich.

Smutno mi się w duszy robi, gdyż myślą sięgać muszę odlot tych lubyh ptasząt, bo po tym odlocie i ja martwieję, przyroda cała choruje, gotuje się na śmierć zimową: ptaszki, moi towarzysze, oniemiały, już do mnie nie przemawiają, oko się jaskrawemi kwiatczkami nie rozerwie, nie wytchnie na zielonej murawie; lecz wy tego czuć nie możecie, dla was i w grobowym peryodzie roku w mieście są rozkoszne chwile, a ja zaś wdycham długich siedm miesięcy za mymi towarzyszami. Wiem ja dobrze, że na te, krepem czarnym okryte myśli, niejednen wrzusi ramionami, niejednen powie: to chorobliwy stan duszy, nerwowość kobieca; lecz miejcie wzgląd, że ja badacz przyrody i że dla tego tylko zgłębiałem jej skrytości, że z zamiłowaniem i poświęceniem topiłem duszę mą w badaniu, nie weźcie mi za złe tego mego żalu, który mi się z pióra mimowolnie wylał, a teraz mi lżej, a zatem opowiem wszystko, opowiem: jak się gromadzą, jak się skupiają gromady w większe hurmy, hurmy często w jaskółcze chmury i na-

reszcie opowiem, jak odlatują, którędy lecą i gdzie zimują.

W naszym kraju, w przestrzeni jak ją wszyscy pojmować powinniśmy, już koło 20 sierpnia gromadzą się młode rodziny pod jednym dachem wychowane; to już stanowi częstokroć stadko złożone z 40 do 60 jaskółek, już razem latają, razem nocują po trzcinach, na drzewach lub dachach; po kilku dniach pożegnawszy się z każdym rodzinnym zakątkiem, zanuciwszy wspólny śpiew pożegnalny, zrywają się do świtu i odlatują ku południowi. Ten pierwszy odlot mało uważany, gdyż rodzice jeszcze bawią i zapełniają nasz widnokrąg, a zatem tyle jest jeszcze jaskółek, ile przybyło na wiosnę, dalej jaskółczęta z drugiego siedzenia bujają ustawicznie przed nami. Gdy zbiór ten dla pięknej pory spóźniony nieco bywa, wtedy gromadzą się jaskółki z jednej wsi na zbiorowe miejsca, obsiadają stare drzewa lub dachy i radzą długo nad przedsięwzięciem się mającą podróżą, postępują znowu ku południowi i zatrzymują się na obfitych żerowiskach czasem i dni kilka i znowu dalej do krain, gdzie owady w zimie latają. Zdarzało się niejednemu spostrzedz, że już niema jaskółek na początku września i znowu się pojawiły; to już nie nasze ptaszęta, te już opuściły nas, a te co widzimy, to pielgrzymy, co dla odpoczynku i pożywienia chwilę się zatrzymują i odlatują. To znikanie i pojawianie się jaskółek szczególnie często się powtarza dla tych, co na gościńcu ich podróży mieszkają, tamtędy większa część dążyć musi i na oznaczonych etapach żeruje i odpoczywa. Nie ciągną one misternie, jak inne ptaki, gdy pilno,

a głodu niema, lecą jak można najpilniej, a jak szczęśliwy wiatr im dopomaga, wcale się do ziemi nie zniżają; przeciwnie, gdy wiatr się zmieni, a śłota nastąpi, spuszczają się jak najniżej i goniąc i łowiąc owady przetrwają ten przykry czas. U nas po 20 września ciąg główny jaskółek skończony, widzieć się dają spóźnione rodziny z drugiego gniazda, które się do lotu hartują i pod przewodnictwem rodziców pędzą w nadziei, że gdzie na brzegach rzek i jezior, a w najgorszym razie nad morzem dogonią główną armię, która się zawsze na tych miejscach zatrzymuje, organizuje, dzieli w korpusy i czeka, jak żaglowa flota, na pomyślny wiatr. Jeszcze spostrzegamy później pojedyncze jaskółki, kopiące powietrze swawolnym skrzydłem, jak Kochanowski mówi, latające jak błędne ptaszęta! O, to biedne żyjątka, które najczęściej głodowa śmierć zamorzy lub też zimno zmrozi; ten lot błyskawicy, te niespokojne ruchy, ta niepewność kierunku, wyraz smutny, to oznaki rozpaczcy za towarzyszymi, to żal za rodziną, to nareszcie przeczucie przedwczesnej śmierci!

Instynkt to najgłębsza nauka, to Boskie światło, nieomylne; szczęśliwy, kto go posiada. Jak często przed czasem gromadzą się jaskółki, starsi przewodniczą, szczebiocząc młodzież swawolną do wędrówki namawiają, lecz ta widząc latające owady, czując jeszcze grzejące promienie słońca, używając rozkosznej kąpieli, protestuje hałaśliwie. Przewodniki raz, drugi się zrywają, lecą w oznaczoną stronę, oglądają się, drużyna nie leci, wracają napowrót i znowu napominają głośniejszym szczebiotaniem. Nareszcie radzi, nieradzi, posłuchają rad

starszyny i ulatują przed grożącym niebezpieczeństwem; i istotnie zimna ślota długotrwała następuje. Gdy jaskółki smutne często na mieszkaniach siadają, opuszczają skrzydełka, smutnym wzrokiem pociągają w około siebie i nie świergoczą: o, niech gospodarz baczny będzie, bo to nieomylna oznaka zimnej śloty. Gdy te ptaszyny w lecie szybko nad wodą lub powierzchnię ziemi latają, powtarzając przeraźliwie dwie nuty ustawicznie, wtedy będzie deszcz, one do siebie mówią »spiesz się z jadłem siostrzo, bo gęste krople z nieba lot nasz wstrzymają, donoś dziatwie pożywienie, bo do domu uciekać wypadnie.«

Gdy niebo brzemienne chmurami, wiatr boleśnie wyć zaczyna, staropniowe drzewa lamentują, słońce się od ludzi odwraca i dzień ciemnieć zaczyna, a wszystkie zwierzęta smutnie ku ziemi spoglądają i człowiek wzrok błagalny do nieba wznosi, pełen trwogi i oczekiwania, gdy pierwszy odgłos odległego jeszcze grzmotu słyszeć się daje, jak mruczenie potwora, o wtenczas jaskółki wirujące w powietrzu, przesywające niepojętą szybkością lotu nasz widnokrąg, a żałośnie piszczące, niepospolicie przyczyniają się do uzupełnienia obrazu, jaki przed burzą widzimy. Gdy pierwsze krople padać zaczynają, a łoskot piorunu słyszeć się daje, wszystkie jaskółki w jednej chwili znikają tak szybko, że żadne oko doścignąć ich nie może, zdmuchnięte czarodziejskim oddechem z horyzontu.

Mimo ich instynktu, rozumnego i praktycznego doświadczenia, niemałe klęski na nich Opatrzność spuszcza. I tak, w latach 1817, 1829, 1839, 1845, 1853

i 1855, krocie ich z zimna i głodu w śnieżnych wiosnach zginęło. One to nieszczęście przeczują, widziały je zbliżające się, lecz ich termina są nieodwołalne, one ich dotrzymać muszą, bo tak prawidła przyrody każą, a gdy bieda za ciężką się stawała, wtedy też już sił nie stało do ucieczki. W ostatnich wyżej wymienionych latach, spadały z powietrza głodem osłabione, zimnem przejęte, w ręku tak smutnie na człowieka, tego ich towarzysza, przyjaciela i opiekuna patrzyły, z tym wyrazem co mówi: dla nas już żadnego ratunku niema, już się z życiem rozstać wypadnie! Inne wniesione do kuchni, piekarni, stajen i owczarni, przychodziły pomału do siebie, z początku cicho wabiły, potrzepotały skrzydełkami, a wdzięcznie zanuciwszy podziękowanie, dalej w pogoń za muszkami; jak tylko od zimna struchlałe członki ogrzały i kilkunastoma muszkami głód zaspokoili, zaraz do okna były ustawicznie, błagającym piskiem prosiły o wypuszczenie, bo tu im za duszno, za ciasno, im trzeba wolności, nieograniczonej przestrzeni, bo jaskółka się w żadne karby ująć nie da, stworzona do bujania w powietrzu. Niejedna później przez otwarte okno wleciała do tych gościnnych mieszkań, siadła na gźem-sie, zaświergotała harmonijnie na znak pamięci wdzięcznej, potem okrążyła przestrzeń, złowiła kilka muszek i znowu w świat powędrowała, i te dziękczynne odwiedziny kilka do kilkunastu razy w ciągu lata powtarzała.

W opisach podróży, kapitanów okrętów, OO. Misjonarzy napotykać terminy, w których jaskółki przybywają do ciepłych krajów: między 5 a 20 pa-

ździernika przylot ich przez długie lata był notowany w Senegalu, na Przylądku dobrej nadziei, na wyspach Kanaryjskich, w Jamajce i t. d. Niejedno stado jaskółek, opuszczając południową Europę ku końcu września, *w kilkunastu dniach w tych odległych krajach staje*. Ich marszruta mądrze obmyślana, a ich wczesny odlot z naszych stron dowodzi ogromu przezorności; najrychlejszą dążą na południe, aby tam nad brzegami jezior i stawów, koło włościańskich mieszkań, nad stadami owiec i bydła, doczekać się przy obfitem żerowisku pomyślnego wiatru, a jak tylko ten wiać zaczyna, zaraz korpus w subordynacji ruszać się poezyna, żagli rozpościerać nie potrzebuje, bo zawsze niemal rozpięte i odlot w jednej chwili rozpoczęty o którejkolwiek godzinie. Gdyby nie tak wcześniej od nas wyruszały, wtedy późniona pora nagliłaby je, a często i zmusiła podróżować za Ocean z niepomyślnym wiatrem, przez co te rozliczne armie byłyby narażone na ogromne niebezpieczeństwa. Marszruta prowadzi je zawsze nad wyspami, gdzie wypoczywają i tam równie wiatru pożądanego czekają; częstokroć zmęczone, tysiącami obsiadają maszty okrętów i świergocząc dają oznaki radości, że znowu w towarzystwie ludzi się znajdują. Gdzie mogą tam nocują; są to ptaki, które w ogólności w późnej ciemnej nocy podróżować nie lubią i to tylko w nagłej potrzebie robią, a jeżeli zdarza się sposobność, którą zresztą dziwnym instynktem przygotować umieją, wtedy nocują na drzewach lub na skałach, a wylatują przed wschodem słońca i lecą późno w wieczór.

Od czasu ustawienia słupów telegraficznych i wyciągnięcia drutów przy liniach kolei żelaznych, odlatujące i podróżujące jaskółki obrały sobie te druty za punkta obserwacji i wypoczynku. Każdy podróżujący spostrzegał siedzące jaskółki na tych drutach po kilka, kilkanaście, a niekiedy po kilkaset przytulonych do siebie, gdyby na rożen wbitych. Stacje kolei tak często telegrafem korespondują, że nie można przypuścić, aby jaskółki nie doznawały elektrycznego poruszenia. Wiele razy i przez długie chwile uważałem jaskółki na drutach siedzące, lecz nigdy nie spostrzegłem, aby były raptownie spłoszone, coby dowodziło, że ruch telegraficzny nie oddziaływa na te delikatne organizmy.

Znany podróżujący Adanson, równie znany misjonarz O. Jezuita Kircher, podają nam nader ciekawe szczegóły o przylocie jaskółek w powyż cytowane kraje. Pierwszy opisuje, że nie jeden raz napotkał w nocy na piasku śpiące jaskółki po dwie, trzy do czternastu razem na brzegu morza (oczywiście gdzie drzew i wzniosłych siedzib nie było), tak zmęczone, że się poderwać nie chciały, a gdy powracał na drugi dzień, już wypoczętych nie natrafiał. Ojciec Jezuita, który długie lata w Azyi przepędził, daje nam ciekawe daty przylotu i odlotu jaskółek (*Le monde souverain*) i utrzymuje, że się spotykają z bocianami i w te same kraje lecą, co i ci nasi opiekunowie; dalej powiada, że w Libii i Etiopii całą zimę przepędzają. Lecz zostawmy podróżujące jaskółki, gdzie ich instynkt pędzi; im tam lepiej między dzikimi ludami, bezpieczniej na puszczy jak w postępowej Europie, w której gdziekolwiek chciwość sma-

koszy posunięta do tego stopnia, że nawet i te odrobiny tak nam pożyteczne pożerać usiłują, a wspomnijmy o wrażeniach, jakie nam zostawiły w kraju.

Jaskółka, jak już mówiłem, to pośpiech uosobiony, zidealizowana wolność bez granic, lecz przytem czuła, wdzięczna, rozumna ptaszyna. Nigdy nie zapomnę, gdy w srogiej wiosnie roku 1853 otworzyłem zmarzniętym jaskółkom wrota do owczarni, z jakim rozkosznym śpiewem wleciały do środka, a potem jak na podziękowanie, gdy wszedłem za nimi, okrążyły tak blisko głowę moją, że ledwie o kilka cali czasem od méj czapki były, a zawsze harmonijnie nucąc; potem puściły się w pogoń za muchami, które jako mieszkańcy już tam dawno przed zimnem się schroniły, i niepospolitą klęskę im zadały. Jaskółki uspokoiwszy głód, siadły na belce i śpiewać poczęły wesoło, ja siedziałem naprzeciwko z rozczuleniem, bo ten hymn dziękczynny był dla mnie i ja je dobrze rozumiałem; po godzinie już nowy niepokój, znowu ciasno, znowu duszno, już moje republikanki tych pętów znieść nie mogły, to do wrót, to do okien pukały i napierały się na dwór, naturalnie wypuściłem je, bo jakże miałem zrozumieć moje lube ptaszęta. Wyleciały znowu z ukontentowaniem, bo mimo, że tam chłodno i głodno, lecz tam niczém niekrępowana wolność; świat cały, to ich przestrzeń, niebo i ziemia jedynemi granicami. W tych słotach robiłem sobie codzien tę zabawę wpuszczać i wypuszczać moje jaskółki i zawsze odbierałem te same oznaki wdzięczności w locie i śpiewie. Byłe ruchu jaskółki nie hamować, to można ją do wielkiego przywiązania dopro-

wadzić; nawet do tego stopnia, że sześć miesięcy później po odbytej podróży, powraca do mieszkania, pozna dobroczyńcę, pozdrowi śpiewem i niemal co dzień wita go w domu i na dworze.

Czułość jej w każdej porze podziwienia godna — i tak patrzeć na starsze rodzeństwo, jak się młodszemu opiekuje, jak pomaga znaleźć pożywienie, jak prowadzi na spoczynek; a cóż dopiero powiedzieć o téj czułej wierności małżeńskiej i o przywiązaniu rodziców do dzieci! Ileż to w autorach podań czytamy, że rodzice powracając do piskląt z łowów, zastali mieszkanie w płomieniach, zatrzepotali więc w oddaleniu chwilkę, żałośnie zawabili i w ogień się rzucili, nie mogąc téj straty przeżyć. Podziwiać musi ich tkliwą czułość każdy, co zbadał ich życie, podziwiać poświęcenie dla towarzyszek, rozum i pamięć: na to mam stokratne dowody, lecz aby moich miłych czytelników więcej nie nudzić na ten miesiąc, zakończę życie jaskółek, a opiszę parę jaskółek mego zacnego i uczonego przyjaciela Dra Ludwika Thienemana, mieszkającego w bliskości Drezna. Ta parka daje dowody pamięci większej jak u czworonożnych zwierząt, a przytém dowody czułości i pamięci zarazem!

rodę całą w ogólności, a każdą ptaszynę, każdego robaczka w szczególności i przez całe ich życie! Czy my ją możemy nie kochać, gdy pomyślimy, co za dobrodziejstwa ona nam świadczy, że ona nam wiosnę, a z tą uroczą porą i łaskę Boga z Jego dobrodziejstwami sprowadza; gdy rozum nasz badawczy zgłębi ję życie i pozna tę organizację tak mądrą tego liczego zawsze towarzystwa, organizacją opartą na miłości i pomocy wzajemnej, a gdy nareszcie widząc tę urzeczywistnioną wolność w tém lotnym żyjątku, które wszędzie ma pożywienie, wszędzie umieszczenie, a przecież garnie się do człowieka, bawi go, uwalnia od owadów, a przytém nuci mu ustawicznie harmonijnym śpiewem, zawsze go przyjemnie zatrudnia: powiedzcież szczerze, czy jaskółka nie znajdzie drogi prowadzącej do serca waszego? Nie prawdaż, wy nie pozwolicie już niemieckim klucznicom i kucharkom wybijać gniazda ich na strychach waszych; przebaczyście jaskółce, że czasem i to pewnie przypadkiem upuści essik na wasze mąki, krupy lub słoniny; bądźcie pewni, że ona stokrotnie ten nieporządek zapłaci, łowiąc wołki, muchy, żuczki szkodliwe, ich jaja, robaczki i poczwarki.

W opisach marynarzy nieraz zdarzyło mi się czytać zajmująco skreślone wrażenia, jakie sprowadza gromada zmęczonych jaskółek, która siada na masztach okrętu. Z początku radość wielka, lecz to złudzenie krótkotrwałe, bo każdy z nich wie dobrze, iż jest na wielkim oceanie między niebem a falami morza, daleko od matki ziemi, daleko od bliźnich; po ukończonej służbie najprostszy majtkowie, dalej załoga,

III.

W letniej porze, gdzie człowiek, tam i jaskółki: one są pociechą błądzącego, one są wskazówką dla żeglarzy, one ich nadzieją, że stały ląd niedaleko! Ileż to opisów podróży morskich mieści w sobie rozczulające obrazy na widok pierwszych jaskółek! W nowém dziele o podróży Krzysztofa Kolumba przez p. Roselly de Lorgues 1857 jest opis wrażenia, jakie wywarła jaskółka na całą osadę okrętową tego uczonego męża: od znakomitego geografa do posługacza i chłopca wszyscy w łzach tonęli, a potem zgiąwszy kolana, korzyli się w dziękczynnej modlitwie przed Wszechmocnym Panem świata, bo już wtedy żaden o bliskich brzegach Europy nie wątpił. Ten rozczulający obraz, tę modlitwę, to jaskółka sprowadziła, jak sprowadza tyle myśli u ludzi czucia i serca: myśli rozrzewnienia, pokory i podziwiania; jak sprowadza zawsze zastanowienie nad ogromem mądrości, która stworzyła i prowadzi przy-

oficerowie i nareszcie kapitan sam, wszyscy tak uczeni, jak prostaczkowie, siadają lub stoją bez ruchu, każdy spojrzy na te towarzyski lata naszego życia, zachmurzy czoło, zaduma się i zasępi, myśl pędzi w przeciwnym kierunku statku, sięga pod strzechę rodzinną, dotyka braci, sióstr, starego ojca i zgrzybiałą od starości matkę: młodzieży serce mięknie, bo któż z tych wszystkich odważnych młodzieńców nie zostawił na stałym lądzie czule dla niego bijącego serca, nie opuścił sympatycznej istoty, która go łzawém okiem żegnała i błagała o powrót, bo ich życie miało być nierozdzielne! Widzicie czytelnicy moi, cała załoga rozczulona, a wiecie, że rozczulenie zawsze duszę do Boga podnosi, wiecie, że rozczulenie odwraca od grzechu, sprowadza szlachetne uczucie, jest zawsze bodźcem do dziękczynnej modlitwy. To dobre, co opisałem, to jaskółeczka corocznie wszędzie i kilkakrotnie sprowadza, czy ją jeszcze nie będziecie kochać? nie będziecie bronić przed ludźmi bez uczucia a chciwymi? Jeżeli jeszcze nie wzbudziłem dla niej czulej pamięci, to ją dalej chwalić będę, abyście pojęli, że Polska w lecie bez jaskółek jeszczeby smutniejszą była!

Ileż to razy na mych wycieczkach w Alpy, Tatry i Karpaty już do domu zatęskniłem, ileż razy niepewny méj drogi wachającemi krokami zmęczenie powiększałem i błądząc przeklinałem ornitologią i jój następstwa; ileż razy ty miła jaskółeczko błysnęłaś mi białym twym brzuszkiem, a świergotając wesoło, mnie pocieszałaś; kiedy ty tu, to i ludzie i ich mieszkanie nie daleko — i zawsze tak było; ty mnie nigdy nie zawiodłaś luba

towarzystwo. A pamiętasz? lecz cóż ja piszę, ty pewnie twój żywot już zakończyłaś, bo to już mnogo lat upłynęło, ty już spokojna, kresu twego dobiegłaś, bo twoje życie czynniejsze jak moje, ty już wynagrodzoną jesteś; czynność tak wielka jak twoja, z tym ustawicznym pośpiechem, nie dozwoli podeszłej starości, ty za wiele i za czule kochasz, za wiele i za często rodzisz, abyś długo na tym świecie żyć mogła, lecz ty masz pamięć, bystry rozum, ty pewnie dziatkom opowiedziałaś, a dziatki wnukom, tę noc pamiętną burzy i ulewy na skałach naszej polskiej Szwajcaryi w Ojcowie, ten dzień gniewu Bożego, pełny Jego słów grzmiących, którego ja nigdy nie zapomnę, a ty méj pamięci jeszcze dziś wiele dopomogasz; ja wtedy poznałem twój pocziwy pociąg do człowieka, twe czule serce i przywiązanie do dzieciak.

Było to ku końcu maja, jak się spinałem po skałach za gniazdami drozdów skalnych (*Turdus saxatilis*), bo jaja ich w naszym kraju nieznanne były. Oto mi chodziło, aby dokładnie opisać cały proceder lęgu, a ja jeszcze wtedy byłem ambitnym chwały odkryć, wtedy jeszcze cieszyłem się, gdy mnogie odkrycia do czasopism niemieckich podawać mogłem, zawstydzając tych głębokich uczonych, wywodzących swą naukę od arki Noego, którzy badając przyrodę w zakurzonym gabinecie, ślęcząc nad żyjątkami wypchanemi lub pływającymi po słojach nalanych spirytusem, którym oczy nad księgami wyciekły, a którzy przyrody nie znają; lecz i ja byłem młodym i ja pragnąłem, aby to *mihi* po książkach drukowane było, a gdy tego dokonałem, gdy czytałem *Luscinioides Wodźickiensis* w katalogu ptaków

europjskich, poznałem, że dla ludzi niewarto badać przyrody, lecz to do rzeczy nie należy, a zatem opowiadajmy dalej.

Spinając się po skałach, szarpiąc suknie na łomach kamieni i sterczących odłomkach, piąłem się do góry do moich drozdów; naturalnie zapomniałem o wszystkim, a wzrok miałem utopiony w tę parkę ciekawą do badania: światło pomału znikać zaczęło, bo niebo srogim marsem się pokryło, huk daleki jak podziemny, gdy ma nastąpić wybuch Wezuwiusza, słyszeć się dawał, a ja z wlepionem okiem w samca, który na swój skalnej wysokości bezpiecznym się czuł i na mnie wcale nie zważał, nucąc fletowy romansik swój ulubionej samiczce, siedzącej na jajach, piąłem się ciągle, raczkując do góry i podpierając się strzelbą, aż tu straszliwy wichur zaczyna łamać drzewa, toczyć kamienie, ogniste zygzaki powietrze przerzynają, wybierając sobie najwyższe drzewa lub sterczące kończyny skał za cel ostateczny, rzadkie krople lodowatego deszczu padać zaczęły coraz gęściej na mój ubiór letni, aż nareszcie lunął deszcz jak w potopie, istne wodne pręciki, zaczynające się w chmurach, a końcem sięgające ziemi. Ouciony tą zimną kąpielą, spojrziałem w górę i zobaczyłem małą lecz dosyć wysoką grootę, zakrytą wielkim kamieniem. Dziękując Bogu, dodrapałem się do środka i otrzepując krople deszczu szukałem schronienia. Ledwie usiadłem, a tu wlatują pędem strzały dwie jaskółki dymówki, gorzej zmoczone jak ja, usiadły blisko siebie na skale naprzeciw mnie, popatrzyły, zaświergotały na pozdrowienie i w cichości muskały pierze. Po godzinie, gdy

dobrze wyschły, zaczęły sobie nademną łowić muszki i pająki. Oczywiście była to parka małżonków, od gniazda ulewą zapędzona do groty. Zaczęły z sobą rozmowę z początku cichą, później coraz głośnieją, nareszcie świergocząc jedna wyleciała, niebawem powróciła zmoczona, pokazując towarzysze skutki tej wycieczki; druga, jak mi się zdaje, samiczka niecierpliwa, a niespokojna o gniazdo, po chwili wyleciała, a samiec już w zapale swoim usłużnym dostatecznie ostudzony, smutnie za nią patrzył w nasz otwór, a gdy znowu wlatywała, on zaszczębiotał, ona mu odpowiedziała, monotownie powtórzyły tę samą nutę, samiczka wysuszyła pierze, przytuliły się do siebie, była to szósta wieczór i zadrzemały swe troski. Była to rozmowa, którą byłby każdy zrozumiał. Wleciawszy pozdrowiły mnie, potem narzekały na słońce, ona mu się skarżyła tęskniąc za gniazdem, on ją reflektował, że w ten deszcz dolecieć nie można i że zginą; ona swoje, on swoje, nareszcie go na świat wypędziła, a gdy biedak zmoczony wrócił, zaśpiewała mu, popieściła go i znowu po chwili napiera się swego; już za dużo mężowi było, odpalił panią i naturalnie dąsać się zaczął, ona zaś chcąc na swoim postawić, sama wyleciała na przekonanie; małżonek smętnie za nią pociągnął wzrokiem, żałując tego uporu, który samiczka nazywała charakterem i wytrwałością, a gdy powróciła w opłakanym stanie, nie wyśmiał ję, lecz przebaczył, popieścił i razem na pociechę poszli sobie spać. Długo myśląc nad tą parką, i ja ogrzawszy się nieco zasnąłem tak szczęśliwie, że przy wschodzie słońca wesole świergotanie jaskółek mnie przebudziło; one dla mnie tylko

zaświergotały, gdyż jak tylko na nie popatrzyłem, trzepocząc skrzydełkami zaśpiewały mi *adio amico* i w świat ruszyły swym szybkim lotem.

Powiedcież sami, czy to nie ludzki epizod? Czy nie był każdy z was już w tém położeniu? walczyć z wolą kobiety *bronią doświadczenia i rozsądku, przeciw uporowi z całym swym czułym, kapryśnym i estetycznym uporem?*

Z wszystkich dokładnie mi znanych ptaków, jaskółki i sikory szczególnie *łączy solidarność miłosierna* w niesieniu pomocy do wychowania obcych piskląt: i tak młode jaskółki z pierwszego gniazda, niemające w tym locie innych obowiązków jak pożywienia szukać, igrać w powietrzu i nucić chwałę Bożą nieharmonijnym jeszcze głosem, te jaskółki, jak gdyby się wprawiać i przygotowywać chciały do przyszłych obowiązków ojców, noszą pożywienie innym pisklątom; tak samo robią, widząc z drugiego zniesienia spóźnione ptaszyny, którym rodzice z przyczyny chłodnego już powietrza, dostatecznego pożywienia dostarczyć nie mogą; więc instynktowe uczucie litości pobudza do potrojenia pracy i zabiegów, spieszą się, aby przed terminem podróży i te pokrewnione towarzyszki wyprowadzić z gniazda i zabrać z sobą w podróż. Rozczulający to widok, gdy kilka lub kilkanaście jaskółek ku jednemu gniazdu nadlatuje i każda w dzióbku muszkę lub robaczka niesie. trzepocze skrzydełkami, zawabi, jak gdyby powiedziała: »spiesz się dziecię, bo ja czasu nie mam,« i znów druga i trzecia, a pisklęta tłuste jak kluski, cierkają otwierając dzióbki, zdziwione tą niespodziewaną obfitością pokarmu,

rosną spiesźnie, jak baby na drożdżach; nareszcie rodzice drugie rodzeństwo wyprowadzają na świat i jak zawsze, scena się odbywa na dachu. Tam, jak przy gnieździe, miłosierne jaskółki o swych adoptowanych dzieciach nie zapominają, donoszą im żer, zachęcają do lotu i tak się niemi opiekują, że po kilku dniach już młode ptaszyny hurmą latają. Gdyby nie ta czuła litość i większa ilość samców jak samiczek w gromadzie ptaków, które nie żyjąc w tym roku w małżeństwie, poświęcają się pokrewnionym, a w kłopotach zostającym z całą miłością, jaka charakteryzuje moje lube żyjątka, jakżeby sikorki mogły dwóchkrotną dziatwę jednego roku na świat wyprowadzić!

Trzeba wam wiedzieć łaskawi czytelnicy, że Bóg w swém dla nas miłosierdziu tak w przyrodzie zrządził, że co nam najpożyteczniejsze, to się najliczniej mnoży, więc w swym ogromie łask dla ludzkości, a szczególnie dla wieśniaków, nakazał sikorkom, aby znosiły po 15 do 17 jajek, dwa lub trzy razy do roku się mnożyły i tym sposobem działał, że jedna parka tych drobnych ptasząt wydaje na świat w jednym lecie 30 do 40 pożytecznych sikorek, które nie opuszczając nas jak inne owadożerne ptaki, dni 364 zbierają robaczki, muchy, larwy i poczwarki, a gdy sroga zima nadchodzi, rodziny kupią się razem i dobroczynnymi marszami przeciągają po sadach, ogrodach, gajach i lasach, skrzętnie zbierając po gałęziach i w korach drzew zniesione jajka owadów i motyli i tém sześciomiesięcznym poławianiem pełnem poświęcenia dla nas, wzbraniają wykluciu się gąsienic, które bez tych naszych pracowitych

ptaszków pomnożyłyby się do nieskończoności i nie zostawiły jednego listka na drzewie. Tak to nasze sikorki, o których może wam kiedyś zapisek poszlę, są to opiekunki naszych krzewów i owocowych drzew. Sikorki dzielimy na leśne i trzcinne; pierwszych jest siedm gatunków, drugich zaś dwa: pierwsze gdy tylko śnieg zginie, wyszukują sobie przeszłoroczne dziupły w pniach drzew lub gałęziach, wyczyszczają je schludnie i zaraz znoszą tę wielką ilość jaj, która zdaje się badaczowi, iż nie może się w tym małym brzuszku pomieścić, a cóż dopiero gdy pomyślimy, że wszystkie muszą być równym ciepłikiem ogrzane, który znowu tylko od małego brzuszka matki pochodzi; więc czasem i kochający ojciec się poświęca, głód cierpi, oboje biedują, w nocy wspólnie wysiadują i to poświęcenie nareszcie dobrym skutkiem uwieńczone. Zdarza się wprawdzie, że tu i owdzie w gnieździe zostanie jedno lub kilka jajek niewysiedzianych i zepsutych, lecz zawsze to olbrzymie dzieło wysiedzieć 15 do 17 sikorek. Wszakże to poświęcenie jest niczem w porównaniu tego, które kochającą parkę czeka później, gdy ta gawiedz ustawicznie o pożywienie piszczy; krzątają się rodzice, jak mogą, lecz nastarczyć niepodobna; lecą na wszystkie strony głosić swe kłopoty, żalą się sąsiadkom, skarżą przed krewnymi, że przyjdzie zagłodzić kochane dziatki; sąsiednie parki w podobnym ambarasie, zamiast pomocy, równie obarczone liczną dziatwą, jeremiady świstają narzekając na ciężkie czasy, *aż nareszcie beżżenny* samiec ofiaruje swe usługi i pełen poświęcenia żywi obce pisklęta. Nie uśmiechajcie się czytelnicy, myśląc może,

że ten samiec pała jakim afektem do matki téj rodziny, lub co gorsza, że się może w części przyczynił do tych 15 jajek; a pfe! nie rzucajcie téj hańby na tę matkę wzorową, ani téż na tę zacną żonę, która życie trawi na poświęceniu dla męża i dzieci. Sikorka to rodna ptaszyna, nie ma w życiu ani chwili czasu do zgubnych marzeń lub swawolnych myśli, to cnotliwa samiczka, kocha męża, z nim przykładowie żyje, nigdy od obowiązków się nie odsuwa, pokorna i posłuszna, rodzi ogromnie, sama zawsze karmi, dzieci w świat wprowadza, znowu rodzi, znowu karmi, a często wypadnie i trzeci raz to poświęcenie w jednym lecie wypełnić; pije ten ogromny kielich goryczy, bo na dzień jego jest nagroda w wypełnieniu swych obowiązków. Ależ bo jakże odmówić takiemu samczykowi, który tkliwie kocha, silny, zdrow i pełen poświęcenia opiekun, ojciec i kochanek, toby było kaprysem nie do darowania, *a ptaki kapryśów nie miewają*. Często więc obcy samiec, czasem i dwóch przyczynia się w noszeniu żeru dla téj licznej i zgłodniałej rodziny i tym sposobem jest im daną możność wypełnić swe przeznaczenie*). Wybaczcie ten ustęp nie należący do méj historii o jaskółkach, lecz to podobieństwo w poświęceniu wprowadziło mi

*) Tosamo poświęcenie widzimy w kuropatwach (*Perdix cinerea*). Zdarzało mi się nieraz widzieć dwóch samców przy tém samym gnieździe, w którym było dużo jaj; zdaje mi się nawet, że mogą twierdzić, iż przybrany opiekun posuwa poświęcenie do tego stopnia, że gdy prawy małżonek idzie za żerem, on go w wysiadaniu wyręcza i to pewnie bezinteresownie, bo jaja już zniesione.

w pamięć kilka zdarzeń, które mnie rozczuliły i nigdy tych scen sikorek nie zapomnę.

Mój zacny i uczony przyjaciel Doktor Thienemann, mieszkający pod Dreznem, tyle zasłużony badacz ornitolog, miał z jaskólkami ciekawe zdarzenie, które tu umieścić muszę. Zdaje się, że was zając powinno, bo dowodzi w jaskółkach wykształconego uczucia, pamięci i przywiązania; z drugiej strony ujrzycie szkic tego autora, pełnego poświęcenia dla ornitologii. W połowie czerwca roku 1841, szczęśliwie wywiódła parka jaskółek dymówek pięcioro piskląt i wyprowadziła na świat, lecz chociaż to było w Saksonii i w miesiącu czerwcu, wilgotne zimno dokuczało wszystkim żyjątkom. Posiadały jaskółczęta szeregiem na gałęzi, przed domem stojącej akacyi i w smutnym usposobieniu czekały na żer, który rodzice mieli przynosić; mijaly godziny, a rodzice mimo *nadjaskółczych* wysilen nie mogli złowić owadów, które przed słońcem pochowały się były; głód i zimno już tak zniszczyło na gałęzi siedzące pisklęta, że najmniejsze spadło na ziemię nieżywe, a drugie żałośnie piszcząc o pomoc, opuszczały skrzydełka, a z napuszczonym pierzem trzęsły się wszystkie.

Miłosierny mój kolega, widząc to srogie nieszczęście, które całą rodzinę już ogarnąć miało, otwiera okno najbliższe siedzących biedaczek i puszcza im złowione w pokoju muchy; jaskółki chciwie chwytają ulatujące owady, a uczony badacz zapomniawszy o książkach, manuskryptach i preparatach, łapie z dziećmi muchy po kuchni, spiżarni i pokojach, podając je jaskółkom. Ptaszyny poznały to dobrodziejstwo, odwróciły się wszyst-

kie, chciwie patrząc na okno i gdy tylko ręka jego się pokazywała, już posilone trzepotały radośnie, a rodzice okrążając to miejsce, wdzięcznie nucili, jak gdyby dobroczyńcy dziękowali, już nie myśląc o szukaniu żeru dla swych dzieci. Tym sposobem uratował z nich cztery pozostające ptaszyny, a gdy słońko zaświeciło, poleciały w świat jaskółki z rodzicami. Dobrze sobie całe lato to okno pamiętały i codziennie wlatywały, gdy im otworzono, wylapywały wszystkie muchy i znowu odlatywały, zawsze pierwój na gźemsach śpiewkę wynuciły. Nadszedł termin odlotu, więc powędrowały, jak i inne; lecz następnej wiosny ranku pewnego, trzepocze jaskółka przed oknem, domagając się wpuszczenia, a gdy otworzono, wleciała, okrążyła pokój cały, siadła na ulubioném miejscu i zaczęła nucić wesołą pieśń przybycia. Wlatywała nawet przez otwartą szybę jednę i gdy wieczór o lokatorce zapomniano, wybrała sobie miejsce do spania na szafie. Pierwszych dni, gdy świece wnoszono, bardzo się płoszyła i latając o ściany tłukła się, później zaś i do téj innowacyi się przyzwyczaiła i wcale się tém sztuczném słońcem nie raziła. Po tygodniu przeprowadziła drugą, która po wielkich ceremoniach narzeczcie do pokoju wprowadzić się dała i skromnie przy towarzysze usiadła, garnąc się pod jój opiekuńcze skrzydła. Nastąpiły słoty zimne, jaskółki w ciepłym pokoju instalowane dostawały muchy, ćmy i motyle; jak tych zabrakło, więc pająki i larwy mrówek; dzika przybyszka porównawszy to życie z tém, co towarzyszki na zimnem powietrzu używały, oswoiła się, iż z ręki pożywienie przyjmowała i już każdej nocy razem na szafce sypiały.

Zowój czulej poufałości na téj szafce, wywiązał się afekt, bo niedługo trzeba było pomyśleć o gniazdeczku, a tu jak na złość ściany tapetami obite, a drzewo gładkie, bo olejno pomalowane, nigdzie więc bryłki błota przylepić nie można; radzi więc miłosna parka, próbuje wszędzie, znosi lepkie błoto, lecz te wszystkie usiłowania do niczego nie prowadzą: co przylepią bryłkę pierwszą i lecą po drugą, wróciwszy widzą ją na ziemi, więc już niema ratunku, trzeba opuścić gościnny dach; smutnie nucąc siadają na szafie, spoglądają na swego dobrodzieja, czy téż on nie ma dla nich ratunku? Przechowywały lube ptaszyny, że badacz miłujący naturę, wykształca coraz więcej pojęcie jój potrzeb, odkrywa codzień tajemnice i nareszcie jest z tą przyrodą ściśle związany węzłem czułym, a rozumnym, opartym na doświadczeniu. Thienemann jest z tych rzadkich kapłanów przyrody, który ją sercem przez całe życie miłował, a rozumem wciskał się do najgłębszych jój tajników; umiał więc i téj biedzie zaradzić: poszedłszy do stajni odtupał opuszczone gniazda przeszłoroczne, przybił kilka na desce i postawił na szafie. Jaskółki wzięły się zaraz do naprawy i dalszej budowy; skrzętnie budowały dzień cały i byłyby pewnie ukończyły, żeby nie nowa przeszkoda. Deszcz z wichrem trwający dni kilka, przymusił mieszkańców do zamykania okien, więc z jednéj strony zimno takie, że na dwór lecieć nie można, z drugiejj strony przy najlepszej ochocie otworu nie było; markocą się moje ptaszyny, bo rzeczywiście już jajka samiczce ciężyc zaczynają i może się zdarzyć niepospolity skandal zgubienia legalnego jaja, gdzie na

szafie lub gźemsie; — i temu troskliwy badacz zaradził, postawiwszy miskę z gliną i wodą rozrobioną, jaskółki zaraz przyjęły podany materyał, wykończyły gniazdo, a z pierzyn niemieckich w powietrze puszczane piórka i chwytane chciwie, posłużyły na wysłanie środka i niebawem samiczka rozsiedziła się na 5 jajczkach. Samiec rozkosznie nucił swe szczęście, rano budził śpiewem swego dobroczyńcę, a pukając w okno prosił o wypuszczenie. Dziwnie ta ptaszyna przywiązała się, na spacerach towarzyszyła mu, gdy były nie bardzo oddalone, lub téż wtedy leciała spostrzegłszy swego pana naprzeciw niemu, wołając *diwit witwit*, okrążała go kilkakrotnie i różnemi ruchami i ewolucjami powietrznemi okazywała swe do niego przywiązanie. Często po winnicach i gęstwinach krył się Thienemann, a jaskółeczka tak długo szukała, aż nareszcie go odszukała i wabiąc mówiła mu: *już wiem, gdzie jesteś*. W pewnych naznaczonych dniach, mając urządowanie w mieście, chodził mój badacz do Drezna, zadaleko jaskółce było lecieć z nim, więc go odprowadzała kawalek drogi, pozdrowiła i wracała do swego gniazda; godzinę powrotu zaś doskonale pamiętała i zawsze ją na tém samém miejscu spotykał, słysząc już zdaleka *wit wit*, a gdy czasem zamysłony nie zważał na pieszcotliwe ruchy téj przywiązanej ptaszyny, wtedy nad samą głową trzepotała, okrążała go kilkakrotnie i dopiero, gdy na nią zawołał, uspokoiła się i naprzód leciała do pokoju, a tam zasiadłszy na ulubioném miejscu, głośnym śpiewem przyjmowała swego pana. Innych dni pracował w ogrodzie lub w winnicy, bo mój kolega i botanik i pomolog, gdy jaskółka opieką

dzieci i żony nie była zatrudnioną, przylatywała do niego i usiadłszy blisko, nuciła mu rozrywkę; nawet wśród licznych towarzyszek nad wodą lub pod obłokami, jak ją zawołał, opuszczała wszystko, przyleciała do niego, a okrążywszy kilka razy, pozdrowiła go i dalej bując poleciała. Nareszcie zasłabł uczony badacz i musiał się do łóżka położyć, doktor kazał zamknąć okno, więc zamknęli, a tu jaskółki miały młode; chory więc nie mogąc swych towarzyszek narazić na niebezpieczeństwo, kazał mały otwór wyrznąć w szybie i tą nawet małą dziurką wlatywały i wylatywały jaskółki, jak gdyby tę konieczność niewygody były zrozumiały; wychowały pisklęta szczęśliwie, drugi raz niżniósłszy jajek, kilka tygodni wprawiały je do lotu, a gdy termin nadszedł, powędrowały z drugimi.

Trzeciego roku ku końcu kwietnia, słyszy znowu znane mu *witwit* głośno powtarzane, spojrzął w górę i spostrzegł luźną churmę jaskółek, zawołał — i w tej chwili pędem strzały spuściła się przywiązana ptaszyna ku niemu, dając dowody swój uciechy i pamięci. Tu człowiek pełen czucia, tęsknił za swą jaskółką przez długie zimowe miesiące, ona w czasie wędrówki po Azyi i Afryce nie zapomniała swego dobroczyńcy, powitali się oboje, on piechotą, ona na skrzydłach pospieszyli do domu, okno zostało otwarte, jaskółka każdy kącik obleciała, na wybraném miejscu usiadła i długo nuciła swe pieśni dowodząc, że nic nie zapomniała i że tego roku niemal rozkoszniejsza, jak innych lat, potrafi rozzerwać i wywdzięczyć się znowu za przyjacielską opiekę. Sroga to była ta wiosna roku 1843, zimna, wietrzna

i mokra, zniszczyła krocie ptasząt na wędrówce będących; zdaje się, że i nasza jaskółka straciła żonkę w niebezpiecznej do nas pielgrzymce, bo dnie i tygodnie uganiała za jaskółkami, robiła dalekie wycieczki, na noc wracała do swego pokoiku, lecz zawsze sama i sama, nie mógł ten wdowiec zdobyć żonki na to lato, a jak sobie wprowadził którą przez okno, pokazał gniazdeczko, pieścizotami zapraszał, nucił miłośnie, to zaraz spłoszona ulatywała i już wrócić nie chciała; raziło każdą wstydliwą samiczkę słać łożę małżeńskie nad łóżkiem człowieka, więc uciekała, on za nią gonił, prosił, śpiewał, gracyą lotu chciał ją zdobyć; nic nie pomogło, żadna nie chciała słać gniazda w pokoju i zależeć w swoich ruchach od człowieka, wolność przekładała nad wszystko — i nasz biedny samiec spędził lato w bezżenności, ciesząc się wyłącznie przywiązaniem swego dobroczyńcy i przyjaciela, podwojonym brakiem obowiązków dla rodziny i gniazda, ile więc tylko czasu miał wolnego, tyle go poświęcał przyjaźni, śpiewał dużo, odbywał długie spacerki, a będąc częściej razem, znajomość stawała się coraz czulszą, przywiązanie coraz większe. Gdy ku jesieni jaskółki gromadzić się zaczynały, nasz wdowiec codzień się z niemi łączył, codzień wprawę lotu odbywał, często nawet noc za domem przepędzał, aż nareszcie jednego dnia przyleciał nad wieczorem, zawabił jak gdyby chciał na siebie uwagę zwrócić, potem śpiewał głośno, śpiewał długo, a śpiewał smutno, siedząc na tém samém miejscu, a gdy chyliło się ku zachodowi, okrążył Thienemana, wyleciał przez okno niecierpliwym samczyk i powędrował w dalekie kraje.

Roku 1844 na wiosnę, puka do okna jaskółka, wabi i trzepocząc daje dowody swój radości. Zaiste z rozczuleniem słuchałem opowiadania téj sceny i gdybym całe czucie mógł wlać w me pióro, pewnie i wam wzruszenie sprowadziłbym; cała bowiem rodzina do płaczu poruszona, zbiegła się do sypialni słuchać śpiewu téj wdzięcznej i kochającej ptaszyny; każdy podziwiał tę pamięć serca w drobném i na oko tak lekkomyślném żyjątku, które czwarty rok zmiany nie doznało i mimo miłości do męża, przywiązania do dzieci, ciężkich obowiązków lęgu i wędrówki, mimo że sześć miesięcy żyła między czarnymi lub miedzianymi ludźmi, nie zapomniała, że pewien Saksończyk od śmierci ją wybawił, że ją gościł, że jój ze swój opieki nie wypuścił, przez cztery lata dawała więc niezaprzeczone dowody rzadkiej pamięci, czułego przywiązania i trwałej wdzięczności; — zaiste może nam służyć za przykład do naśladowania, bo w ludzkości — wdzięczność, ta córa czystych, kochających serc, coraz rzadsza między nami, płoszy ją chciwość owładająca wszystkie umysły.

Ten przykład potwierdza me zdanie, że w ptakach, jak w ludziach, indywidualności w téj samój rodzinie są różne; potwierdza dalej, że ptaki mają instynkt, który więcej lub mniej wykształcają, lecz że rozum, czucie, pamięć w tym samym rodzie w jednych wygórowane, w drugich mierne, w trzecich wcale nieistniejące, i te ostatnie li instynktem, tą od Stwórcy daną im busołą w życiu się kierują. Są ptaki płochliwe, inne z odwagą; te mają łatwe pojęcie, tamte przez cały ciąg długich lat niczego się nie nauczą (o tém wypiszę przy *Jaskółce*

Brzegówce ciekawe zdarzenie z mego dzienniczka), są takie, co od gniazda do śmierci płochliwe nad miarę, całe życie w strachu przepędzają; są znowu inne, które rozróżniają niebezpieczeństwo prawdziwe od straszącego a nie istniejącego; równie i takie, co już w pierwszym roku odznaczają się odwagą lub zaufaniem do człowieka, a co więcej nas jeszcze uderza, to rozpoznawanie niebezpiecznego człowieka od spokojnego i sympatycznego; jak w ludziach, tak w ptakach uczucie bywa różne i stopniowane, rzadko spotęgowane; którąkolwiek parę badacz pod uwagę wzięć zechce, wszędzie znajdzie, jeżeli się tak wyrazić mogę, inny stopień, inny gatunek czułości i przywiązania, rzekłbym nawet, że stosunki małżeńskie są inne, szczególniej te, które wyłączenie od samca zależą (mówię zawsze o ogóle ptaków i wszystko, co twierdzę, jest właściwe ptakom każdego gatunku w większym lub mniejszym stopniu). Weźmy tę rodzinę przez Thienemanna od głodowej śmierci uratowaną: z czterech jaskółek, w jednej tylko uczucie tak szczytne się wykształciło, reszta rodziny prawami rządzącymi ogół żyła dalej, jak większa część jaskółek żyje, niewykształcając rozumu i czucia, a może téż nie miała do tego sposobności?

Nasz samiec więc znowu przyleciał i jak to prawie we wszystkich rodzajach ptaków, nie z samiczką lecz z męskim fortrabem, bo jak to już gdzieindziej wyraziłem, ptaki organizują wędrówkę powrotu z akuratnością i niemal strategią tak dokładną, że nie jeden komendujący mógłby tam do szkoły chodzić. I tak najstarsze samczyki (stara gwardya) leci zawsze naprzód i tworzy

forpocząty z małych gromad, później lecą w oddziałach licznych samiczek i jednoroczne samce, kilka lub kilkanaście dni później, podług pory i temperatury lecą w hurmie słabsze samiczki i inne zmęczone ptaki (to marodery). Wszechmądrość tak zrządziła, gdyby inaczej ptaki wędrowały, narażałyby się wszystkie na równie niebezpieczeństwa, częstoby żer nie wystarczało, a przeciwnie wiatry lub długotrwałe słoty mogłyby cały rodzaj ptaków zniszczyć od razu, zaś podzielone, z czatami na przodzie, z kwatermistrzami kilka dni pierwej do kraju posłanymi, wszystko w tej podziwieniu godnej organizacji idzie porządkiem od stworzenia świata.

Gdy tej lubiej ptaszynie okno otworzono, ona wszystkie kąci pokoi obleciała, wszystkich pozdrowiła, wszystkich do łez rozczuliła, poleciała w świat za swemi interesami; rodzina zaś cała zebrana w grono, zadumała się głęboko, niejedna łza zatrzęsła się na powiekach dziewczyc, niejedno serce przyspieszyło swe bicie, bo wy wiecie, że gdziekolwiek napotykamy silne przywiązanie, ono nas wzrusza, gdziekolwiek napotykamy uczucie nadspodziewanie, tam nasze zadziwienie dziwną rozkosz sercu sprawia. Patryarchalna rodzina cały dzień z wzruszeniem o jaskółce mówiła, dzieci jej muszki łapały, ona po dawniej znajomości z każdą przyjacielskiej ręki pożywienie przyjmowała; lecz tej wiosny okazywała się niespokojniejszą jak pierwej, częstsze i dłuższe wycieczki robiła, nawet w wabieniu, śpiewie, locie i ruchach ta niespokojność przebijała; nareszcie odkryto dlaczego ta zmiana zaszła? Oto samczykowi już czuła przyjaźń, gościnna opieka, ojcowska troskliwość, to wszy-

stko już mu życia nie zapełniało: pokochał, pokochał samiczkę i to obcą, samiczkę zaręczoną z drugim! Cóż to za trudne zadanie, zdobyć jej serce, odpalić rywala w tej już późnej wiosnie. Nie dziwcie się czytelnicy mój jaskółce, że zaniedbuje swe dawne związki i niemal obowiązki, niech to jej reputacji nie szkodzi, któż z nas wystawiony na tę srogą próbę, porzuci miłość a wróci do przyjaźni, lub też utopiony w warze tego uczucia potrafi zaspokoić wszystkie trzy serca, nie prawda, że nasza ptaszyna tak zrobić była powinna?

Trzy jaskółeczki przez dni pięć uganiały ustawicznie, samiczka naprzód, samczyki za nią kręciły się w powietrzu, jak trąbą wichru miotane, lub też ona siedząc na gałęzi, spoglądała na walkę toczącą się, a mającą rozstrzygnąć o jej przyszłym losie, nareszcie szóstego dnia nasz samczyk ją zdobył i w tryumfie wprowadził do pokoju; naręczona, jak się zdaje, w stajni urodzona, w stajni wychowana, oczywiście w pokoju żenowaną była i żadna namowa, ni pieszczota nie mogły ją namówić; ile razy tylko mogła, sznurem do stajni, tam pokazywała dawne gniazdeczko, zawsze tam miała zatrudnienie, on perswadował, pieścił, często surowo napominał i niemal gwałtem do pokoju wprowadzał; lecz to wszystko na nic się nie przydało, któż samiczki upór przełamie, a mimo tej wady on ją kochał, ona kształtna, zwinna, a tak miluchno smaczna, że nasz samczyk pociągnął za nią do stajni, tam wyprowadzili pięcioro jaskółek z pierwszego gniazda, nieźle im się powodziło, lato było ciepłe, muszek pełno, kochali się bardzo, więc usamowolniwszy dziatwę, wzięli się do

drugiego zniesienia i znowu wychowali cztery szczęśliwie. Samiec swego pana nawet w rozkosznych miodowych chwilach nie zaniedbywał, nawet często, gdy samiczka na jajach siedziała, on do pokoju na noc przylatywał, zaś w żadnym dniu nie zapomniał śpiewem dać dowodu swój wdzięcznej pamięci.

W jesieni zgromadzenia jaskółek już się rozpoczęły, nasz samiec na zbory z rodziną latał, bo to obowiązek, lecz wracał i nawet z dziatwą do pokoju przybywał, aż nareszcie jednego wieczora cała rodzina długo śpiewała, a jak słońce zachodzić miało, wszystkie ptaszyny rwały się na dwór, zdaje się, że na tę noc rozkaz marszu był wydany. Zrozumieli to Thienemannowie, wszyscy posmutnieli, jakies żałobne przeczucie ogarnęło ich serca, bo my wiemy niestety, że kto kocha, ten się ustawicznie boi; kto kocha, ten ustawicznie niespokojny; kto kocha prawdziwie, ustawicznie strwożony myślą, że ten skarb utracić może, więc i oni zateęsknili za lubą i rozumną ptaszyną i oni w niespokojności pytali, czy ich miłuchna siostrzyczka na wiosnę powróci? Prawdziwe było przeczucie, sprawiedliwy żal, zasłużony smutek, bo rano roku przyszłego daremnie szukano po domie i stajni harmonijnej towarzyski, powędrowała na obowiązkową pielgrzymkę i niestety już piątego roku nie powróciła. Przyleciały inne, Thienemann wołał, dzieci wabiły, okno otwierano, muszki puszczano, nie było już między nimi téj ptaszyny, której tu nekrolog spisałem.

I wy moje towarzyski ze dworu, folwarku i wsi odleciecie, bo was prze niezmienny instykt, powędrujecie

w kraje, gdzie niema śniegu, gdzie znajdziecie ogrzewające ciepło, chmury wirujących owadów, powędrujecie tam, gdzie was ludzie szanują; jakby wszyscy szanować powinni, bo wy pożyteczne i dobroczynne żyjątka. Lećcie na południe, a zmieńcie tam wasze podróżą zniszczone pierze na lśniącą barwę, lecz wróćcie znowu do nas, przynieście ciepło wiosenne; a zastańcie nas w zdrowiu, czekających niecierpliwie na wasze przybycie. Pamiętajcie miłe ptaszyny, żeście tu użyły rozkoszy małżeńskiej, że was tu czułe przywiązanie otaczało, tu wychowaliście drobne dziateczki, użyłyście miłości! A wy wiedzieć powinny, me czułe jaskółki, że miejsce, w którym pałaliśmy głębokiem uczuciem, tak temi pamiątkami jest przepełnione, iż nas magnetycznie przyciąga. Z was więc te wrócą na owe miejsca przepełnione błogiem wspomnieniem, które w podróży nieszczęścia nie doznają, lecz czy my tu zostający was doczekamy?

Ja później i wasze spokrewnione jaskółki sumiennie opiszę; jak będzie wolniejszy czas, w téj chwili gospodarz pisać nie może, bo wy mnie widziecie codzień w nawale czynności, niedozwalającym uchwycić pióra; pewno opiszę i *jaskółkę oknówkę* i *jaskółkę brzegówkę*, lecz ja tylko do was me lube *dymówki* mam pociąg sympatyczny, wy które jesteście gracyą uosobioną, obrazem małżeńskiej czułości, przykładem zgody i jedności, ja tylko z całego rodzaju was jedynie kocham, bo ja z wami tyle lat pod jednym dachem mieszkałem, razem my dziatki chowali, wy odlatywały, my was wiernie oczekiwali, wy mnie uwalniały od much, ja was błogosławił, razem my się kąpali, ja cały zanurzony

w rzece lub stawach, wy tylko co chwila brzuszek maczały, bo pośpiech wam nie dozwalał wygodnej kąpeli; wy mnie i dzieci lotem i zręcznymi łowami owadów bawiłyście, a my was podziwiali. Ja z wami przeżyłem złe i dobre chwile, często badając wasze życie, czułem głód i zimno, wdzięczny byłem i jestem zawsze, że mi dozwoliłyście zajrzeć pod zasłonę waszej organizacji i zwyczajów, zgłębić wasze domowe pożycie, poznać cały ogrom poświęcenia i cnót społecznych.

A jeżeli wy istotnie duszyczki pokutujące słodkich i dobrych dziewic, a zakończycie waszą pokutę na tej ziemi, o wspomnijcie o mnie niegodnym przed tronem Miłosierdzia; która z was pierwszej będzie wyswobodzona, niech ta dla waszego historyografa wyprosi łaskę, aby do śmierci chwalił Wszechmocnego, podziwiał przyrodę i dalej ją zgłębiał, pełniąc swe obowiązki, a gdy to wybłagasz dla twego przyjaciela, duszyczko wybawiona, a na niego łaskawa, on tam na górze wysoko, wyżej Tatrów, Libanu i Kordylierów, wyżej obłoków i błękitnego firmamentu, tam gdzie żaden ludzki teleskop nie dojrzy, tam ci luba ptaszyno z kłiwym rozczuleniem dzięki składać będzie.

IV.

Jaskółka oknówka

(Jundz.). *Hirundo urbica*. (Linn.).

Gdybym chciał tworzyć nazwy, jak nieboszczyk X. Kluk, tłumacząc dosłownie nazwy łacińskie, niemieckie lub francuskie, łudziłbym siebie i czytelników, jak nieboszczyk się łudził, wydając te nazwy za polskie; moje przekonanie inne: z wytrwałą sumiennością ich szukać trzeba między wieśniakami, w nich książki jeszcze nie rozpuściły mgły, bałamuctwa i nieporozumienia i tam się wiele przechowało nazw, które nauce przyrody wrócić wypada, bo prosty rozum wieśniaka często trafniejsze nazwy stworzył, jak uczone głowy czerpiące po zagranicznych dziełach; a po drugie, w dawnych czysto-polskich nazwach przechowywamy pamiątki, a pamiątki to nasze skarby, może też podstawy przyszłości, w każdym zaś razie w pamiątkach szukać powinniśmy nauki i opierać doświadczenie nasze. I tak

najdawniejsza nazwa polska Jaskótek jest Łastówka, nazwa, którą kolejno wszystkim jaskółkom po wsiach dawano, gdyż mamy przekonanie, że prostaczki w naszym kraju rozróżniają doskonale rodzaje ptaków, lecz nie zadawali sobie nigdy pracy te rodzaje na gatunki dzielić i co nie należało do myśliwskiego zawodu, nazywano podług rodzaju tąsamą nazwą. Łastówka musi wrócić do ornitologii i zająć przynależne miejsce w spisie ptaków polskich.

Gdybym tak chciał czynić, jak X. Kluk, nazwałbym oknówkę *mieszczką (urbica)*, bo ją wielki Lineusz nader trafnie nazwał, ona bowiem ma szczególny pociąg do murów i gdzie tychże niema, niechętnie zamieszkuje, mając w chropowatości muru wielkie ułatwienie do lepienia swego gniazda; lecz że oknówka zatrzymała sobie nazwę daną jej przez X. Jundziłła przez długi czas i powtarzana była przez wielu pisarzy, zostawiam ją wprawdzie z żalem wielkim, bo to tłumaczenie z niemieckiego (*Fenster-Schwalbe*); zostawiam i dlatego, że lepi gniazda najczęściej nad oknami, a w kościołach i budynkach, w których okien nie otwierają, kleci swą lepiankę w oknach samych. Oknówka to istna mieszcanka, boi się wprawdzie gwaru ludnych ulic i placów, lecz opanowała przedmieścia niemal wszystkich miast i po skromnych budynkach, skromne swe gniazdeczko lepi, a żarłoczną swą czynnością uwalnia mieszkańców od miliardów niecierpliwących owadów, zabezpiecza ogrody i sady przeciw tym niebezpiecznym nieprzyjaciołom; po wsiach opanowała najpierw kościoły murowane, dalej ruiny nasze kamienne, nareszcie

i karczmy, bo cóż to pomoże ukrywać prawdę, jeszcze prawdę okazującą się w kształcie murowanego budynku. Wyznać więc musimy, że najluźniejsze, a najpierwsze mury powstałe w naszym kraju, nie rachując w to świątyni Pańskich, były karczmy; od tego zaczęliśmy postęp w gospodarstwie. Oknówka, *ta czystość uosobiona*, przyjąć musi mieszkanie z brudnym i brodatym arnadarzem i co roku zajeżdża z rodziną do karczmy, bawi lato całe, wywdzięcza się codziennie za doznaną gościnność, cicha, spokojna, słodka i miła ptaszyna, którą nawet zimny, chciwy i zawistny żyd chętnie u siebie widzi; gdzie w gospodarstwie stanie murowany budynek, ona roku przyszłego pewnie go opanuje, zupełnie tak, jak gdyby dla niej był postawiony; przyjęła równie na letnie mieszkanie lepione gliną na słomie ściany, a gdzie ostre i chropowate drzewo w budynkach i dotrzymuje przyklepioną glinę, tam i ona klei gniazdo, byle pozostać niedaleko swój rodziny, a w bliskości człowieka, do którego ma szczególny pociąg. Łatwo ją czytelnik od dymówki rozpozna: biały brzuszek, błyszczący w locie przy każdym zwrocie, kuperek śnieżnej bieli w szybkim locie wydaje się w oddaleniu jak białe piórko, niesione wiatrem, śpiew jej cichszy, mniej chrapliwy, ma niektóre nuty fletowe; klejąc gniazdo przytula się do niego jak dzięcioł na drzewie, a płaszcz niebieskawo-fioletowy z takim połyskiem, jakiego żadne wschodnie makaty pokazać nie mogą, piękna, czyściutka, kochająca ptaszyna, wszystkim żyjątkom za przykład służyć powinna.

Było to 8 września 1858 roku, w dzień Narodzenia Najświętszej Panny, gdy ze służby Bożej

przez ogród z rodziną do domu wracałem, a tłum ludu zalegał przestrzeń wokoło kościoła, jeszcze przejęty dobroczynnym ciepłkiem miłości, jaki z przed ołtarzy wyniósł, bo to niezaprzeczone spostrzeżenie, iż cześć dla Matki Zbawiciela jest u nas wszystkich głęboko zakorzenioną, czy to u ludzi na wysokim stanowisku towarzystwa stojących, czy w biednej, tak nazwanej dziś *intelligencji*, której już za ciężko rękami pracować; czy nareszcie w sukmanie, sieraku i w wiernym towarzyszku polskiego wieśniaka, tym charakterystycznym kozuchu; wszędzie i w każdym, nawet najobojętniejszym i najzimniejszym sercu tli iskierka uczucia wdzięcznej czułości i kornego zaufania do św. Patronki Polski; wszędzie wzrok duszy zwrócony ku naszej Królowej, jak gdyby od Niej tylko pomoc przyjść mogła; w duszy płomień pobożnej miłości, na ustach zawsze modlitwa z nieustającą prośbą; — i ci nawet, którzy wyższymi się mienią książkowym rozumem i inną nauką, a wymazali z powinności życia święcenie niedzieli i innych świąt, ci sami, czy z resztek krwi, którą rodzice w ich żyły wlały, czy też porwani przykładem ogółu, lub wstydem przejęci, że się stali wyrodkami Polski, ci sami idą machinalnie do świątyń pańskich, mimowolnie pyszną głowę odkrywają i przed kwiatami ubranym ołtarzem, ognistemi lampami różnobarwistemi oświeconym, kolano uginają; a czasem bywa i więcej, sam to nieraz widziałem: gdy cztery dziewczątka w białych sukienkach, przepasane niebieskimi wstążkami, które powiewem wiatru łączą się tak pięknie z wstążkami obrazu, podniosą *Maryą* i kroczą poważnie z różowym uśmiechem

na koralowych ustach, tym uśmiechem, co tak jasno mówi: jam czysta i niewinna, ku bramie Świątyni, a piersi wszystkich hymn chwały zanuć: wtedy, ci nawet, niby wyżsi ludzie, co przepisy kościoła lekceważą, a Rzym ignorować usiłują, ci sami parci wspomnieniem przeszłości, parci ogromem zapału zgromadzonego ludu, postępując z nachyloną głową, wtórują mimowolnie śpiewom, a kto wie, czy ich myśl nie pracuje nad przypomnieniem téj nas nigdy nieopuszczającej modlitwy: *Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko, naszymi prośbami nie racz gardzić Pani.*

Wszyscy odbyliśmy procesyą, nawet miejscowi i okoliczni urzędnicy prywatni, którzy najczęściej, jak mówią, dla braku czasu i z poświęcenia dla swych chlebobodawców, do kościoła nie uczęszczają; wiemy niestety, co nas to poświęcenie, oparte na takich zasadach, kosztuje; a lud wiejski rozbiegać się zaczął, jak woda po wylewie, gdy ku nizinom spływa — jedno z dziełek moich zawołało: »patrz ojczu, co jaskółek u nas!« Wzniosłem oczy i smutnie zawołałem: »Dzieci moje, to koniec naszego lata, to ostatnie pozdrowienie naszych lubych ptasząt; wiecie, wy dzieci, że one nas jutro opuszczą i my znowu pokurczeni na duszy i ciele, pod śniegiem i z mrozem, tęskno wyczekiwać będziemy powrotu naszych kształtnych i lotnych towarzyszek tego barwistego osiedla.« Tu dziatki swym kapryśnym rozumkiem badać mnie poczęły, dlaczego Bozia na zimę tak smutnie świat urządził i śpiewakom odlecieć nakazał? Ja im tłumaczyłem, że w zimie na dworze nic delikatnego żyć nie może, że wszystkie muszki zamro-

zone spoczywają pogrążone w śnie zimowym, czekając na promienie ogrzewające wiosennego słońca, a zatem te ptaszęta, które kochacie i podziwiacie, musiałyby zginąć od zimna i głodu, a są kraje, gdzie one na zimę lecą, na które Pan Bóg łaskawszy i którym naszej srogiéj zimy nie zsyła. Módlcie się dzieci do dobrego Boga, aby was przy zdrowiu zatrzymał, a znowu zobaczycie jaskółeczki lepzące gniazda nad naszymi oknami, bo Bóg w swém nieskończoném miłosierdziu, co roku od początku świata temi samemi dobrodziejstwami nas obsypuje. Wszyscyśmy posmutnieli: dzieci, bo im długo czekać, a dziecko zawsze niecierpliwe; starsi — może nie doczekają, bo jesień, to upominek od śmierci i na duszę zawsze krep żałobny ciska; zima zaś, to figura grobu, ku któremu, wy to wiecie, wszyscy prędkiej lub wolniej, lecz zawsze postępujemy.

Chmury na czołach dzieci niedługo zalegają, brak trosk, brak bolesnych wspomnień, wiek ich to wieczyk majowy, co firmament wymiata; za dziećmi już świergocącemi, jak pisklęta przed opuszczeniem gniazda, pociągnęła i matka, ja zostałem sam zasępiony na miejscu, powtarzając mimowolnie ustami: jakto, już odlecieć zamysłacie, już chcecie nam widnokrąg zostawić bez waszych migających cieni, które zawsze machinalnie oczami gonimy; myśląc o moich lotnych wędrowcach, uśmiechnąłem się, pomyślawszy: te lube ptaszyny przyleciały do mnie na pożegnanie, przyleciały do ich wielbiciela, przypominając, że ich historia niedokończona.

Już ich wiele było bardzo, a ustawicznie nadlatywały rodziny, później gromadki i gromady; zdaje się,

że tego roku zebranie u ornitologa naznaczone było *); czy to traf, czy instynkt, lub przeczucie, czyli téż ta sympatya, która harmonią w przyrodzie utrzymuje, przyciąga do siebie to, co się wzajemnie kocha, *pojmuje*, odpychając złe, zawistne, chciwe i niebezpieczne: powiedzieć nie mogę, lecz cytuję fakt, że u historyo-

*) Zbadawszy wiekowych ludzi, przekonałem się, że wszystkie trzy w nowszych czasach pojawiające się komety, sprowadzały nienaturalne upały i posuchy wielce szkodliwe, a dowód tego, że w tych kometowych latach wino wszędzie wcześniej dochodziło, napelniając się dziwną słodyczą. Nasz kraj oddawna obojętny do badania przyrody, nigdzie nie zachował śladów wpływu komet na żyjątką; spostrzegłszy wielkie zmiany tego lata w wychowaniu piskląt i w odlocie ptaków, starałem się u starszych dowiedzieć, co się w przyrodzie działo r. 1811 — i nic innego dowiedzieć się nie mógłem, jak, że dla bydła zabrakło wody! Najpierw wszystkie pielgrzymujące ptaki drogę odlotu wybrały nad korytami rzek tego roku, aby zabezpieczyć pragnienie; wiele ptaków zaniechało powtórnego gnieźdżenia w przeczuciu czegoś złego i były do wędrowki gotowe; kuropatwy opuściły rodzinne miejsca *przed pierzeniem* i pociągnęły czyli przesiedliły się ku źródłiskom, nad stawy i jeziora, lub téż chroniły się po zaroślach nad rzekami, a najciekawsze spostrzeżenia podały mi przepiórki, które w tym posuszonym roku, przez wolny wzrost zboża, spóźnić musiały termin lęgu. Jeszcze w dniu św. Bartłomieja nie były pierzem okryte i w tym czasie rozpoczęcia polowania, ani myśliwy, ani téż wyżeł nie mieli zatrudnienia. Z jakimś zadziwieniem spostrzegłem odlot tych niedorostków w pierwszych dniach września, kiedy biedactwa ledwie na ścierń podlecieć mogły. Zdaje się, że suche, elektryczne powietrze przeciwne im u nas było; prochy, które wiatry tumanami goniły, a nareszcie skąpe rosy i wysychające wody, wygoniły te smaczne przepiórki, które lato całe rolnikowi śpiewają, biciem do roboty takt dają. kiedy skowronek wznoszący się ku sklepieniom nieba, nuci śpiew dziękczynny Stwórcy i dodaje siły i ochoty do pracy, rozwesela duszę, a napawa serce pojęciem pięknej przyrody!

grafa Jaskółek w r. 1858 oknówki licznie się zebrały i czarną połyskującą wstęgą dom jego otoczyły. Domek to szlachecki, gzęmsik więc wąski, ledwie jedna jaskółka i to niewygodnie przyczepić się mogła; lecz tak było nakazanem, jedna więc koło drugiej z hałaśnym szczebiotaniem i przykremli wzajemnymi wyrzutami, bo to zaiste niewygodna była wielka, okryły ptaszęta gzęms i czarnym paskiem otoczyły mój domek. Nie potrzeba było tój żałoby nowego rodzaju, ja już dosyć smutku w duszy miałem, a spędzić ich nie mogłem, przecie w gościnę do mnie przyleciały, do mnie polskiego szlachcica? A cóżby to z nami się stało, gdyby i gościnność za innymi cnotami dziadów naszych powędrowała, jak wędrują ptaki; z tą różnicą, że chętni wędrowce z pierwszymi promieniami wiosny powracają, a my niestety nadaremnie, od tak dawna wyglądamy powrotu tych klejnotów, zdobiących kraj nasz, a wzbudzających poszanowanie! Wiedzą to rozumne ptaszki, że Polak gościnny: co ma, to da, a gości broni i własnym ciałem zasłania — i ja więc gości nie płoszyłem, aby jak najdłużej u mnie bawiły, gotując się do wędrowki. Zdawało mi się, że mogły u nas bawić, ten rok kometarny bowiem, dziwnie czystym utrzymywał powietrze i jeżeli kometa wywarła zgubny wpływ na kieszenie posiadaczy ziemskich, to owady miały raj na ziemi: ciepło i sucho, a to ich element, krocie much i muszek, chmury komarów wirujących w powietrzu, a co ćmów i motyli błąkało się wszędzie, bo to wszystko dorodnie tego lata się wychowało, jeden deszczyk nie zalał jaje, nie zamoczył gąsienic i poczwerek, co samice znio-

sły, to wydało lotne żyjątko; nawet ciężkie żuki, leniwe twardo-łuskie robaczki w tój ciepłej i czystej atmosferze rozkosznie w powietrzu się unosiły, bucząc monotonnie, dzięki składały niebu za ten wyjątkowy rok, pewnie w historii żuków, *rajskim nazwany*. Moi goście głodu nie cierpieli, gdyż cały widnokrąg był zaowadowany, to tóż sobie niepospolicie podjadały przed podróżą; to po jednej, to rodzinami zrywały się oknówki i uderzały w hurmy owadów, lub tóż przed oknami i murem trzepotały, łowiły zręcznie siedzące muchy, lub tóż je płoszyły skrzydełkami i w locie łowiły; długo to trwało, już się słońko ku zachodowi nachylało, a do podróży przeznaczone jaskółki ustawicznie przybywały, o miejscu na gzęmsie mowy już być nie mogło, wypadało szukać gdzieindziej odpoczynku, więc dach zaległy ku północy; to trwało do szóstej godziny wieczór. Wczas bardzo moje jaskółki do spania się zabrały, zdaje się, że zmęczone podróżą przykład pierwsze dały, a miejscowe i okoliczne uznały za stosowne wywczasować się doskonale po raz ostatni u szlachcica podolskiego. Jeszcze słychać było różne głosy miejskiego obejścia, tumany kurzu ku obłokom się wznosiły za powracającymi trzodami; dzwony kościoła poważnie dźwiękiem przypominały, iż teraz nadeszła godzina pozdrowienia Najświętszej Panny; psy wypuszczone z całodziennego więzienia, głośnym szczebaniem wolność swą głosiły i każdego byłyby obudziły, biegając wokoło domu: ptaszyny moje, te nasze towarzyszki, na to nie zważały; one żyjąc naszym życiem, znają hałaśne wiejskie orszaki i jak żołnierz w czasie gry armat, one

spokojnie wśród stukania, szczekania i beczenia śpiącnem sprawiedliwych; to też jaskółki pomieszczone na gźemsie i dachu w r3nych postaciach spały w najlepsze: stare matule, doświadczone w wygodach małżeńskiego poźycia, schowały gł3wki pod skrzydełka, przytuliły się jedna do drugiej i na własnej miękkiej i cieplej poduszce zasnęły spokojnie; inne siadły rzędem, a napuszywszy pierze, skróciwszy szyje, usiadły na brzuszku, zakryły n3żki pierzem i oczka przymróżyły. Najzabawniejsze były postacie, na gźemsie siedzących jask3łek, bo juź tam tak ciasno i niewygodnie było, że najcierpliwszy ptaszek byłby się musiał poskarżyć, lecz że tam nocleg nakazany był, więc te szczebiotliwe skargi na nic się nie zdały: z początku był hałas wielki, jedna drugą spychała, aby wygodniej bokiem usiąść na wązkim gźemsie i oprzeć się o ścianę muru, nareszcie i tam cisza i spokój ustaliły się, trwając do rana. Skoro tylko s3łnce w kształcie kuli ognistej ukazało się na krańcu firmamentu, juź powietrze było zapełnione migającymi jask3łkami, lotem świdrującym przesywały część światu mego przed oknami, wznosiły się ku niebu i znowu ku ziemi opadały, jak fale morza; grupami stawały w powietrzu trzepocząc skrzydłami i po chwili trysły ku obłokom, podobne wodzie srubą wstrzymanej w wodotrysku i raptownie wypuszczonej, parły się ptaszęta do wysokości dla mnie nie do obliczenia, gdyź mi się wydawały pod niebieskim sklepieniem, jakby pod tronem Wszecmocnego odprawiały harce powietrzne i jak gwiazdy spadające ku ziemi, które to zawsze tak starych, jak m3dych tak dziwnie zajmują, opuścili się

ku ziemi; myślałby widz, że usiędą, gdzie tam, ani nie znają przez dzień cały potrzeby odpoczynku, te żyjątko p3ł ptaka a p3ł motyla, jak ryby w wodzie, tak one w powietrzu pływają bez zmęczenia i wróciwszy z krainy gwiazd i planet, znowu ku ziemi i nad ziemią, wokoło budynków gospodarczych i domów k3łowały, szukając poźywienia, którego jeszcze nie było, bo gnuśne źuki dopiero co z ziemi wylaziły, a owady w nocnych kryj3wkach czekały cieplejszych promieni s3łnca, bo to piecuszki nie lada, kurczą się i kryją przed najmniejszym powiewem chłodu; a muchy, te pasożytne owady, które B3g stworzył, aby człowieka ćwiczyc w cierpliwości, chociaź juź wstały, nie poleciały brzęczeć pod s3łnce, lecz naśladowując człowieka, pierwiej śniadania uźyc musiały, niezważając na towarzyski licznie potopione w mleku, kawie, herbacie, w sosach i zacierkach, niepoprawione przykładem tysi3cznych dziennych ofiar, pchają się do garnków, szklanek, filiżanek, pchają się na p3łmiski i talerze, giną wprawdzie krociami, lecz chciwośc swą zaspakajają. O wieleź one nam przypominają istot z nieśmiertelną duszą, które równie nędznym owadom, puściwszy cugle chuciom i żądzom, giną przed nasyceniem, lub się zgubnie walają; albo też przepełniwszy miarkę, podupadają na siłach i z ludzi stają się czołgającymi robakami, wlokąc życie z sobą częstokroć do p3źniej starości. Powiedzcież sami, mili czytelnicy, czy to nie ludzkie robaki te postacie nachylone, krzyże w obł3k zgięte, nogi posuwające jedna przed drugą, jak dzieci uczące się chodzić, twarze pargaminowego koloru, świecące a blade, oczy

wkłęśle, w ustach i w duszy już do niczego smaku nie mają, ci ludzie byli w swój młodości muchami i żywili się zanadto u bliźnich i na bliźnich!

Niecierpliwe i zgłodniałe oknówki zapełniły owczarnie, stajnie i obory, lecz tam dla wszystkich ani miejsca, ani też jadła nie było, więc do jedynastej przedpołudniowej godziny niejednej kurczył się z głodu żołądek długą nocą wyposzczony, dopiero gdy słońce ciepłikiem swym dobroczynnym ogarnęło przestrzeń i świat owadów wirować zaczął, ptaszyny radośnie świergocząc, nasycone w krótkim czasie, do wieczora po wiodnokręgu uganiały; chwilę przed szarą godziną, za danym znakiem, posiadały na dachu, a taka ich ilość była, że nawet w przypuszczeniu liczby wypisać nie śmiem. Już pokutnice opuściły gżems niewygodny, szlak mój żalobny znikł, pogrupowały się na spadziścioci dachu, według koleżeństwa i pokrewieństwa, zaświergotały chwilę, jak gdyby oznajmując, że są w pogotowiu i słuchają; wtedy starsze (zdaje się przewodniczki) obleciały kilkakrotnie dom do koła, tu i owdzie piły, lub innym głosem dawały napomnienia i rozkazy, nareszcie słyszałem gwarliwe szczebiotanie, jak odpowiedź, że dyspozycje wykonane zostaną, słońko tymczasem zbladło, chłód wieczorny owiał naszą przyrodę, cisza się ustaliła, a ja wszedłem do domu mówiąc: »Wiem, co »to znaczy, bądźcie więc zdrowe pielgrzymki ruchliwe, »głoście na tamtej półkuli, że jest kraj, w którym go»ścinnosc panuje, w którym gościnnoscia bronia się lu»dzie przeciw falom plynacym od zachodu, a przyno»szacym sobkowość, materializm i kosmopolityzm, gło-

»ście gwarliwe ptaszyny, iż my się starać będziemy »wszelkimi silami rozgrzewac marznące serca, roz»powszechniac gościnnosc, tę najstarszą naszą cnotę, »najpewniejszą podporę miłości bliźniego, a może Bóg »miłosierny ten czysty dźwięk dusz naszych usłyszy »i my za waszym przykładem w zgodzie i miłości do »przyszłości gotować się będziemy, a wtedy pewnie »miazma giełdy dalej serc naszych lodowaciec nie będą!«

Nie spieszyłem się rano drugiego dnia z wychyleniem głowy, bo z tą instynktową trwogą tkliwych serc, przeczuwałem smutne wrażenie i tak być miało; gdy wyszedłem, cicho i głucho było wszędzie, jaskółki pewnie ze wschodem odleciały, zaświergotał mi tylko przeraźliwie wróbel, ten lubieżny pasibrzuch, materyalista ptasiego rodu, jak gdyby chciał mnie pocieszyć oznajmieniem, że on zostanie i inne ptaki przez zimę zastępować mi będzie. Później tu i owdzie spostrzegałem we wrześnie jaskółki pojedynczo, parkami, lub spóźnionymi rodzinami, nawet w dniu 19 października ujrzałem dwie dymówki; ale jakże smutny był ich widok! Ruch przyspieszony, lot szybki i niepewny, w całej istocie przebiegał niespokój; biedne ptaszyny, może wam wypadnie w drodze zginąć, bez pociechy, bez pożalowania, bez pożegnania z rodzicami, rodziną i towarzyszkami? O! śmierć na obczyźnie, to musi być srogą męczarnią, samo jej wspomnienie, to katusza dla serca; umrzeć nieotoczony czułą troskliwością swoich, współczuciem serdecznym, niepoczyszony uronioną łzą żalu szczerego; słyszeć, jak przez sen gorączkowy, obcą mowę, czuć lodowatość otaczających serc, chciwość bez-

wstydną, która człowieka do grobu przesładuje, a narzeczcie widzieć niecierpliwość tych, którym już na tym świecie za długo miejsce zajętym było; o zaiste te myśli mogą duszę srogą niespokojnością napełnić; kto więc, Bóg nam pigmejczykom nie z wszystkiego zasłony zerwać dozwolił, może też moje spóźnione pielgrzymki bujać sobie będą w naszej krainie do chwili, do której owady żyć mogą, a z zimnem nadchodzącym, zamrożone, jak indyjscy Santasy, w kryjówce wiosny doczekają; lecz o tém później, a teraz, jak zawsze, przekonajmy się wszyscy, że tak, jak jest prawdą, iż przyroda cała jest ogromem Boskiej harmonii i równowagi, tak jest prawdą, że w większej części rodzajów ptaków, ludzkość czerpać powinna przykłady: siły w zjednoczeniu, pociechy w nieustającej miłości, podpory we wzajemnej pomocy, przyszłości opartej na zgodzie, posłuszeństwie dla przyjętych praw, opiece nad słabymi, a gromadzeniu wszystkich przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi; w nich to jest godło jedności i braterstwa, lecz u nich oparte na prawdziwej miłości, tej jedynej podstawie trwałej przyszłości.

Trzeba Wam wiedzieć, mili czytelnicy, że nasz wróbel z czarną łatką na gardzieli, to Turek ptasiego rodu, z tą wszakże różnicą, że on tylko jedną ma żonkę i ta mu wystarcza; ależ bo to żonka nielada, takie między ludźmi rzadko natrafiamy; pieścić, toby cały dzień pieściła; rodzić, to i pięć razy do roku, a jak widzi znużonego i zafrasowanego małżonka, siedzącego z napuszoną pierzą, to mu tysiączne figle płata: to podryguje wokoło wróbla, jak wieśniaczka z fartu-

szkiem i główką kręci, ćwierka miłośnie, dzióbek otwiera z prośbą o całus, ogon w wachlarz roztacza, a dygi ustawiczne przed nim robi, to z przodu, to z tyłu, narzeczcie muska pierze, dzióbkiem dobywa pomady z pęcherzyka nad ogonem i balsamuje piórka, to znowu podnosi skrzydełko i jak od niechcenia skubie coś tam sobie, przedstawiając dziewczę młode, zazierające za gors, a to z taką gracyą, że widz żałuje, iż nie jest wróblem; samiec broni się jak może pokusie, udaje obojętność, oczka zamruża i udaje drzémkę, lecz to wszystko wróblęc nie zraża; pokonała ona już inne domowe trudności i wie dobrze, że zręczna pokusa, to djabelska sprawa, a więc dalej i dalej koperczaki pali i widać niebawem, jak wróbla niespokojności biorą, widać już piórka, które się gładko na grzbiecie składają, potrząsa główką, oczy otworzył i wzrok ku samiczce zwraca; ona w najlepszych umizgach, już pewna zwycięstwa, przysadza się zaiste w lubieżnych czułościach i jak sobie powiedziała, tak się też stało: wróbel zapomina o danym sobie przyrzeczeniu, rozkwilony taką samiczką, tuli się wdzięcznie do wróblicy! Po chwili wróbel zły, bo każdy samiec nie lubi, aby go samiczka o słabość posądzała; u wróbla, jak u nas ta sama miłość własna; powiedział sobie, a nie dotrzymał, oto źródło frasunku, wstyd mu trochę, że taki słaby, podskoczył kilka razy, jak gdyby się otrząść chciał, poderwał się i poleciał za żerem, bo żyjąc z nami, wie doskonale, że dobry trunek na frasunek, podjadł sobie dobrze i znowu wrócił na swoje miejsce grzać się na słońcu, jak lazaronie neapolitański; już o nim

więcej nic nie powiem, bo to zapisek nie o wróblu, później przyjdzie służyć za przykład dla nieczułych małżeństw.

Przy lekkomyślności wróbli, a ich bezprzykładnym temperamentem, zdarzają im się ciekawe niespodzianki. I tak często nie myślą o małżeńskich konsekwencjach, co niemało turbacyi sprowadza; czytelnicy tego wszystkiego pewnie nie spostrzegli, lecz co tam niepokoju i kłopotów w małżeństwach bywa, to ja nieraz widziałem i wyznać muszę, że mi się przykro robiło, przypominając sobie podobne zdarzenia u moich znajomych, którzy lekkomyślni, *nie umiejąc do dziwieńciu rachować*, noszą się w ostatnich chwilach, jak kokoszki kwękające w kłopotcie, nieobmyśliwszy miejsca do złożenia przącego ciężaru, wypadnie u nas za granicę uciekać i w drodze wśród niewygody termin naturze do wypłaty wypadnie; te kobiety to *wróblice ludzkości* z tą różnicą, że prawdziwe wróblice zawsze wierne w małżeństwie, ukrywać płodu nie potrzebują, lecz one mają także niepospolite kłopoty, jak to mówią, kłopoty w małżeństwie. Zdarza się, iż wróblica wstydliwą minkę ułożywszy, zbliża się do samczyka i świergocze mu do ucha, że ona jest bliską zniesienia, on się wzdryga, szamocze, uwierzyć nie chce i łudzić się myśli, bo chociaż on jest sprawcą tego kłopotu, już dawno zapomniał, co się to stało, on jest bowiem uosobieniem lekkomyślności. Czytam się, czytelnicy moi, nie zdarzyło pomiędzy wazszymi znajomymi napotkać podobnych wróbli w ludzkim ciebie, ja ich niestety niemało znałem, dopóki między ludźmi żyłem — i tu znowu wypisuję przeko-

nie moje, że dziwne zbliżenie człowieka i ptaka w różnych zdarzeniach spostrzedz można, a co późniejsze zapiski potwierdzić mają.

Wróbel zaskoczony nieprzewidzianym kłopotem, nie przygotował gniazda, a tu parcie jajek już bliskie, cóż robić wypada? Przebiegły ptak, bo zawsze z człowiekiem żyje, bez zasad żadnych, bo z dziada i ojca zakorzeniony materialista, odważny przytém i zręczny, nieskrupulatny co do wyboru środków, po naradzie z niespokojną i już nieco rozdrażnioną samiczką, powiada jój z determinacją: »uspokój się wróblico moja, będziesz miała gniazdo, lecę szukać wygodnego i cichego schronienia.« — Jak mówił, tak zrobił i poleciał; — trzeba wiedzieć, że wróbel niema wyobrażenia o własności, on li swoją uważa za rzeczywistą i nietykalną, używa życia dopóki sił stanie, szuka rozkoszy, gdzie może, nieskrępowany żadnemi pętami zasad i praw; pewnieby obce wróblice uwodził, gdyby równych wróbli na świecie nie było, a cnota tych samiczek od ich stworzenia nieskalana, jak twierdza przez nieprzyjaciela nigdy niezdojta, nawet myśli pokusy nie odpędzała; wróbel mój w takim *casus graviter*, odpychając wszelką miłość ptasiego bliźniego, wyrachowawszy, że w tak krótkim czasie najlepszy budowniczy nie ukleci najgorszego gniazda, zdecydował w swoim głębokim rozumie, że słabszy ptaszek paść musi ofiarą. Leci więc w miejsca, w których uważał ptaki ścielące gniazda i te stara się wygonić najpierw siłą, podstępem, czy zręcznością, to mu wszystko jedno, a potem, jak tego potrzeba wymaga, wyrzucić obce jajka

a czasem i piskłęta; gdy sam zwycięstwa dokonać nie może, leci po swą samiczkę i prosi o pomoc; ta już w niepospolitej niespokojności ledwie swój ciężar unosząca, do pożądaney wyprawy przecie zbiera siły i towarzyszy mężowi, stojąc obok niego i dopomagając silnym dzióbem do wypędzenia właścicieli, szczególnież zaś dlatego tak się spieszy, aby zaraz zająć gniazdo, kiedy małżonek jeszcze bitwę toczy, wiedząc z przekonania, bo na to codzień patrzy, że posiadanie to prawie własność, *beatus qui tenet*, a zatem w pierwszej chwili włązi do gniazda i rozgaszcza się w najlepsze.

Wróble w podobnych przykrych okolicznościach nawiedzają ptaki, dzieląc z niemi razem nasze wiejskie osiedla: Pliszki siwe, Rudogony ogrodowe, jaskółki, tak dymówki jak oknówki, czasem i szpaka wypędzić usiłują, lecz najczęściej napastników para po bitą zostaje, wygonioną i wyszydzoną; bo szpak figlarz, to sam rozum, zna doskonale swoje prawa i umie ich bronić, bywa to przegrana dla wróbla pełna wstydu, bo nie mogąc już unieść dojrzałego jajka, znieść go trzeba pod drzewem, na trawniku, ścieżce ogrodowej, lub na publicznej drodze i rzucić na poniewierkę ten dowód miłości obopólnej.

V.

Lekkomyślności, ty szatańska córo, jakież bo ty okropne sprowadzasz następstwa! Bezwzględnie wszakże nie potępiacie lekkomyślne wróble, a zważywszy, ile kobiet na publicznym gościńcu i na ulicach dzieci rzuca, zważywszy nareszcie, jak w Europie domy podrzutków bywają przepełnione, pewnie znajdziecie pobłażanie dla wróbli, tém pewniej, że to przecie są jajka z prawego łoża, za które żadna samiczka rumienić się nie potrzebuje; lekkomyślna, żyjąca z dnia na dzień, z maurytańską krwią w żyłach, a przytém mając siły i zdrowie niepospolite, z natarczywym i wymagającym wróblem, którego nad wszystko kocha, czy jój nie przebaczycie tego przypadku, który jest skutkiem koniecznym jój życia i usposobienia?

Nietylko wielu badaczy przyrody, lecz i ludzie obcy ornitologii i ja sam dwa podobne zdarzenia, jakie tu opisać zamierzam, na własne oczy widziałem. Wróbel wié doskonale, bo tam z ciekawości nieraz za-

zierał, że lepianka oknówki to sucha i wygodna chata, z obszernym pomieszczeniem, tylko otwór za mały i posłanie trochę twarde. Lecz, że on majster i pracowity, jak chodzi o własne wygody, łatwo temu zaradzi: wchód rozprzestrzeni i nanosi pierza, a wróblica będzie miała gdzie i na czym spoczywać, więc natychmiast do zdo- byczy przystępuje. A że jaskółka to bezbronna ptaszyna, czuła i delikatna, nie ma żółci, a nie zna gniewu, więc łatwo gburowatemu wróblowi wypędzić oknówkę, lecz nie łatwo zdobytą lepiankę zachować. W rodzie bowiem jaskółczym, jak to już przy opisie dymówki wspomnia- łem, jest tak silny węzeł zgody i wzajemnej pomocy, taka solidarność między wszystkimi ptakami tego ga- tunku, że nie tylko jaskółki jednego dworu, osiedla, wsi, powołują się do wzajemnej obrony, lub na obfity żer, ostrzegają się rodaczki o niebezpieczeństwie, lecz na zawołanie jednej nawet, nieznajome z oddalonych miejsc, przylatują jaskółki i jak żołnierze jednej armii stawają posłuszne pod rozkazami téj, która potrzebuje pomocy i woła o nią. Gdy wróbel z pomocą wróblicy wypędzi oknówkę, wyrzuci jajka i pisklęta, wtedy z własności wyzute ptaszki lecą głosić ogrom swego nieszczęścia; towarzyszki niebawem zbierają się, każda trzepocąc skrzydłami, staje przy zrabowanym gnieździe, do środka zajrzy, a zobaczywszy rozgoszczoną wróblicę, zgrozą przejęta, piszcząc żałośnie, odlatuje i dalej popelnioną zbrodnię głosi.

Niektóre jaskółki latają w bliskości sceny tego dra- matu, inne poleciały do sąsiednich wsi szukać pomocy i tam zebrawszy sukurs, wracają, kołują wszystkie w po-

wietrze, szczebiocząc ustawicznie, wszystkie się rozumie- ją, bo to jeden język; nareszcie za danym znakiem gro- mada mścicieli znika z oczów: miejscowe jaskółki pro- wadzą wszystkie do obranej kałuży, z której były czer- pały materyał do lepienia gniazda, tam się spuszcza- ją i zasiadają, każda bierze w dzióbek bryłeczkę błota, rozwilży dobrze gumową śliną, której nigdy nie zabrak- nie i leci ku zabranemu gniazdu, trzepocze chwileczkę i bryłkę przylepi, tak jedna za drugą, czasem dwie na- raz przylepiają, setki jaskółek w mgnieniu oka otwór za- lepią i wróblicy zamkną ucieczkę, a że ciepło, słońce świeci, a w materyale była wielka ilość lepkiej materyi, więc w jednej chwili błoto skamienieje i mimo silnych uderzeń dzióbem, w rozpaczycy będącej wróblicy, o ściany, nic, na śmierć skazana, wskórać nie może, a chociażby konwulsyjnie w ostatnich przedśmiertnych wysileniach dziurę sobie wyłamała, toby nic nie pomogło, bo już chmury oknówek nagromadziły się i każda z bryłką w dzióbku, lata w bliskości gniazda, gotowa na nowo murować. Ta robota jest tak szybka, ilość jaskółek tak wielka, iż mam przekonanie, że w jednej chwili wy- murowałyby łokieć ściany, a niema sekundy, żeby je- dnę lub dwie bryłki nie przylepiły. Gdy się wszystko uspokoiło i gniazdo trupa mieści, oknówki radośnie szczebiocąc, w powietrze wirują, głosząc światu spra- wiedliwą karę; jedyna to oznaka złego uczucia, jakie w tych ptakach zauważyłem.

Najczęściej jaskółki nie żądają téj zemsty i wró- blom odstępują gniazda, lecz jak wróblica zbrodnię po- sunie do wyrzucenia jaj lub piskląt, wtedy sprawiedli-

wie rozjątrzeni rodzice srogą śmiercią karzą napastników. Zdarza się czasem, że w chwili gromadzenia się jaskółek, samiec przeczuwając nieszczęście, włazi do wróblicy w pomoc do obrony, lecz to nic nie pomoże, moje lube robotniczki tak się zwijają szybko, że więźniowie uwolnić się nie mogą i para z braku powietrza ginie. Zapytacie pewnie, co za rolę wróbel w tym dramacie odgrywa? A on, biedny zaiste, rzuca się w rozpacz, uderza na jaskółki, usiłuje odgonić, może sprawiedliwy gniew przebłągać, to znowu chce siadać na lepiance, słyszy skargi swój ulubionej wróblicy i silnym dzióbem kuje ściany, słuca i słuchałby długo tych ostatnich żalonych tonów, żeby nie miryady jaskółek, które nie siłą, lecz liczbą go odganiają. Nareszcie widzi wróbel, że niema już ratunku: jaskółki odleciały, on usiadł na gnieździe zrabowaném, ucho do gliny przytula, głucho jak w grobie, wróblica już tchu nie ma, niestety uduszona! Wróbel po zbrodni i karze siada na dachu, przejęty ogromem swego nieszczęścia, napuszył pierze, głowę schował w piórka barkówek, siedzi i duma; niedługo pomyślał i już plan zrobiony, trzeba szukać jakiej wdówki lub młodej wróblicy, przecie on wróbel, bez samiczki wytrzymaćby nie mógł.

Ile razy byłem sam na sam z sędziwym naszym jenerałem Chłopickim w Krakowie, zawsze do mnie w te słowa się odzywał: „*No, opowiedz co o twoich wróblach*“ (trzeba wiedzieć, że pod nazwę wróbli porządkował wszystkie ptaki).

Dnia jednego odpowiedziałem, że dzisiaj mu opowiem zdarzenia prawdziwego wróbla. Gdy skończyłem

opowiadanie powyższej historii, on się zamyślił, a po chwili rzekł:

— Wiesz mosanie, że to musi tak często bywać, bo przed wkroczeniem do Hiszpanii, stałem z mojem wojskiem w małej wiosce pod Pyreneami, złożonej z murowanych domków — i krocie jaskółek dzieliły z nami garnizon. Razu jednego, gdy przed domem siedziałem na ulicy, widziałem pod dachem w domu naprzeciw mego, miryady kręcących się jaskółek i kilku żołnierzy gapiących się; zawołałem i zapytałem, co to takiego? Oni mi odpowiedzieli, że wróble wygoniły z gniazda jaskółki i że te ostatnie usiłują wróbli w gnieździe zalepić. Wstałem i poszedłem, bo temu wiary dać nie mogłem i na moje oczy widziałem to, co mi opowiadałeś — i mosanie, wróbli parę w gnieździe zamurowały te małe ptaszki.

— I cóż jenerał zrobił?

— Co zrobiłem? Oto pomyślałem sobie, że wróble, to rozumne ptaki, rozumniejsze jak wielu ludzi, bo z głodu nie umierają i rozumem wyszukują sobie mieszkanie; kazałem rozbić gniazdo i wypuściłem wróble więzione i na śmierć skazane i wiem, że te ptaki już drugi raz nie rabowały jaskółek, bo koło nich djable krucho było.

— Jakże jenerał mógł bezprawia przeciw niewinności bronić? przecie te wróble były napastnikami po prostu, a jaskółki swój własności broniły?

— Co ty mówisz o prawie i o napadach, gdzie nam wtedy w głowie było prawo lub własność; siła i rozum to były podstawy Napoleońskiej Europy! ale po-

wiedzno mi, jak ten wróbel odkrył, że tam w tém gnieździe ciepło i wygodne mieszkanie?

Skreśliłem generałowi, o ile mogłem na prędcę, charakterystykę wróbla, dodając, że wróbel zna dokładnie jaskółcze lepianki, gdyż w zimie często bywa mroźno, a nie wszystkie nasze pasibrzuchy mogą się chronić po ciepłych strychach, kominach, pod dachami kurnych chałup i t. d. Wiele jest przebiegłych wróbli, które zaraz po odlocie jaskółek, widząc te doskonale lepianki opuszczone i jak dla nich stworzone, wyczyszczają je, nanoszą siana i pierza i tam z samiczką nocują i często nawet w dzień wchodzą do tego gniazda, aby się ogrzać po zaspokojeniu głodu; na wiosnę zaś, kiedy do nas jaskółki przylatują, już ciepło wróblowi, wszędzie dobrze, więc zimowe swe mieszkanie chętnie odstępuje prawym właścicielom, pewny, że one zawczasu odlecą, a on znowu wygodną zimowłę mieć będzie.

— No, widzisz mosanie, jaki to rozumny ptak, i teraz mam przekonanie, że dobrze zrobiłem, uwalniając wróbla od śmierci okropnej; sam widzisz, że on rozumniejszy, jak wiele ludzi na tym świecie.

Po tej rozmowie poszedłem do domu i wpisałem ją do mych notatek, pewny, że niejednemu miła będzie ta powiastka z ust poważnych i niejednen czytelnik z przyjemnością przeczyta te słowa, gdyż to zaiste było ciekawym zdarzeniem, żeby wojak oddychający li sławą, żyjący niemal na polu bitwy, mający ciągle śmierć przed oczyma, miał sposobność natrafienia na ten ptasi dramat, a myśl dosyć wolną, aby badać cały proceder tego zdarzenia; dla mnie zaś to opowiadanie generała

pozostanie jedną z najmilszych pamiątek w mém życiu ornitologiczném *).

Mimo, że życie i zwyczaje zupełnie podobne w tych dwóch gatunkach jaskółek dymówek i oknówek, mimo, że obydwie gatunki wkoło nas latają i w naszych budynkach zamieszkują, jedne jaskółki od drugich stronią i jak partye polityczne zawsze w osobnym obozie żyją.

Oknówki krótkimi, nieco włochatemi nożętami, prawdziwe *beżnogi*, zbliżone są do Jerzyków (*Cypselus*), żyją w powietrzu, żywią się w locie i siadają prawie li dla snu, lotem wysokim sięgają obłoków; są to stworzenia z pierzem połyskującym, tak jaskrawem, że gdy promień słońca uderzy cały na ten płaszcz, to różne kolory w naszych oczach się odbijają; dla tej przyczyny jaskółki wirujące pod blaskiem słońca wzrok nasz magnetycznie przyciągają, każdy zwrot inny kolor nam ukazuje. W cieniu płaszcz prawie czarny; opromieniony, to szafirem świeci, to znowu rdzawozielonawy kolor pokazuje, tu i owdzie zobaczymy fioletoowy, a w tém wszystkiem połyskujące białe kuperki tym ceniom jasności dodają. Zebrawszy te dziwne ko-

*) Wielu ornitologów przeczy tym wprawdzie rzadkim, lecz pewnie zdarzającym się wypadkom, opierając przeczenie na tém twierdzeniu, że wróbel nie czekałby w gnieździe zamurowania. Ja zaś utrzymuję, że czekać musi: raz, że otwór malutki i wróbel głęboko siedzi i z początku nie wie, co się w otworze dzieje; po drugie, że instynkt każdemu ptakowi w podobnych przypadkach nakazuje ciche przyczajenie się, co zawsze spostrzegamy, a nareszcie miryady jaskółek w okamgnieniu zalepiają ciasny otwór. W podaniach gminnych, które prawie zawsze mają podstawę prawdy, mamy podobne dowody niemal we wszystkich krajach.

lory, których określić, ani farbami odmalować nie można, gdyż przy każdym najmniejszym świetle lub cieniu, przy każdym zwrocie téj lotnej ptaszyny, migają kolory, jak w brylancie stojącym pod słonecznym promieniem; oko uchwyci i rozkoszuje się widokiem nieznanego koloru, a tu już inny się ukazuje i tak dalej i dalej, a zawsze piękne, zawsze połyskujące te kolory, które Bóg stworzył, oku dozwolił podziwiać, lecz człowiekowi nie pozwolił naśladować; zebrawszy, mówię, w bystrzej myśli bukiet z tych migających, błyszczących i połyskujących kolorów, cudny on będzie, bo te kolory są Boskie, czasem ubiera niemi swą ulubioną przyrodę, błysnie niemi człowiekowi, lecz je zachowuje w tajemnicy dla siebie. O, wy wielcy malarze, podziwiani od współczesnych, pomnikami uczczeni przez potomność, a wszystkich zachwycający, czy wy farby wasze porównali z kolorami migającymi w przyrodzie, czy wy próbowali naśladować połyski przepyszne skrzydeł motyli, piór ptaków, czy pędzel wasz mistrzowski skreślił kiedy podobieństwo nawet świecących skrzydełek robaczków, twardo-łusków i owadów? O pewnie nie, boby go odrzucił z niechęcią! Wy kolory oddawali; połysków pełnych zmian i blasków, płótno, drzewo, lub wyciągnięty papier przyjąć nie mogły; połysk i migający blask kolorów, te się trzymają li w pędzlu Stwórcy, jak kolor promieni słońca, które człowiek od początku sztuki malarskiej naśladować usiłuje, mięsza kolor żółty, to znowu ognisty i pomarańczowy, mięsza farby, duma głęboko, wzywa swoje i obce doświadczenie na pomoc, a słońce namalowane wprawdzie, lecz świecić ono nie będzie i świecić nie

może. To, co promieniste to Bóg człowiekowi tu i ówdzie ukaże, chwilowo wzrok rozkoszą napełni; lecz gdy wzrok w ten cud barwisty utopiony, zatrzymać obraz zamysła i mniema już zarozumiały, że go ludziom pokaże, on, człowiek, jak i oni, mimo że mistrz-malarz, połysk się przemienia w połysk, blask w inny blask, światło się potęguje, to znowu gaśnie, aby świeżym ogniem zabłysnąć i coraz barwistsze, coraz świetlejsze kolory jedno za drugimi gonią, jak te drobne iskiereki gasnącego papieru, wodzą za sobą oko, jak po barwistym labiryncie, rozum chce ścigać za wzrokiem, lecz on za powolny i za tępy, w głowie się mięsza, w oku się mieni, a głowa zmęczona blaskiem i krociami zmian jaskrawych, chyli się ku ramieniu, a usta szepczą: ach, to cudowne! Tak zaiste, to cudowne, a co cudowne, tego człowiek naśladować nie mocen — i dobrze zrobiliście, wy mistrzowie, którzy nam w pamiętce przekazaliście, jak gdyby na płótnie żyjące, wszystkie męki i cierpienia ludzkości, rozkosze i radości, wyobraziliście najmniejsze odcienia wad i cnót człowieka, zgłębiliście tajniki serca i duszy do tego stopnia, że ten lub ów portret narzeka, jęczy, płacze i boleje, tamten znów raduje się i wesołością oświeca oblicze, ten otwiera usta i widz czeka, kiedy przemówi, kiedy się poskarży, kiedy znów o pomoc i uwolnienie pobłaga; w oczy umieliście wlać gniew, zazdrość, zawiść i zemstę, miłość i rozczulenie, a czoła napełniliście ogromem myśli; na twarzach naznaczyliście wiek każdy; na tém martwém płótnie, wskrzesiliście życie, ugrupowaliście ludzi różnej płci i różnego wieku, w żywych obrazach

przekazaliście nam historią świata, upadek człowieka i za nim niektórych narodów i przyczynę ich upadku; przekazaliście potęgowanie rozumu, parcie człowieka ku zaspokojeniu swych rzeczywistych i wymyślonych potrzeb, postęp rozumu z uszczerbkiem uczuć serca; przekazaliście nareszcie człowieka, który mniema, że rozumem sięgnie niebios, mimo, że ciałem i jego ochydnemi żądzami tak mocno przyklepiony do błota ziemi. Wam więc dzięki, wierni historyografowie za zostawione pamiątki, wywiązaście się szczytnie z przyjętego obowiązku, z waszą pomocą wyobrażamy sobie ludzkość z każdej epoki i w każdym ważniejszym zdarzeniu, wy nawet w zamiłowaniu waszej sztuki i przejści pięknością przyrody, starali się przelewać na płótno, miedź i drzewo, świat roślinny, świat nieskończenie małych żyjątek; jeszcze dziś patrzymy na te różnobarwne wieńce kwiatów, nad którymi uganiają motyle, szukając nektaru w ich kielichach, na gniazdeczko ptasząt, na walki zwierząt, a nareszcie na te grupy zamordowanej zwierzyny i innych żyjątek, które człowiek, jak lew w gniewie, bez potrzeby i celu zabija, zabija bez rachunku, jak krwi chciwe stworzenie; patrzymy na te wiernie oddane obrazy, są tam rzeczywiście trafne kolory, niekiedy nawet obrazek z życia szczęśliwie podchwycony, *lecz co miało w przyrodzie połysk, tego oddać nie mogliście i żaden z Was wielcy malarze plaszcza nawet jaskółki oknówki oddać nie był w stanie*, jak żaden z Was nie uchwyci migającego blasku kolorów, którym się ubarwia cała przyroda dla Stwórcy; żaden z Was naśladować nie może tych zmian stokrotnie

w jednej minucie powtarzanych, zmian połysków, a przez to zmian kolorów. A biada temu, któryby dufny w swój talent, zarozumiały w swój rozum, chciał utopić wzrok w tajemniczą, a jaskrawą różnobarwność kolorów przyrody w celu ich naśladowania ręką swą; życie strawiłby on na dobieraniu kolorów, wzrok straciłby przed ustawicznym blaskiem, dusza jego straciwszy swój polot, zniechęcona, zatrąłaby mu życie, płótno czekałoby w ostatnim dniu, jak czeka w pierwszym na przyjęcie obiecane połysku, zdjętego z tajników przyrody.

Obydwa gatunki jaskółek stronią jedno od drugich i li w niebezpieczeństwie jakiegobądź, gromadzą się wszystkie, niosąc wzajemną pomoc. Jak już mówiłem, jaskółka to pół ptaka, pół owadu; nietylko jako migające lotne stworzenie, lecz jako objętość: obskubawszy bowiem tę ptaszynę, cały jej korpus wydaje się ledwie wielkości dużego włoskiego orzecha, dla tej to przyczyny nie jest ona ponętną dla drapieżnych ptaków i drobnych zwierząt; zdarza się przecie, że jastrząb krogulec, lub inny sokolik w wielkim głodzie i tą odrobiną apetyt zaspokoić pragnie, a w takim razie wybiera sobie pojedynczą ofiarę i tę nieochybnie złowi, gdyż w churmy wirujących jaskółek nie śmie nigdy uderzyć. Czy przyczyny tego szukać mamy w tém liczném wirującym kole, czy też w blasku migających kolorów połyskujących, powiedzieć nie mogę, lecz pewny jestem, że łapie li z boku lub w tyle zostającą jaskółkę, a nigdy w środek ruchliwej gromady nie uderzy. Trzeba wiedzieć, że szum sprawiony lotem błyskawicznym sokoła lub jastrzębia, jest tak mocny, że gdy blisko ucha

przeleci, ten szum w uszach zostaje, a lot tak bystry, że czuć można ustępywanie powietrza przed szyjącym ptakiem. Kilka razy tego uczucia sam doznawałem. Możecie sobie wystawić, mili czytelnicy, co za wrażenie podobny szum wywiera na jaskółkę słabą, trwożliwą, delikatną i oprócz owadów nikomu nieszkodzącą ptaszynę. Często się też zdarza, że jaskółka w podobnych napadach, rzuconą jest do ziemi samą trwogą i przestraszona ję tak wielki, że mimo uderzenia bolesnego o ziemię, leży martwa chwil kilka, jak po odebraniu kontuzji.

Z początku pojąć nie mogłem, co to może znaczyć, że jedną złowił sokolik, a druga ku ziemi leci, dopiero później się przekonałem, że istotnie postrach posunięty do najwyższej potęgi przy parciu powietrza, pochodzącego z szybkiego lotu drapieżnego ptaka, sprawia tę chwilową śmierć, gdyż chwilę później oczka otwiera, główkę podnosi, skrzydełkami zatrzepocze, jak na próbę, czy wszystko do lotu jeszcze zdadne i dalej rusza w swój powietrzny element. Mogłby się kto zaśmiać z tak wielkiego braku odwagi, lecz jakże może słabe stworzenie być odważnym i opierać się siłą, której nie ma, jakże ma wojować bez broni? Jaskółki jasno dowodzą i niepospolitą naukę dają, że nawet w stanie niemocy, bez środków materialnych obrony, bez obcej pomocy, można się od nieprzyjaciół obronić; jaskółki jednością, wiara jednych w drugie, niewyczerpaną gotowością w niesieniu pomocy, mimo, że słabe ptaszyny, wszystkie w niebezpieczeństwie na pierwsze hasło się gromadzą, ściśniętymi szeregami nieprzyjaciela

przyjmują i dopóki która od ogółu się nie oddali, dopóty bezpieczeństwo zapewnione; a zamurowanie wróbli, czy to podziwienia nie wzbudza, czy pygmejczy nie rosną w olbrzymów? Ta ich jedność stanowi siłę i bezpieczeństwo, ona im zabezpiecza niepodległą przyszość.

Nim zakończę opis jaskótek oknówek, muszę skreślić ich życie małżeńskie i domowe, równie sprawy rodzinne, powierzyć wam charakterystykę ruchliwych towarzyszek naszego lata. Jak już mówiłem, jaskółeczka jest to cicha, zgodna, miła i porządna ptaszyna, dobra i wierna żona, nader przykładna matka, gdyż prawie każda parka wysiaduje dwa razy i wychowuje rocznie 10 do 12 jaskółcząt, całe życie małżeńskie, wszystkie pieczyoty, wychowanie piskląt do chwili, w której gniazdo opuszczają, jest w głębokiej tajemnicy, wszystko się odbywa w ukończonej lepiance i dopóki gniazdo do samej góry niewylepione, zostawiając otwór, jak dziura dla myszy, do tej chwili żadnej pieczyoty spostrzedz nie można. Czasem w bystrym locie zetkną się dwie jaskółki, postoją chwilę, trzepocząc skrzydłami i dalej lecą; ten całus aeryczny jest jedyną pieczyotą, jaką kiedy między małżonkami spostrzegłem; żyją w czulej miłości, w przykładowej zgodzie, w poświęceniu dla dzieł, lecz to życie osłaniają tajemnicą; żyją więc dla siebie i rodzinnego kółka, a nie dla świata, kochają się skrycie, każdy im zazdrościć musi i musi być ciekawym, bo szczęście ukryte zawsze wzbudza zawistną podejrzliwość świata i wywołuje wygadywania i nieskończone bajki! A przecie szczęście domowe ciche, czulego i zgo-

dnego pożycia, to anielski chleb, którym Bóg wybranych swoich karmi: mówię wybranych, bo mam to przekonanie, że źródło prawdziwego patriotyzmu, wielkiego poświęcenia, szczytnego wymazania tego nieszczęśliwego ja z życia swego, jest w kółku rodzinném. Niech to głoszą fanatycy, ci ludzie, którym serce do głowy poszło i utonęło w morzu idealnych marzeń, że dla pewnych zdań lub teorii, w zdarzeniach politycznych, mąż dla ojczyzny poświęcić musi mienie swe, zerwać z czułą małżonką i matką, zniweczyć przyszłość dziełtek swych, że tam, gdzie chodzi o kraj, tam żona i dzieci w rachunek wchodzić nie mogą! Lecz to, co przeciw naszej naturze jest, cóż się sprzeciwia ogólnym prawom, które światem rządzą, co robi męża i ojca wyrodkiem rodu ludzkiego, to szczytném być nie może, temu pewnie Bóg, pełen miłości nieskończonej błogosławić nie będzie.

Zły mąż i ojciec, nieprawy obywatel niech rozprawia wymową Demostenesa, niech pisze i porywa ogół płytkich czytelników, niech mąci wyobrażenia o obowiązkach człowieka; ja zaś twierdzę, a zamną twierdzić będą wszyscy ludzie serca, że zły i nieczuły ojciec i mąż, kraju swego kochać nie może, ani też w sercu jego zgastém dla prawdziwych uczuć, a rozgrzaném li chciwą ambicyą: miłość ojczyzny i szczytne poświęcenie z zapomnieniem siebie samego, miejsca znaleźć nie może! Podstawą ludzkości jest rodzina, o ile w narodzie jest rodzin cnotliwych i bogobożnych, rodzin miłujących swe obowiązki i wypełniających je, o tyle ten naród ma silne podwaliny i żadna burza go

nie powali; cnotliwa rodzina skraca cugle wszystkim namiętnościom i żądom i daje społeczeństwu ludzi poświęcenia prawdziwego, którzy umieją pogodzić ofiary dla kraju z obowiązkami dla rodziny.

Że się parki czule kochają, wnoszę z rozkosznej radości, w jakiej ustawicznie żyją, z dowodów wdzięcznej czułości, jakie nieprzerwanie spostrzegam przy gnieździe. Gdy lepianka ukończona, siedzą tam razem, siedzą długo i sami, potem wylatują za żerem, wesoło świergotając, a spieszą się oboje do chałupczki: to zdaje mi się jasnym dowodem, że im tam dobrze; po drugie, gdy ona wysiaduje jajka, on od rana do nocy donosi owady, śpiewa jój dumki, zaziera przez otwór; ona wychyla główkę, mizdrzy się dziękując; wychowują dzieci w zgodzie i jedności, a usamowolnwszy dziatwę, znowu żyją razem, kryjąc się przed niedyskretnym okiem obcych, toć się pewnie kochają; albo ja nie pojmuje szczęścia domowego! Zdarzają się i tu burze, bo gdzież ich niema na tym Bożym świecie, między wielką liczbą samczyków i samiczek muszą się trafiać trzpioty i lekkomyślna młodzież, lecz tam to bywa srogo karconém i poprawa niebawem przychodzi. Widziałem razy kilka, jak samczyk przyleciał, coś jój zaświergotał przez otwór raz, drugi i trzeci, nareszcie wślizgnął się do gniazda i panią za głowę trzymając dzióbkiem wyciągnął, sam tyłem wycofawszy się przez otwór; tak za łeb ją wyciągnął i mimo szamotania się pani nie puścił i oboje na ziemię zlecieli, tam dopiero wzajemnie się wyczubili i ona chyłkiem do gniazda poleciała. Że te ptaki wszystkie czułości pod dachem od-

bywają, nadzwyczaj trudno je podłyszeć i zdać sobie sprawę jasną z ich pożycia małżeńskiego. I tak n. p. w locie i w oddaleniu płci w nich rozpoznać nie można i przez to niepodobieństwo oznaczyć, gdzie wina i przestępstwo, z której strony większe poświęcenie i miłość. Do chwili, do której małżonkowie nie ukończyli lepianki, ledwie się znają, zimniej się z sobą obchodzą, jak my po zaręczynach, a przecie widzimy przy niektórych jaskółczych lepiankach trzech, czterech i więcej robotników, pośpiech zawsze nadzwyczajny w ukończeniu budynek dla małżonków! Któż oni są ci usłużni pomocnicy? Oto zagadka, której dotąd rozwiązać nie mogłem i muszę tę tajemnicę czytelnikom przekazać i to bez nadziei zdarcia z niej zasłony, bo od wielu lat patrzę, badam i myślę nad tą robotą i nic nie odkryłem. Czy ci pomocnicy są to rodzice wydający dzieci i w ich czulej troskliwości, znając brak doświadczenia i płochość młodzieży, pomagają do wybudowania domku dla nowożeńców i tęp ułatwieniem stawiają ich w możności jeszcze w tym roku wyprowadzić na świat dwie rodziny? bo wiemy z doświadczenia, że jednoroczne ptaki nader lichemi są budowniczymi i wiele czasu tracą nim gniazdo sklecić potrafią, a straciwszy nawet kilka dni tylko, już drugie zniesienie bywa zimną naszą jesienią zaskoczone i ginie, pociągając za sobą częstokroć w zgubę czułych i przywiązanych rodziców. Czy pomocników grono składa się z sąsiadów i sąsiadek solidarnie związanych do wzajemnej pomocy? Lub też z sióstr i braci? A kto wie, czy ci usłużni robotnicy nie są kawalerami i wdowcami starającymi się

o *nóżkę* pani przyszłego domku i wraz z młodą jaskółeczką zręcznie i spiesznie budują, aby zdobyć sobie względy późniejsze. Ten mój ostatni domysł zdaje mi się najprawdopodobniejszym, bo tój pomocy przy każdym gnieździe nie spostrzegamy; ze strony jaskółki byłaby to taktyka godna salonów paryskich i niejedna lwica pozazdrościłaby jój tego pomysłu wybudowania przez konkurentów wygodnego domku, a po skończonej pracy dziękuje wszystkim, kłania i dyga z gracyą, wybiera jednego na małżonka, lub też wszystkich odprawia, wybrawszy sobie już pierwój oblubieńca, jak się zdaje leniwszego, ale miłość bywa ślepą i rzadko rozsądkiem się kieruje!

Przebaczcie mili czytelnicy, że miłując szczerą prawdę, otwarcie wam powiem dziś, że nie wiem, kto pomaga i dlaczego czasem samiczce inni pomagają do budowy gniazdeczka.

VI.

Jakież pióro zdoła opisać ruclr, panujący w kolonii jaskółek gniezdzących się? kto tego życia nie widział, wyobrazić go sobie nie może. Co żyje, pracuje od rana do nocy i pewnie żadna budowa w naszej Europie nie ma w stosunku tyle, tak pracowitych i skrzętnych robotniczek, co gniazda jaskółek. Tu przylepiona do lepianki jaskółka kończy już chałupkę, głaszcze dzióbkiem otwór, aby kształtnie wypadł; — tam inne młode z bryłkami świeżego błota w dzióbkach, biedują niepospolicie nad fundamentem gniazda, który nie wiedzą jak założyć; — z innego gniazda już ukończonego wyłazi samiczka zwalana i obłocona, bo tam w środku wylepiała ściany i gładziła; zaświergotała rozkosznie na znak, że już dzieło jej ukończone i usiada na gżémsie lub dachu muskać pierze dzióbkiem, *bo ptak zdromy żadnej nieczystości na sobie znieść nie może*; muska więc i czyści aby, się narzeczonemu przedstawić w całej swój kształtnój i wdzięcznej postaci; co można było wybrać kurzu i bryłeczek, to wybrała, a resztę trzeba zostawić rosie i wodzie,

a szczególniej wilgoci, która w powietrzu się znajduje, a gdzie moja luba ptaszyna kąpie się dzień cały; śpieszy się samiczka, bo kawaler nadlecieć może i zastanie nieporządek; zrywa się i leci świdrując powietrze; tu po drodze złapie muszkę, tam motylka lub komara; przy spotkaniu drugiej zawsze ją grzecznie pozdrowi, sąsiadka jej odpowie krótkim zaświstaniem, bo w porze lęgu ani jednej chwilki stracić nie można; leci i leci dalej, coraz szybciej, — cóż to za pośpiech niepospolity każdy zapyta, a ona na nic nie zważa i pruje dalej powietrze, leci bowiem do kąpieli, aby pławiąc w locie brzuszek, resztkę nieczystości w wodzie zostawić i wrócić z alabastrowo-białym brzuszkiem i nadogoniem; pośpiech nie ustał, ledwie razy kilka dotknęła powierzchni wody, już znowu pilno do domu a kawałek drogi — i *on* może tam już czeka z niecierpliwością; nareszcie przybija jak parowiec do portu, siada i skrzętnie się do ukończenia toalety zabiera; brzuszek mokry, tu i owdzie ogonek i skrzydełka się zamaczały, więc to trzeba dzióbkiem ociągnąć i wypomadować. Już wszystko gotowe w ubraniu panny młodej, obejrzała się do koła, poleciała zajrzeć do gniazda, czy tam oczekiwanego niema i znowu siada nad gniazdem, zcicha nucąc śpiew miłości; czeka, *jak tyle ich czeka*, które świat cały zamknęły w jednym głębokim uczuciu, główką kręci, topiąc wzrok w niezgłębionój przestrzeni, znowu nuci i potrząsa pierzem; zapłakałaby pewnie, gdyby ją była Opatrzność uposażyła pęcherzykiem łez, ale, bo cóż to za męka czekać, czekać długo z uczuciem w sercu, co zawsze drażni i niecierpliwi, — czekać i posądzać, że to obo-

jętność spóźnienie sprowadziła! Słyszę w powietrzu krótkie świergotanie i jak z obłoków spuszcza się druga jaskółka, siada koło naszej samiczki jeszcze smutnej, bo przeboleła chwil kilka, a rozkosz nie jest w stanie zaraz zdmuchnąć boleści serca, lecz to samiczka i samiczka, która kocha, więc już samczykowi przebaczyła i główkę ku niemu zwraca, on podskakuje i przerywanym głosem, to piśnie, to zaszczebocze, oczywiście się tłumaczy; rozmowa trwa momencik, już się porozumieli, czuła zgoda nastąpiła, zrywają się obydwie jaskółki, pokraźły nieco, jedna za drugą goni, ta ucieka w wytężonym locie, druga szyje powiędźrze, aby nie zostać w tyle, pierwsza zwalnia lot, jak okręt zwijający żagle, druga ją skrzydełkiem dotyka, stają chwilę w powietrzu jak na wypoczynek i znowu bujają, jak zaręczeni na balu wirując w kółko. Już i tego dosyć, pierwsza okrążyła znaczne koło i jak strzała zręcznie z łuku puszczona, trafia do małego otworu w lepiance i niknie mi z oczów; lecz i druga nie traci czasu, równie lotna i zgrabna za nią goni w ślady i w jednej sekundzie są znowu razem. Tak tam mały otwór w lepiance, że nic zobaczyć nie mogą i przestać muszę opisu a ścigać wzrokiem inne towarzyszkę naszą ruchliwą kolonii.

Dałoby się widzieć szereg jaskółek lecących i powracających: jedne niosą już lepki materiał w dzióbku, drugie do kałuży śpieszą przy domu, kilka robotniczek przyklepionych do gniazda poprawia przyłożony materiał; tu znowu widzę jaskółkę, której bryłka błota wypadła z dzióbka w chwili, w której ją przyklepić miała, — rzuca się za nią ku ziemi, zręcznie chwyta w powietrzu,

podnosi i z tryumfem leci ją przyklepić na przeznaczonym miejscu; innej spadła bryłeczka na ziemię, mniej rzutna jak jej towarzyszka, nie umiała jej na czas podchwycić, trzepocze nad nią, nie śmie się, bo z ziemi jej trudno znowu podlecieć, więc po chwili namysłu podnosi się i leci za świeżą gliną. Przy dalszych gniazdach widzę pojedyncze ptaki, które ku otworowi gniazda nadlatują, wesoło zaśpiewają na pozdrowienie samiczki i dalej gonią, to znowu samiczki świergotające przed wejściem, jak gdyby wywoływały kogo ze środka, i tak jest istotnie: samiczka wychyla główkę, odbiera przyniesiony owad i niknie w głębi lepianki; to są już gniazda, w których samiczki jajka wysiadują, a samczyki żywność nieustannie donoszą. Pomału ucisza się wrzawa, samiczki wszystkie przyjęły związki i nie postrzegamy tylko jaskółki płci męskiej, które bez przerwy gonią za lotnemi owadami, na prędkę część pożerają w powietrzu, resztę wdzięcznie śpiewając, wybranym w dzióbek kładą. Ten spokój, ta cisza trwa 14 do 20 dni, czas procederu lęgu, po tym czasie wzrasta się liczba jaskółek, jak gdyby się były pomnożyły, a to pochodzi z tego, że samiczki mając już wyklute pisklęta latają dzień cały, aby nasyconych pasibrzuchów nakarmić, które to poświęcenie uwieńczone niepospolitym skutkiem, bo małe, tłuste jak kluski i rzecz szczególna a udowodniona, że *pisklę w gnieździe więcej waży, jak doskonała jaskółka z pierzem i skrzydłami*. Tłuste pisklę, że się ledwie ruszać może, a ustawicznie zgłodniałe, piszczy o jadło; otwór zapełniony 4^{ma} lub 5^{ma} główkami młodych jaskółcząt; ten ruchliwy bukiet jak najdziwniejsze sprawa

wrażenie: wszystkie kładą dzióbki na krawędzi gniazda, te dzióbki są jeszcze otoczone żółtą oblamką, piszcząc zaś, otwierają paszcze i ukazują różowy kolor, istne ruchome żółto-różowe kwiateczki. Co tam pisku i hałasu, co szturchania i spychania, nim się pasibrzuchy tak wygodnie umieszczą, aby przylatujące ptaki szybko im owad w dziób wsadzić mogły. Od wschodu słońca do zachodu z wyciągniętymi szyjami patrzą chciwie za uganającymi rodzicami; ci co kilka minut przylatują i karmią za każdym razem jedno i tak kolejno wszystkie, nigdy się nie myląc obdzielają, a mimo tego porządku, za każdym przybyciem wszystkie paszcze otwierają; — ku południowi żarłoki nasyceni i położywszy dzióbki na krawędzi lepianki, drzemią czas krótki, potem znowu jeść wołają. Z tego powodu, że pisklęta są nienasyconymi pasibrzuchami, zdarza się nie w jednym roku, iż przy nastaniu zimnej słoty, w którymto czasie owady się kryją, ani pół dnia postu wytrzymać nie mogą i w lepiance cała drobna rodzina z głodu i zimna ginie. O! wtedy rodzice w rozpacz uganniają po powietrzu, zaglądną do otworu i gdy się przekonają, że tam bez nadziei śmierć rozpostarła swe czarne skrzydła, opuszczają tę lepiankę i daleko od niej drugą lepią, to zaś jak zarazą zatrute mieszkanie pustką stoi, dopóki czas pomалу budowy nie zdezoluje, nawet nasz wróbel stoni od tego schronienia, pełnego wspomnień głodowej śmierci.

Znowu po upływie 14 do 20 dni nowe życie się objawia: pasibrzuchy wykształcone, pierzem zupełnie okryte, siedzą spokojnie i o wylocie ani myśleć nie

chęć; rodzice je głodem do niepodległej wolności przymuszają, kusząc je zręcznie owadami złowionymi, a trymanem w dzióbkach przed otworem gniazda. Stało się nareszcie, cała rodzina buja po powietrzu i pisklęta, które chwil kilka jak niedołęgi w gnieździe siedziały, przy pierwszym ruszeniu skrzydłami już są doskonałymi latawcami! Zaiste z pokorą wypada podziwiać głęboką doskonałość w całej przyrodzie: ta jaskółka np. ledwie się pierzem okryła, już bez żadnej wprawy i nauki hula jak stara; kaczką mchem okryta, jeszcze mokra wilgocią jajka, toczy się do wody i pływając goni za matką; a rybka z ikry wyślizgnięta, ledwie linią długości mająca, świdruje po wodzie, nie zna rodziców i nie potrzebuje ich pomocy, sama się żywi, od przyjścia pierwszego na świat aż do śmierci. Gdy te żyjątka przyrody porównamy z ich panem — z człowiekiem, jakże ten król natury i stworzeń wszystkich niedołącznym nam się wydaje; jakież on ma trudności w przyjściu na świat, ile boleści sprawia, ile czasu przeżyje w postaci pełzającego się ślimaka, ile miesięcy, nim zacznie jak robak czołgać się po ziemi, skrzeczy, piszczy, narzeka i mazgai, prosząc o pomoc i opiekę, bo nie czuje żadnej siły i władzy, co trosków i niepokoi sprowadza, nim żyć zacznie o swą własną moc i przestanie żyć życiem wegetującym! Powiedzą mi na to, że wykształca się powoli jak dąb i jak to olbrzymie drzewo w potężnej sile przeżyje kilka dziesiątek lat. A któż może zaprzeczyć wiek łabędzi, kruków i papug, które setnych lat dożyją; orłów, sępów i innych drapieżnych ptaków, równie człowiekowi doczekujących się sędziwej starości.

Czy siła wyrosłego człowieka jest zastosowaną do wolnego jego wykształcenia? Pewnie nie! Czy siła człowieka fizyczna może być porównaną do siły zwierza? równie nie! zwierzę jest w swój sile olbrzymem, człowiek pigmejczykiem, który pomału się wykształca, jak gdyby wieki miał przeżyć, a tu każde mocniejsze uczucie, każdy grom niebios uderzający na serce jego, każda choroba mimo wysień ludzkiego rozumu na wyszukanie ratunku w sztuce lekarskiej — goni go do grobu. Wykształcenie tak wolne fizyczności w człowieku, uczy nas głębokiej pokory, uznania naszej niemocy; *silny człowiek przy łasce Bożej rozumem*, nikczemny ciałem w porównaniu stworzeń bez duszy!

Przytoczę tu ciekawe zdarzenie, za którego autentyczność ręczę. W roku 1842 mieszkałem w polskiej Szwajcaryi, w bliskości uroczej doliny Prądnika i tam z całą namiętnością badacza przyrody, podziwiałem Stwórcę w dziełach Jego, dnie całe spędzałem na skałach, podsluchując szelestu tajemnic natury; duszę topiłem w tych pięknościach cudnych i serce radowałem, że to wszystko jest na naszej ziemi, że niepotrzeba włożyć się po zagranicę, aby codzienną estetyką napełniać swą całą istotę! Z jakąż bo wdzięcznością dla Pana Zastępów korzystałem się, gdy odkryłem nieznanne żyjątko dotąd, często zupełnie, a czasem znane — lecz w innych krajach, a nam biednym i opuszczonym nieprzyznane, bo już to tak się dzieje, że co my odkrywamy, to nam rabują, co my mamy dobrego, tego widzieć nie chcą, a nasz kraj przecie tyle bogactw, tyle piękności mieści, tyle szczytnych i malowniczych ma okolic, których człowiek

jeszcze swą wszystko przekształcającą ręką nie dotknął i które stoją w tej dziewiczej piękności bez pyłku od człowieka rzuconego, stoją w tej postaci, jaką im nadało ostatnie wstrząśnienie ziemi naszej. Przyznacie, że piękność szczytna, piękność nieporównana jest ta, którą Bóg stworzył, a człowiek swą ręką nie przerobił; ta piękność wznosi duszę i do ogromu wdzięczności pobudza, człowieka pokornym, dobrym i czułym robi; ta piękność nie znosi krytyki, Boski ma ona puklerz, którego krytyczny rozum nie przebije; piękność, która człowieka jest dziełem, wzbudza zadziwienie i pochwała z ust płynie, rozum się raduje i duma rośnie, zdziałał on wielkie rzeczy, lecz nigdy doskonałości, — jego dzieło podziwien nie sprowadza, lecz serce tych wzruszeń, które wyżej wymieniłem, nigdy nie dozna. W tych ślicznotach przyrody, odkrywałem wiele i uczyłem się na tych odwiecznych księgach chwalić Boga w Jego dziełach i przy Jego łasce zdarłem z niejednej tajemnicy zasłonę, nie jedno żyjątko, jak na świat przychodzi, jak żyje, jak ginie, jak czuje, jak kocha, jak pamięta i jak myśli w życiu się kieruje, opisałem. Jedno odkrycie uznali uczeni za prawdziwe, drugie przypuszczali za możebne, a wiele okrzyczeli za płody poetycznej wyobraźni młodego badacza, wszystko zaś do późniejszego sprawdzenia na niemieckiej ziemi. Niepomni, że tam niemal cała przyroda przerobiona przez człowieka, że się tam rozum silił, aby zdmuchnąć piękność, a zaszczepić pożytek, za którym chciwie gonią ludzie ciała i materyi, których dusza nieśmiertelna i rozum skryły się w ciasne kółko i tam zapragnięte do laboratorium, pracują wyłącznie nad wy-

nalezieniem zysku, a po osiągnięciu którego ciało domaga się używania; niepomi, że z ich postępowej odczynny siekiéra wygoniła mieszkańców lasów, zysk wypłoszył ptaki wód i bagien, a dymy fabryczne śpiewaków, którzyby ochrypli zamieszkując Anglią, Belgią i większą część Niemiec. Macie wy bogactwa, macie postęp, dopięliście celu rozumem waszym, lecz nie macie już dziewiczej przyrody z tą jej wonią anielską, z tą swobodą stworzeń, które się tak przeludnienia i chciwości boją, a my ją jeszcze mamy; my mamy jeszcze ten skarb w duszy, skarb natchnień i poezji, które w was materializm swymi wyziewami zadusił; my jeszcze lata długie zdzierać będziemy zasłony z tajemnic przyrody i wam donosić o zadziwiających odkryciach w przyrodzie. Wy zaś uczeni postępowego świata, ślęczyć będziecie nad księgami, sprawdzając je, a nie mając do tego podstawy, lub też wybrani badacze zwróćcie zdolności wasze ku przemysłowi, bo w was przyroda przestaje być przyrodą stworzoną i jest przeobrażona na sztuczną przyrodę; a gdy wasze siły rozumu w tej otchłani przemysłów już użytymi być nie będą mogły, wyteżać będziecie potęgę waszego umysłu nad teoryami marzeń, mających przekształcić ludzkość i zabezpieczyć wszystkim szczęście — i jak w dawnych wiekach tysiące alchemików ślęczało życie całe nad alembikami, mającemi wydać złoto uszczęśliwiające, tak wy ślęczyć będziecie nad wypędem myśli przeobrażających ludzkość; jad płynące będzie z ust waszych w imię miłości bliźniego, potoki trucizny ludzkość zalewać będą, a wy dziwić się będziecie, że przy najlepszych chęciach, katusze uczniom spro-

wadzacie! Człowiek w największej potędze swego rozumu, szczęścia ludzkości zabezpieczyć nie może, bo ono pochodzi z nadziemskiej sfery, a im dalej brnie w wymysłach uszczęśliwienia świata, tém więcej się cofa od możności. Nieszczęsny ten, który pnie się ku Boskim atrybucyom, spali się, jak spalił skrzydła Ikaryusz promieniami słońca. Badacze przyrody, a *zatem badacze ludzkości*, wy chcecie wszystkich uczynić niepodległymi, wszystkich tak samoistnie postawić, aby jeden bez drugiego żyć mógł i aby nikt pomocą i kosztem drugich nie żył? Rzućcie okiem na cały świat żyjątek i zgłębcie ich życie bez zrozumienia i sumiennie, a wszędzie zobaczycie silnych i słabych, potrzebujących i nasyconych, w całej przyrodzie jedni drugimi żyją, jedni umierają i przez śmierć innym życie dają, silny żywi się słabym, słaby jeszcze słabszym, a najsłabszy w innej sferze kryje się i zabezpiecza żywot. Lew i tygrys tysiące ssących zwierząt rocznie pożera; orzeł, sęp i jastrząb w szponach dusi niemało pożytecznych ptaków i zwierząt; myszy i różne drobne zwierzątka i ptaszki żyją kosztem człowieka i z jego pracy korzystają; szczupak, łosoś, pstrąg i wiele innych ryb żywią się wyłącznie rybami tego samego gatunku; kret pruje ziemię szukając glist; robaczki pożerają robaczki, pszczoły wycinają nieużyteczne już trutnie, aby darmojadów nie żywić; wszędzie widzimy ofiary i zwycięzców, wszędzie radość i boleści, wszędzie krzywdę i nierówność, wszędzie nareszcie życie i śmierć.

Jedne żyjątko z łatwością dostarczają sobie obfitego pożywienia, prawie igrając wyżywiają się; innym ciężko

przychodzi życie zapewnić; te swobodnie bujają według upodobania i kaprysu, tamte mozolnie przenoszą się z miejsca na miejsce; wieleż jest takich, co rok cały i długi pracują zawsze chude jak szczapy i znowu równie tłustych i oblanych w wygodnym i łatwym życiu. A cóż powiecie na te ptaki i robaki, które skazane są czekać na śmierć, aby z tej śmierci drugiego czerpać swój żywot; i takie znowu, co towarzyszą obcym gatunkom i pozostawionymi resztkami życie sobie zapewniają. Mówią i piszą, każde stworzenie ma swoją ojczyznę, — o nie, trzeba powiedzieć, że każde ma rodzinne miejsce swe, lecz nie ojczyznę, — są tułacze i w świecie żyjątek, chociaż ich mało: tułacze z tym zarodkiem niespokojności, który pędzi stworzenie naprzód i pędzi ciągle; wszędzie źle, więc znowu dalej i dalej i tak do ostatniej chwili życia, nigdy spokoju, nigdzie bezpieczeństwa, a zawsze towarzysząca obawa; zaiste życie na oko zatrute, a one żyją, bo takie jest ich przeznaczenie. Patrzmy na te ptaki, co z łatwością przenoszą się z miejsca na miejsce według woli i w jednej chwili: to bogaci; niedaleko widzimy znaczne gromady, zmuszone do ustawicznych ruchów, a nie uposażone do lotu potrzebnymi przyborami: to biedniejsi, — a mimo trudności odbywają długie, mozolne i niebezpieczne podróże. Zaprawdę, setki stronnicy zapisałby badacz, porównyując świat ludzi do świata żyjątek, a wieleby nauczył tych, co szczerze przejrzeć pragną, a cóż dopiero za ogrom myśli tłoczy się do pióra, spojrzawszy na powierzchnię ziemi pod jej pierwszą warstwę, co tam nierówności, ofiar i męczeństwa!

Przecie tensam Bóg stworzył wszystkie stworzenia i całą przyrodę postawił na równych podwalinach, cały świat oparł na równowadze wynikającej z życia i śmierci, z szczęścia i nieszczęścia, z krzywdy i nagrody; wszędzie widzimy uśmiech rozkoszny przy perlących się łzach, wszędzie żyją jedni przez drugich lub przy drugich i kosztem bliźniego, a wy badacze chcecie te podwaliny wyjąć i podstawić wasze i nie boicie się sprowadzić runięcia Boskiego gmachu. Mniemacie, że kiedy wszystkie stworzenia żyją kosztem drugich, wy wynajdziecie dla ludzkości szczęście niezmiennie i uszczęśliwicie człowieka, jak gdyby był na ten świat rzucony, aby nie pragnąć, nie tęsknić, nie spodziewać się; — pragnienie więc z życia wykreślicie i człowieka usiłujecie zrobić przesyconym stworzeniem, niewznoszącym wzroku duszy ku niebiosom? Szczerze wam posyłam życzenie, abyście szukali krain dziewiczej natury, tam znajdziecie pole nieprzejrzone do badań, głębie rozumem niezmierzone; zajmiecie wszystkie władze umysłowe, życie całe strawicie na badaniu, a gdy was śmierć zaskoczy, przekażecie dalsze badanie synom, a ci znowu wnukom i t. d. i ciągle badać będziecie do skończenia świata, pokrzepiać umysł odkryciami, świadczyć dobrodziejstwa ludzkości; wobec czystej przyrody coraz się lepszymi staniecie, a gdy Bóg każe ludzkości odegrać ostatni akt tego dziwnego i niepojętego dramatu, oni, ci ostatni badacze ku nam przystąpią do świata urzeczywistnionych nadziei i zeznają, że jeszcze wiele tajemnic tajemnicami pozostały, a Bóg nas oświeci i zedrże ostatnią zasłonę. Tymczasem badacze ludzkości, mia-

nujący się jój dobroczyńcami, nie bawcie się w Boga i zaniechajcie uszczęśliwiać wszystkich, zostawcie to Stwórcy, który świat cały od stworzenia jego prowadzi i nim kieruje, zsyła bolesti i krzyże, pociechy i radości, każe cierpieć na téj kuli ziemskiej, bo cierpienie dla duszy jest tak czyszczące, jak ogień dla złota — i póki na osi obracać się będzie ten olbrzymi świat nasz cały, dopóty wszyscy cierpieć będą musieli, wszyscy pragnąć, wszyscy się męczyć, aby przez dobroczynne męczeństwo sięgnąć po wiekuiłą koronę prawdziwego szczęścia!

Nim przejrzą, niech marzą i próbują, niech zastosowują teorye chorowite do ich współbraci, jak początkujący lekarze po szpitalach, niewprawne ręce uzbrojone skalpelem topią w ranach cierpiących, tak oni napawać będą łatwowiernych sączącemi się kroplami trucizny z alembiku swych marzeń i dziwić się będą, że zamiast błogiego skutku lekarstwa, chorzy sobą miotają, niespokojni, pełni żądz i namiętności, wiją się jak szatany, otwierając już paszcze z narzekaniem, aby pochłonąć fałszywych dobroczyńców, a gdy się tym przewrotnym apostołom uda stracić który odwieczny filar, z zadziwieniem ujrzą, że przygotowany na to miejsce filar, jest szklanny, dźwięgnie on i runie, a runąwszy w gruzach zasypie apostołów i uczniów! My nie spieszymy naprzód krokiem podwójnym za obcymi, bo szybki krok do zbłądzenia prowadzi i *rozważę mija*, nie idźmy rączo, nim uporządkujemy wszystko, nim zatrzymamy co złego było w przeszłości, nim się ozdobimy tém, co było szczytném, a co niestety w zapomnienie poszło, zbadajmy

nasze siły, czy dostateczne do wytrwania postępu, czyśmy dojrzeli, aby kroczyć śmiało naprzód, a przede wszystkim nie zapatrujmy się na obcych, nie pijmy tego zatrutego napoju, który nam w czarze z zachodu podają, a za którą, jak wszyscy w nieszczęściu, chwicie chwytamy, bo tonący się brzytwy chwytą, *nie tonimy w obczyźnie, która nam matkę otruła*, a pewnie cierpieniem oczyszczeni, odżyjem dla lepszych czasów. Jakże ma badacz przyrody sądzić o ludziach, krajach i przyszłości, jeżeli nie ze swego stanowiska wiary niezłomnej w miłosierdzie i w sprawiedliwość boską, w nieskończoną jego mądrość; jakże ma inaczej sądzić, gdy przejęty ogromem miłości, korny we wdzięczności bez granic, podziwia tę olbrzymią maszynę nakręcaną ręką Bożą, tę arkę, w której zgromadzone są wszystkie stworzenia, w której żyć mają do skończenia świata, widząc dla najmniejszego żyjątka mikroskopicznego uregulowaną terazniejszość, zabezpieczoną przyszłość, byle pozostało w korbach swego przeznaczenia, a to jest dla nas najwyższą nauką, aby my sami sobą zostali, a nie pracowali nad tém, aby obczyznę przyjmować! Bajka nam trafnie mówi o żabie, która pękła, gdy chciała dorosnąć wołu, tak człowiek zginie, który przybiera obczyznę, taksamo naród przeobrażający się w mięszańca, depcze zuchwale nogami odwieczne fundamenta swojej samoistności, a bez nich naraża swą przyszłość. Niech twierdzą nieprzyjaźni teoretycy, że w nas natchnienia niema, że nieszczęścia wyrobiły chorowity stan umysłu, niezdatnego już do rzeczywistości, że my naukę obcą przeżuujemy tylko jak bydło strawę, a własnymi siłami,

własnym rozumem nie badamy, nie odkrywamy i nie zgłębiamy nic, niech głoszą, głaszając siebie samych, że my spruchniały las, toczony robakami, niemający żadnej przyszłości, niech nam z historii zabierają znakomitych męźwów i niech ich sobie przywłaszczają, niech przekreślają dzieje nasze i wydzierają kartki rażące ich: my przecie chociaż nogą w grobie wołać będziemy, że my mamy wszystko, co zdoła naród, że na stronicach naszych wybite są szczytne i głęboko nauczające myśli i to udowodnić możemy przeszłością i teraźniejszością, a jeżeli doświadczenie nie pójdzie w las i my strzedz skarbów naszych potrafimy i przekonamy się, że trzeba sobą samym pozostać, aby mieć właściwą cechę samostności, wtedy i przyszłość nam się uśmiechnie. Jakże ja badacz, miłujący przyrodę, mogę wierzyć w zagładę tyłu stworzeń z nieśmiertelną duszą, patrząc codziennie na troskliwą opiekę Opatrzności nad swemi żyjątkami, w którejto opiece tyle przezorniej troskliwości widzę. Gdy czasem w pośpiechu płocności, niebaczna samiczka uściele gniazdeczko nieschronione przed burzą i słotą, wtedy widzę, jak ręką niewidzianą gałązka nieznacznie się nachyla i chroni zniesienie jajek przed zniszczeniem; gdy znowu uściele na skale lub ziemi, a usiadłszy, widzi z przestrachem swe bezbronne położenie, wyrasta paproć lub lepiocha i szerokimi liśćmi zasłania od Opatrzności protegowaną ptaszynę; a gdy już nic wyrosnąć nie może, w tej na pozór ograniczonej ptaszynie, odkrywa się instynkt pożyteczny, przewyższający nieraz ogromem praktyczności rozum nasz! I tak widziałem nieraz, jak słowiki, skowronki, kurki wodne,

łyski i kaczkki, z trawek, liści, trzcin i szuwarów wiążą chroniące baldachimy nad sobą i zakrywają siebie i rodzinę przed drapieżnym ptakiem! I wszystkie żyją, wszystkie niepodległe, wszystkie w jedności i miłości węzeł silny wiążą i tym węzłem przyszłość zapewniają!

Mają pewnie przyszłość o tyle, o ile kaczka kaczka, wrona wroną, słowik słowikiem, żaba żabą zostaje i pozostać pragnie; lecz jak się kawka pawiami piórkami stroi, puchacz w dzień latać usiłuje, bocian drapieżnego ptaka naśladuje, a żaba się nadyma, aby przyjąć kształty wołu, to pewnie zginie! Mogą przeczyć, że każdy kawałek ziemi naszej, posiada więcej ptaków i owadów, jak ojczyzny badaczy zagranicznych; mogą przeczyć, że my odkrycia robimy i postępujemy ciągle, gdy przeciwnie oni żyją w przeszłości i badania przyrody odbywają między ścianami; mogą opisy życia ptaków uważać za mrzonki chorowitej fantazyi i materjalizm stawiać przeciw poezyi ubarwiającej całą naturę, mogą zaprzeczać ptakom czucia, rozumu i pamięci i w nich nic innego dojrzeć, jak pożytek lub szkodę; my zaś dalej badać będziemy te zadziwiające tajemnice i posyłać im opisy naszej przyrody tak bogatej, tak woniącej, tak uroczą ciszą osłoniętej; my szanować będziemy te stworzenia, które nam są niekoniecznie potrzebnymi; oni co żyje, tępić będą i pożerać, a tak migracye ptaków, jak dotąd odbywane, dalej odbywać się będą, szukając u nas w zaciszu schronienia. Niech przeczą, że my zajrzeli głębiej pod zasłonę tajemnic przyrody, jak oni a my słuchać będziemy śpiewu rozkosznych śpiewaków, będziemy się uczyć zgody i miłości, przejrzymy się organizacyi



dziwnie rozumną ptaków, w której solidarność i wzajemna pomoc są podstawami, a oni tymczasem niech słuchają śpiewu nieograniczonego postępu, śpiewu hamer- ni, pieców i młotów, szumu dymu wznoszącego się i pisku pary ulatującej; niech się spychają wzajemnie na ciasnej przestrzeni, niech ziemię i jej płody wydzierają żyjątkom; my jeszcze długie lata, może *zawsze* na ziemi naszej znajdziemy pomieszczenie dla wszystkich i wyżywienie. My rolnicy, z nami w zgodzie świat żyjątek pożytecznych i miłych, z nami niech będzie miłość zgoda i szczerza praca w ziemi, bo nas tak uczy natura, a gdy dopiero w dalekiej przyszłości ziemi zabraknie może, wtedy człowiek człowieka spychać będzie: lecz to w tak oddalonej przyszłości, że ani my, ani patzki jeszcze teraz niepokoić się nie mamy czego!

VII.

Zdarzenie udowadniające łatwość porodu i szybkość w wykształceniu się młodego stworzenia, bez żadnej pomocy rodzicielskiej lub obcej, jest ciekawem o tyle, o ile się oczom ludzkim przedstawiło, gdyż w całym świecie zwierzęcym jest to podstawą szybkiej i bezpiecznej reprodukcji. W lesie Czajowickim, kobieta ze wsi, szukała grzybów i łażąc po gęstwinach nadybała leżącą sarnę o kilka kroków przed nią pod drzewem; widząc, że rodzi, przycaila się, chcąc jej zabrać sarneczkę. Gdy ta już na świat przyszła, wstaje i posuwa się ku niej, wtém spostrzega, iż będą bliźnięta, więc się znowu wstrzymuje i po ukończeniu porodu biegnie złowić oboje małych, a tu sarna się zrywa, za nią pierwsze sarniątko i drugie się podnosi, byłoby nieochybnie uciekło, gdyby nie widłaty grab, którego widły były wąskie i w które mój rogaczyk wskoczył i zawiesił się; matka zaś z pierwszym swym płodem już w swawolnych skokach odbiegała szkodliwego człowieka i znikła jej z oczów. Wtém ja nadszedłem i słuchałem opo-

wiadania zadyszanéj kobiety, wziąłem rogaczyka już silnie szamocącego się i przekonałem się, że już o własnéj mocy uciec zdoła. Tu dowód siły od pierwszéj chwili przyjsia na świat, a w kilku słowach udowodnię, jak po wykluciu z jajka, niektóre pisklęta już są obdarzone instynktem, chroniącym je od niebezpieczeństwa.

Ile razy poznałem, że samiczka kaczek, chruścieli, kurek wodnych, cietrzewi i t. d. zlatuje od małych piskląt, zawsze starałem się odkryć małe, jużto dla przekonania się o ich kształcie, już o ich stosunku do matki, lub o stanie ich ubarwienia—i zawsze przekonałem się, że każde z nich pojedynczo, jak i wszystkie razem, pojmują głos ostrzeżenia matki, bo dziwnym instynktem prowadzone, umieją takie kryjówki wynaleźć, że oko ludzkie ich nie spostrzeże, ba i więcej nawet powiem, *wyżet nie zwietrzy*; kaczuszki mchem jeszcze obrosłe, zanurzają się instynktowo tak głęboko w wodę, że li dzióbek po nozdrza na powierzchni pozostawiają, a przeczuwając i tam prześladowanie, chyłkiem się z wody wynoszą i zapychają się między korzenie, lub w szuwały i rzeczywiście znikają; jeżeli i tam nie czują bezpieczeństwa, wylazą na stały ląd i szukają schronienia w odaleniu znaczném. Pisklęta kurek i chruścieli, bekasów i innych szczudłatych ptaków, jeszcze ciemno omszone, już się umieją tak chować, że niepodobieństwo je odkryć. Zawzięcie prześladowając pisklęta wszystkich dla mnie przystępnych gatunków, aby zbadać ich naturę, zgłębić to zadziwiające porozumienie matki z dziećmi, widziałem podziwienia godne zdarzenia. I tak n. p. odkryłem

młode na bagnie igrające pisklęta, lub też za matką szukające pożywienia: w jednéj chwili nikną mi z oczów i godziny całe trawiłem na ich odszukaniu, często nie otrzymawszy żadnego skutku, lub też jedno i drugie odkryłem wtłoczone do kępinki, w dziurze myszy lub szczura, lub też siedzące odkryte, lecz w tak zastosowanym kształcie ciała do miejsca, a tak nieruchomie, że od bryłki błota rozpoznać go nie można było. Ostrzeżone o niebezpieczeństwie ptaszęta, tak skamieniałe siedzieć będą godziny całe, dopóki matka nie zawoła lub głód ich nareszcie nie przymusi do ruchu. Cietrzewie na czystéj łące przed oczami giną i tak głęboko pod mech, w dziury, w trawy i pod krzaki się zapychają, że pies nawet wiatru nie ma żadnego i sam widziałem, jak kilkanaście razy przez to samo pisklę przeskakiwał, nie zwietrywszy go.

W tych badaniach są zaiste rozkoszne chwile, pobudzające do głębokich marzeń. I tak w czasie lęgu na pewnéj przestrzeni, po ostrzeżeniu przez samiczki daném, cisza panuje, jak gdyby żadnego ptaszka tam nie było; gdy badacz potrafi tak swą osobę ukryć, iż oszuka samiczki, nic pociesniejszego, jak zobaczyć, że na jeden głos, na jedno piśnięcie, ożywia się to miejsce pierwéj bez życia zostające, wszystko się rusza i biega, piszczy i kwili i znowu na znak dany w okamgnieniu przestrzeń cała jak wymieciona, a chociaż ten łączący drobiazg zmienił miejsce, przebiegłszy w inne, on i tam znajdzie doskonale kryjówki. To ostrzeganie wzajemne widzimy i w wykształconych zupełnie już ptakach, wszędzie są pomocne ptaki, które drugich ostrzegają: na wodach

rybitwy i niektóre gatunki kaczek, na bagnach czajki i kuligi, między śpiewakami dobroczynne jaskółki i ciekawe, a mądre sikory. Jedno przeraźliwe świstnięcie, szybciejszy lot niż zwykle, jak szukający schronienia, zagęganie mocne, świergotanie przyspieszone, czasem znowu jedna nota wydana, lecz nienaturalnym, przeraźliwym głosem, to są telegrafy, których znaki doskonale rozumieją ptaki. Zdarza się, że znak popłochu dany a niezrozumiany, więc go z naciskiem powtarzają; lub też niektóre zarozumiałe ptaki, nie chcą wierzyć i zapytują, *czy istotnie uciekać trzeba*, wtedy w przełocie ostrzegający spiesznie powtarza i dalej leci uratować ofiary lekkomyślne. Przed nadchodzącą burzą słyszymy wszędzie te uszom naszym prawie nieznanne tony, widzimy przyspieszone loty i ruchy obce naszym ptakom. Na bagnie i wśród wielkich wód jest to uroczysta chwila: gdy fletowemi tonami kuligi ostrzegają współmieszkańców; inne ptaki, gdy krążą nad ziemią, jak dobroczynne istoty; na oko ciężkie, a tak byстрыm lotem obdarzone mewy, z rozpostartemi skrzydłami, jak białe cienie stają w powietrzu, to znowu ruszą ku prądowi powietrza, stają znowu i jak żartując z fal i burzy, szyją przeciw wiatru lekkie jak motyle, kołyszą się chwilę i znowu podobne do kształtnej łódki, dalej płyną po powietrzu. Wszystkie ptaki już myślą o schronieniu: te pojedynczo, tamte w skupionych hurmach zrywają się jednym lotem, drugie na nogach dopomagając skrzydłami, te z wody zrywają się spiesznie, ostrzegając się wzajemnie i głosem się zachęcając do szybciejszego lotu, reszta znowu na wodzie wiosłuje

pletwami, dążąc ku trzcinie — i nim Bóg zagra piorunami, a oświeci tę sztuczną ciemnicę błyskawicami, już wszystko schronione, jak pod parasolami; spostrzegamy jedynie tych mazgai, których wszędzie zanadto, którzy na nic i nigdy czasu nie mają i nigdzie na czas nie przybywają, ci mazgaje ptasiego rodzaju niemal w każdym gatunku istniejący, z lamentem lecą, pewnie jak i nasi ludzcy mazgaje, skarżąc się na niesprawiedliwość losu i na nieszczęście, które ich tak niezasłużenie na swe ciosy wybrało, a mimo powtarzanych nauk, mimo podobnych niebezpieczeństw, zawsze ci sami, niczego się nie nauczą; nie spamiętają, zawsze i wszędzie przybywają za późno, mazgaje!

Lecz wróćmy się do kolonii naszych jaskółek, tam zaszły ciekawe zmiany. Na jednej linii kilkadziesiąt gniazd, jedno do drugiego tak podobne, że ich rozzeznac nie można, blisko razem lepione, bo to często dzieci przy rodzicach się osiedlają, już z przywiązania, już to dla opieki i korzystania z doświadczenia starych. Tyle tam wlatuje i wylatuje oknówek, że nikt nie jest w stanie ich porachować; żaden badacz nie może stanowczo powiedzieć, dlaczego tam ustawicznie zazierają, co tam za interesa mieć mogą, tak młode jak i stare. Ja z pewnością twierdzić nie śmiem, lecz posądzam jedno i drugie; przecież instynkt to przecucie, a przecucie przewiduje ból i smutek, radość i rozkosz w przyszłości; jakże mogę przypuścić, żeby te stworzenia obdarzone instynktem, tu i owdzie nie przeczuwały złego i dobrego, nie zdając sobie sprawy, nie oznaczając, co się ma stać, lecz się niepokoić i cieszyć czasem muszą?

Doskonałe oknówki wychowawszy już dorosłe pisklęta, wiedzą, że się lube dzieci same żywią i żadnej opieki nie potrzebują, a wiedzą, że w tej zimnej Polsce lato mija, jak biczem trząsł i podróż długa w jesieni nie przebaczy; trzeba jeszcze znieść jajka i wychować drugą rodzinę. Dzieci dorosłe dla czule kochającego się stadła wielce niewygodne, powiedziałbym żenujące, bo to już wiele wié, resztę bystrością przeczują, a ciekawe do zadziwienia, wszędzie patrzy, wszystko podsłuchuje i mimo ostrożności rodziców, niejedno zobaczyć mogą, *o czém na rok przyszły wiedzieć dopiero powinny*. Rodzice przemyślują nad tém, jak zrobić, aby ta dziatwa się nareszcie odczepiła, a dziatwa umiłowała rodziną lepiankę, przeczując coś złego, ustawicznie w kolebkę zaziera, czy tam jakiej zmiany niema i wszyscy koniecznie w lepiance spać muszą. Ku wieczorowi, po dniu pracy i znużenia, każdy spieszy do domu na spoczynek, bywają i między oknówkami roztargnieni, którzy wchodzą do obcego domu przez roztargnienie; może też są, jak między nami, co pod pozorem roztargnienia, różne korzyści wyciągają, bo dobrze mówi Francuz: »Że nie ma straszniejszego głuchego, jak ten, co nie chce słyszeć.« Jabym to samo o dystraktach powiedział, że są udani znowu najniebezpieczniejszemi. Oknówki więc młode w tym rzędzie lepianek nie poznają swojej, lub też udają, — ja tego niewiem — i pakują się do obcej: zły przykład niestety zawsze ponętny, pcha się brat za siostrą, siostra za bratem i cała rodzina lokuje się w obcej chacie; a tu przylatują spóźnieni właściciele, dom zajęty, hałas więc wielki, już rozgoszczonym i ogrza-

nym przykro wyruszyć, bo noc chłodna nadchodzi, przybyszom równie pilno spocząć, świergocze i piszczy družyna, nadlatują stare, napominają, jedna do gniazda włazi i wypędza, druga czeka, aby jeszcze połać i odgonić, nareszcie radzi, nieradzi dystrakty muszą uciekać. A cóż to dopiero się dzieje, jak te niedelikatne oknówki wlecą do gniazda, gdzie kilka piskląt jeszcze się znajduje, lub też samiczka na jajach spóźnionych siedzi; o, wtedy po ostrzeżeniu samca, samiczki lub sąsiadki, cała kolonia doświadczonych oknówek przejęta zgrozą, leci karcić, wszystkie piszczą, wszystkie potępiają i nareszcie indyktów wypędzają, którzy po tym despekcie muszą nocować na dachu lub gziemsie. Tak samo się kończy stosunek z rodzicami, jak samiczka znieśie jaja; młodzież swawolna odgonioną bywa, nocuje z początku w bliskości gniazda, potem po drzewach, skupia się z drugimi rodzinami z pod opieki wyzutemi, rośnie gromadka po kilkadziesiąt i kilkaset, a przekonawszy się, że ich rodzice innemi dziećmi zatrudnieni, wędrują ku południowi i to są pierwsze podróżujące jaskółki, które stanowią awangardę i mimo młodego wieku, mimo płochości przywiązanej do niego, nie zбочą ani na stopę z wytkniętej drogi — i tam, gdzie ciepło i gdzie powietrze obfituje w owady, czekają na przybycie w sierpniu lub wrześniu głównego korpusu. Do samej nocy gwar i hałas w takiej kolonii nie do opisania; starszyzna pełniąc obowiązki policyantów i żandarmów, ustawicznie lata, napomina i karci, to znowu prosi i zaklina, jak konstable angielskie; to nagania dokuczliwie, jak nieucywiliżowana policja; nareszcie, gdy płaszcz swój

ciemny noc rozpostarła, a firmament zapalił miliardy świeczek promienistych, uspokoiły się jaskółczęta, spoczywając do ranka, który znowu wezwie do pracy i ruchu.

Kiedy rolnik Boże dary sierpem i kosą na ziemię wali, spieszy się, aby schować bezpiecznie owoc swęj pracy, a pług wyjeżdża znowu przewracać rolę i ręka znowu rzuca ziarno na przeszłość; kiedy człowiek przy swęj pracy i zajęciu chwilowo zapomina, że przyroda powoli już żałobę przywdziewa i kwiatek po kwiatku, listek po listku zrzuca z siebie, zrzuca te barwiste ozdoby, których dosyć podziwiać nie możemy; kiedy mgła niemal co dzień rano zasłonę spuszcza na przyrodę, ten woal pokrywający wstydliwą, a w jesieni rozbierającą się naturę, wtedy gromadzą się jaskółki, pokrażą, pobujają na pożegnanie, zaświergotają, jak która umie, śpiew zachęcający do podróży i odleca na długo, my spuszczaemy wzrok ku ziemi, bo na widnokręgu już nas nie bawią lube wirujące cienie i w pracy szukamy pociechy, w pracy koło matki ziemi staramy się zapewnić przyszłość, w pracy wdzięcznej i zajmującej znajdujemy siłę i wytrwałość do oczekiwania pełnego tęsknoty, spóźnionej wiosny!

Jak i dymówki lecą ku Węgrom i Włochom, kąpią się w Dunaju, Bohu, Dnieprze i Tybrze, później lecą odwiedzić kolebkę sztuki i wiedzy, po ruinach glazowych dawniej potęgi, zbierają muszki i owady, świergotząc nad grobami wielkich mężów i wojowników, ku zimie opuszczają Europę i dążą przez morze do Azji i Afryki, dalej i dalej zmierzają ku ciepłikowi koniecznie

potrzebnemu do łatwego wypierzenia i tak niemal w ciągłej podróży schodzi zima i znowu powrót rozpocząć wypada. Kilku autorów, a między innymi Buffon, podają, iż w roku 1779 mieszczanin z Bazylei uwiązał na cienkim druciku blaszkę z napisem:

Hirondelle

Qui est si belle,

Dis moi, l'hiver, où vas tu? *).

Powracająca jaskółka miała na odwrotnej stronie napis:

à Athènes

Chez Antoine,

Pourquoi t'en informes tu? **)

W lecie, czyli na wiosnę lecą ku wysokiej północy. Podróżujący badacze przyrody widywali je w Szwecyi i Norwegii północnej, nawet w Laponii, lecz tam jedną rodzinę tylko wywodzą i spieszą, aby uciec przed mroźną, tak wczesną jesienią. Twierdzą autorowie, lecz to badacze książkowi, gabinetowi, co skrócić usiłują przyrodę całą, do rozmiarów łatwo okiem zmierzonych, co naukę zamknęli w długości i szerokości części ptaka i podług tych rozmiarów i proporcji oznaczają rodzaje i gatunki, ciesząc się nad temi wynalazkami,

*) Jaskółko tak piękna, powiedz mi, gdzie na zimę lecisz?

**) Do Aten, do Antoniego, dlaczego mnie o to pytasz?

jak dzieci nad popsutą zabawką, a gawiedz płytka poklaskuje bystrości badawczego rozumu, ci badacze, niemowlęta naukowci, twierdzą więc, że jaskółki nie mają instynktu i twierdzenie popierają tym aksyomatem: »gdyby miały instynkt, nie narażałyby się w przybyciu wiosenném na śmierć, pochodzącą z zimna lub głodu, nie narażałyby się na burze i przeciwne wiatry, nie narażałyby nareszcie piskląt na zagładę.« A cóż wy myślicie, że świat żyjątek i świat stworzeń, nie wyjmując króla przyrody, może zawsze chcieć i niechcieć, może zawsze podług upodobania i woli omijać niebezpieczeństwa, urągać śmierci, zabezpieczać instynktem i rozumem przyszłość? O nie, są prawa, które pędzą naprzód i hamulec nic nie pomoże, nie zawsze instynkt i rozum może ominąć niebezpieczeństwo, nikt nie wie i wiedzieć nie może, jaka śmierć go czeka? Posłuszeństwo, oto łańcuch otaczający świat cały, biada temu, kto się wywinąć chce z tych Boskich kajdan; biada temu, który poznać nie chce celu i użyteczności tych niewidzialnych ogniw; na posłuszeństwie stoi cała natura — i tę dobroczyną chorągiew, pod którą garną się wsze stworzenia, odbiega li człowiek, ten pan przyrody, zuchwalec, dufny w swój rozum, oparty na woli, szamocze się i rwie błogosławione łańcuchy, ucieka, a błądzi; narzeka, a słuchać nie umie; chciałby powrócić, a stracił kierunek; w rozpacz pyta, co uczynić wypadnie? Zapomniał, że każdy musi czynić, co powinien, a niech się dzieje wola Boża nad wszystkimi i wszystkiém!

Jaskółka przeczuwa, że będzie głód i zimno, że przyjdzie stracić dzieci, smutnieje, żałośnie lecz nie zu-

chwale, piszczy i narzeka, lecz się poddaje pod wyroki. W Afryce i Azji już przeczuwać musi złe, co na nią czeka, bo obdarzona instynktem, jak wszystkie lotne żyjątki, pamiętna tych naszych zimnych i słotnych wiosen, a leci, bo lecieć musi: tak prawa odwieczne nakażały i z pod nich wyłamać się nikt nie może. Z drugiej zaś strony rażący kolor czarnego nieszczęścia znika pomału przed rozkoszną pamięcią chwil miłości i lęgu, serce przyspieszonym biciem popędza do podróży, krew szybciej obiega organizm, spieszą się do ojczyzny ptaszyny, bo wiedzą, że w ich ojczyźnie dobrze; wiedzą, że Bóg miłosierny stawia w swém miłosierdziu pociechę przy nieszczęściu, lekarstwo przy truciznie. Niemal wszyscy autorowie opisują gniazda kolonii oknówek na gołych skałach, na których corocznie lepią swe budyneczki. Ja tych kolonij w żadnym kraju nie spostrzegłem; wprawdzie w mych wycieczkach w nasze uroczne góry, widywałem uganiające oknówki wysoko w górach, nawet nad szczytami tychże, lecz to tłumaczyłem zawsze pogonią za wznoszącemi się owadami i łatwością lotu naszych ptasząt; spostrzegając ich lepianki na kościołach i cerkwiach, na domach proboszczy i dziedziców, nareszcie na karczmach, bo innych murowanych budynków w tamtych stronach nie zauważałem, mimo wiedzy o tém twierdzeniu autorów, mimo usilnego szukania, lepianek oknówek na skałach nie znalazłem.

Dawniej tyle było murowanych gmachów i pałątek w całości po szczytach naszego podgórze i nad rzekami, tyle miejsc dogodnych dla gniazd oknówek, lecz to się coraz więcej rozpada i niebawem pamiątki

siły i wielkości, pamiętki sławy i panowania, pamiętki wielkich zasług i ofiar, runą ku nizinom lub też utopia się w rwących falach rzek — i serca li czyste, przechowywać je będą, a usta dobroczynne z generacyi do generacyi przekazywać, aby nie zapomnieli czém byli i czém być mogą w przyszłości. Czas, ten świdrujący robak, *niedbałość, ten rak toczący człowieka*, lekkomyślność płocha, żyjąca z dnia na dzień, niedozwalająca myśleć o obowiązkach dla jutra, a nareszcie ta bieda, niezmyczona nigdy, ślęcząca nad nami, jak nienasycony wampir, dokonały nareszcie zniszczenia. Drewno zgniło, robaki podziurawiły, wapno i cement, śniegi i deszcze wypłukały, mróz rozparł kamienie, mury się rozpekły, runął jeden kamień, po nim drugi i tak dalej, aż się wyłom zrobił, podobny do wyłomu w murze fortecznym, z którym kule i bomby się pasowały, nareszcie runęła i ściana, został silniejszy filar tylko, a gruzy pamiętek toczyły się ku nizinie. Rozpadł się gmach, historia jego już ciemna, niebawem w legendę przechodzi. Człowiek u stóp tego rozbitcia mieszkający, często zbiera porzucane kamienie, świętokradzką ręką sięga wyżej, łamie resztę i kleci budynek lub gorzelnię! Potępiłby go każdy, któryby nie zajrzał głęboko pod zasłonę rodzinnego kółka, lecz tam czasem bieda dokucza już w drugiej generacyi, tam nieszczęście gniecie ósmy lat dzieśiątek, dziwić się nie może, pożałuje, popłacze, odwróci rozczulonym wyrazem ozdobioną twarz i nie ma siły potępić! Zwiedzałem ja wiele podobnych pamiętek po naszym kraju, niejedna przykuła mnie do siebie na chwile długie; szukałem ptasząt, które zawsze życia do-

wodzą i nie nadybałem, jak sowy i puchacze, śmierć, pustki i zagładę! Im więcej rozpadywać się więc będą te gmachy, tém mniej miejsca mieć będą oknówki do gnieźdzenia, być więc może, iż później zmuszone będą emigrować ku skałom i tam lepić gniazda; do dziśdnia nigdzie ich tam nie postrzegalem.

I oknówkom zarzut czynią, że w pasiekach szkody robią, lecz to nedorzeczna potwarz! Jakżeby tym dzióbkiem, który ma ledwie dwie linie długości, mogła objąć pszczołę? musiałyby ją brać w połowie ciała, jak tancerkę do tańca; o tém nedorzeczniem twierdzeniu przekonali się i ci, którzy pracowali nad wynalezieniem zarzutów; mając czasem jaskółki w pokoju, puszczały im pszczoły, lecz dobroczynne ptaszęta na nie nawet uwagi nie zwracały i dopiero, gdy głód je zmusił do szukania obcego pokarmu, szamotały się z pszczołami, nie mogąc ująć dzióbkiem, ani też połknąć; cóż wynikło? oto, że broniący się owad ukłuł w paszczę lub szyję ptaszynę, ona zesmutniała, napuchła, przeboleła dzień cały i z życiem się pożegnać musiała; śmierć jej przekonała badacza, a drugi pewnie znowu te same eksperymenty rozpocznie, bo podaniu najczęściej ludzie nie wierzą i własnymi oczami, własnym kosztem chcą doświadczać. Doświadczenie jednego nie jest doświadczeniem dla drugiego, nawet w najbliższym stosunku! I tak: ojciec życie strawił, siły stargał na doświadczeniu, nauczające skutki przekazuje synowi, a ten dufny w swe siły, z wiarą w postęp, uśmiecha się zarozumiale i brnie tą samą przepaścistą drogą, co brnął ojciec, dziwi się, a grzęźnie dalej, nie popatrzy nawet na

spuściznę użyteczną po ojcu! I tak się dzieje niestety w nauce, że uczeń chce sam doświadczenia przechodzić, te same, co nauczyciel przechodził; jest to brak ufności i zarozumiałość w swe własne siły. Gdzieżby była już w prawdziwym i pożytecznym postępie zabiegła ludzkość, gdyby umiała korzystać z doświadczenia poprzedników, gdyby wierzyła w prawdę przekazanych doświadczeń? lecz zdaje się, iż tak chce Opatrzność i zwątpienie kładzie za hamulec postępowi! Prawdę mówi francuskie przysłowie: że prawdziwe doświadczenie bywa to, które jest wynikiem przez swe całe życie popełnionych głupstw!

Inny zarzut: że oknówki lepiąc gniazda, wałają mur i nieczystość zaszczepiają. Zaiste, te foremne półkule nie szpecą domu, są prawie pod dachem przylepione, a gdybyśmy inną nieczystości po domach nie mieli, jak te, które nam jaskółki przynoszą, jeszczebyśmy na przykład ochędóstwa służyć mogli. Boli mnie zawsze bo to trąci obczyzną, jak widzę, okrutną ręką zrucane lepianki naszych pożytecznych towarzyszek, które im bliżej nas się gnieźdzą, tém szybciej uwalniają nas od dokuczliwych owadów; po drugie, że pradziady nasze szanowali jaskółki i wierzyli, że im błogosławieństwo do domu przynoszą, jak bociany — i pewnie żaden nie byłby śmiały podnieść ręki na to dobroczynne żyjątko; a wieśniak nasz, który pamiątki tak sumiennie przechowuje i niczego się tak nie boi, jak nowości, szanuje jaskółki i opiekuje się nimi; wierzy, że mu błogosławieństwo do chaty przynoszą. To nie zabobon, to nie śmieszny przesąd, bo w Słowiańszczyźnie zawsze

jaskółki szanowano i my je szanować musimy, już to jako pamiątkę przekazaną, już to aby nie razić sąsiada wieśniaka, który złém okiem spogląda na te postępowe zwyczaje, jak n. p. strzelać bociany, dla powiększenia stanu zwierzyny, a w imieniu czystości zrzucić gniazda jaskółek; już to z wdzięczności za zasługi, które nam ta ptaszyna oddaje, a nareszcie już dlatego, że kto z sercem i uczuciem dla piękności na nie pogląda, ten się często rozczuli, często utonie w zbawiennym marzeniu, a pewnie jaskółka rozwieje mu nieraz chmury, nagromadzone na jego czole. Wiem, że u nas jeszcze nie łowią i nie pożywają jaskółek, jak w południowej Francji, we Włoszech, w Sycylii i na Malcie, gdzie krociami w czasie odpoczynku przed zamorską podróżą znoszą je na targi i chciwi ludzie pożerają te ptaki wielkości ledwie włoskiego orzecha, ale my przecie z swawoli nie jedną zabijamy, a swawola, okrutnie to każąca wada, często dla zabawki lub wprawy w strzelaniu młodzież pusta zrzuca z powietrza bujające pożyteczne ptaki — i to złe i szkodliwe przyzwyczajenie! Bóg stworzył pożyteczne stworzenia, a ludziom dał rozum, aby poznać ten pożytek; *stworzył je najczęściej drobne i kształtne, a niesmaczne*, aby je szanowano, dłaczegóż poniewierać mamy dobrodziejstwa od Opatrzności nam dane, dłaczegóż i w tém ma być człowiek zaślepionym zuchwalcem i sobie szkodliwym.

Na tém kończę opis *Jaskółki oknówki* i jeżeli was zabawiłem i zająłem, jeżeli która z myśli tu skreślonych utkwi w pamięci waszej, mili czytelnicy, i zachowa się na przyszłość, to mnie wynagrodźcie zaraz obietnicą,

że wpływać będziecie na kółka was otaczające, aby jaskółki kochano i szanowano, jak je kochali poprzednicy nasi, we wszystkich słowiańskich narodach; a pewny jestem, że kto na te lube ptaszyny często badawczym okiem rzucić będzie, zajmie się niemi, pokocha je, pozwoli im kleić lepianki — i słuchać będzie ich nuceńnia, a na końcu z zachowawczym naszym chłopkiem powiem: one, te dobroczynne ptaszyny, błogosławieństwo na wasze domy sprowadzą, a tego wam pewnie potrzeba.

Przyznać muszę niedogodność z licznego pobytu i rozgoszczenia, się jaskółek oknówek i z tego wynikającej nieczystości, gdy nasze wiejskie domki licznie zamieszkały, lecz pożytek zdziaływany przez te ptaszyny i dobroczynna miotła usunie te chwilowe nieprzyjemności, a dziesiątkowanie dokuczających much i komarów, wynagrodzi sownie udzieloną ptaszynom gościnność, do tego jeszcze życie ruchliwe téj zajmującej istoty ubarwi nam niejedną chwilę przez lato, przyciągając nasz wzrok badawczy na życie pracy obowiązków i poświęcenia. Niszczenie więc gniazd uważam za szkodliwe i nam niewłaściwe. Każde żyjątko broni siebie i swą rodzinę, według możliwości i gatunku udzielonej onemu broni — i to we wszystkich działach przyrody. Nasza oknówka z krótkimi nożętami, z drobnutkim dzióbkiem nie posiada innej broni, jak swój szybki lot i przeraźliwy głos, istny lament, błagający o miłosierdzie; więc ile razz spostrzega swą rodzinę w niebezpieczeństwie, ugania, szeleści, okrąża, skrzydełkami dotyka nieprzyjaciela, a głosem błaga o pokój. Hr. B. z My-

szkowiec, opisał mi ciekawe w tym kierunku zdarzenie: Na gźemście wymurowanego, a niezamieszkałego jeszcze domu w ogrodzie, para oknówek ulepiła swą lepiankę i karmiła pisklętą. Dopóki samiczka siedziała na jajkach, nie broniły przystępu właścicielowi zwiędzającemu niemal codziennie postępującą budowę z ulubionym małym pieskiem; gdy zaś pisklęta opuściły skorupne więzienie, uznali rodzice niebezpieczeństwo najpierw w piesku, a później i w człowieku. Przy zbliżeniu się pieska, obiedwie jaskółki nacierały na niego, piszcząc przeraźliwie, dotykając skrzydełkami w szybkim locie i tak go alarmowały, że skomląc, opuszczał swego pana i uciekał do domu. Ta walka nie do uwierzenia, powtarzała się kilkakrotnie, zakończona zupełnym pobiciem pieska, niechącego już wcale chodzić za swym panem, pomimo swjej wierności i przywiązania. Właściciel niemogąc namówić nieodłącznego towarzysza do téj wycieczki, zmuszony został w samotności odbywać swą codzienną kontrolę i z niemałym zadziwieniem spostrzegł natarczywość troskliwych rodziców, skierowaną ku niemu. Latały, piszcząc koło jego głowy, trzepotały skrzydełkami, dając mu do zrozumienia, że w Austrii to posiadanie jest własnością i że on do téj budowli niema prawa i przystępu. Nareszcie ta uzurpacya zniecierpliwiła dziedzica i tenże kazał zrzucić gniazdo z pisklętami, nie pomnąc, że rodzice byli podziwienia godnymi i że drobne i lube ptaszyny nikomu nic złego wyrządzić nie zdołają, będąc jedynie wrogami dla much i komarów.

uznał za korzystne, tłumaczył, nie zadając sobie wcale pracy do badania ojczystych autorów poprzednich, ani też nie zwracając swęj uwagi ku wsiom i myśliwstwu krajowemu, aby poznać polskie nazwy; brał je, jak mówię, żywcem z obcych języków i dosłownie tłumaczył. On to wprowadził wiele nazw niepolских i naszymu ludowi nieznanym, a że jego w większej części przystępne dla ogółu dzieła, dziwnie się rozpowszechniły po kraju, ztąd powstała ta w nauce obczyzna, którą wytępićbym pragnął—i dla tęg przyczyny o X. Kluku się rozpisuję. Na poparcie, co wyżej powiedziałem, przytoczę tu z łacińskiego dosłownie przełożone nazwy. O niektórych z tychże nikt dawniej nie słyszał, mimo, że te ptaki znanemi i nazwanemi w kraju były: *Biarmicus* — Błotniczka, *Caudatus* — Ogoniczek, *Peregrinus* — Cudzoziemka, *Riparia* — Brzegówka, *Tricolora* — Trzyfarbiczek! i t. d. Jedne nazwy brał z łacińskiego, drugie z niemieckiego i tak pomału zacierały się w pamięci czysto polskie nazwy ptaków; o ile więc który z badaczy odkryje używane nazwy i przekona się, iż rzeczywiście od dawna są w pamięci ludu wiejskiego przechowane, winien te nazwy do nomenklatury polskiej podać a wyprzeć z obcych języków przepolszczone. *Ufer Schwalbe*, Brzegówka, *Hirondelle de rivage*, *Hirundo riparia*, wszyscy autorowie wywodzą tę nazwę od brzegu, a że brzegi dają przypuszczenie koryta, pobyt jęj umieszczają przy wodzie, bo brzeg zawsze myśl wody daje. Wprawdzie stara się nasza jaskółka o wysokie brzegi gliniaste, lub piaszczysto-gliniaste, stara się również, aby zamieszkać w bliskości wody; lecz brzeg,

VIII.

O Jaskółce Grzebiolce

(Brzegówce).

Pewnie mi czytelnicy przebaczą zmianę nazwy trzeciego gatunku jaskółki. Świat naukowy winien ją przyjąć, a może mi przykłaśnie za wskrzeszenie nazwy zapomnianej, a w całej Polsce dawniej używanej i dziś jeszcze wieśniacy nazywają ją Grzebiolką lub Grzebieluchą i gdzieś Grzechołką. Ta ostatnia nazwa, sprowadziła niemało bałamuctwa w nomenklaturze, gdyż jedni stósowali ją do jerzyka, inni do kukulki i t. d. Nikt dziś nie może z pewnością oznaczyć, do którego ptaka należała dawna nazwa Grzechołki, a zatem dla uniknienia nieporozumień, nie powinna być używana.

X. Krzysztof Kluk nazwał niemal wszystkie nasze ptaki po polsku, lecz, że to był książkowy badacz i przyrody nie badał, a mając otwarte skarby po bibliotekach, czerpał w zagranicznych dziełach swe wiadomości i co

jaśniej mówiąc, ściana ziemi jest dla niej kwestyą egzystencyjną, — bez téjże ściany gatunek wyginałby. Szukają zatem ptaszyny w podgórzach urwiska gór z miękkim pokładem ziemi, opanowują ściany głębokich parowów, ściany gliniane sztucznie powstałe przy cegielniach, a nawet szerokie wąwozy dróg publicznych i tam grzebią jamki, w których znoszą jajka i wywodzą potomstwo, często w bardzo wielkiem oddaleniu od rzek, stawów i jezior. Kto zna szybkość lotu jaskółek, ich podziwiania godną ruchliwość i nieustającą czynność, pewnie dziwić się nie będzie, że o milę czasem od brzegów wody, ściany zamieszkują. Grzebiolka, już jako nazwa dawna i dotąd używana, już dlatego, że tak doskonale oznacza życie téj jaskółki, jój całoroczny pobyt u nas przepędzony na grzebaniu dziur w ścianach, które podobne są w otworze do dziur raków w brzegach. W jednej takićj ścianie, jest czasem kilkaset takich dziurek, gdyż równie innym pokrewnionym gatunkom, żyje zawsze w licznie towarzystwie, które się młodszemi coraz więcej mnoży, dopóki miejsca wystarcza w ścianie do grzebania dziur; jak tego zabraknie, część młodzieży na wygnańców skazana, broni się czas niejaki przy oczystćj ścianie, nareszcie zebrawszy się w stadko złożone z kilkunastu par, leci szukać miejsca wygodnego do lęgowego umieszczenia.

Z trzech nam znanych gatunków, Grzebiolka najmniejsza, najdelikatniejsza i najpóźniej w porze lęgowćj do nas przybywająca; ogółowi mało znana ta szara ruchliwa ptaszyna: jak ćma mignie przed okiem i już znikła z widnokręgu; tu znowu nad brzegiem lub

ścianą stromą, widzimy wirujące i uganijące Grzebiolki, lub téż nad wodą odbywające wyścigi to z pustoty i wesołości, to za żerem, wysilające lot do uchwycenia owadu jedna przed drugą; gdy tak widz ściga te cienie migające okiem i w oczach mu się mgli, nie mogąc uchwycić każdego ruchu téj ptaszyny zawsze zręcznego, zawsze niepojęcie szybkiego i rozkosznie zachwycającego: w jednećj chwili, jak czarodziejską różdżką wymiecione, z przed oczów jego znikają i chwil kilka żadna się nie pokaże; zaiste zadziwić się musi i zapytać: czy rzeczywiście widział te ptaszki, czyli téż wyobraźnia wywołała mu przed oczy duszy te ruchliwe cienie; nawet badacz z wiedzą, iż do kryjówek się chowają, czy to dla odpoczynku, czy niosąc piskłétom pożywienie, czy z trwogi przed niebezpieczeństwem, doścignąć nie może tego szybkiego znikania — i sam nieraz siedząc pod ścianą, pojąć nie mogłem, jak taka znaczna ilość, w te ciasne otwory blisko jedne drugich będące, tak szybko wciśnąć się może. Na poparcie mego zdania, iż Grzebiolki częstokroć w znacznie oddaleniu od wody kolonie gnieźdzące zakładają, opowiem, że w X. Poznańskim, w powiecie Babimostskim, była gliniana ściana do 20 łokci wysoka, z którćj brano co roku wielką ilość gliny na cegłę, a wody znacznećj jak to stawów, jezior i rzek na milę w okręgu nie było, i tę ścianę od lat wielu umiłowali tak, że mimo co roku powiększającćj się pracy przy gnieźdzeniu przez to, iż dla lepszećj gliny majster zbierał zawsze powierzchnię, już przez zimowe wpływy polepszoną, one niewdzięcznećj siedziby przez kilka lat mego badania nie opuszczały. Ta kolonia wiele

mi postrzeżeń dozwoliła zrobić i gdyby inni, podobnie jak ja, byli w położeniu podziwiania téj ustawicznej pracy i nam ludziom prawie nieznanéj wytrwałości, pewnie byliby z tego widoku skorzystali.

Aby dostatecznie podziwić i zrozumieć cały ogrom téj pracy, poznać trzeba drobne rozmiary, téj na oko małej i słabéj ptaszyny. Cała jéj długość, rzadko kiedy przenosi pięć cali, szerokość do 12', dzióbek pięć linii długi, skok równie pięć linii wysoki, ksiuk czyli tylny palec najkrótszy, a wszystkie palce delikatne, równie jak pazurki. Z temi to wątlami siłami i słabemi narzędziami, grzebie przez lat kilka nory co roku zgłębiane, które kilka stóp głębokości mają; wchód wąski, że ledwie ptaszyna wcisnąć się może, ma kilkanaście cali długości, jak gdyby tą odległością od powietrza zewnętrznego, chciały się zabezpieczyć od zimna i nieproszonych a niebezpiecznych gości, dopiéro tam jak lisy, borsuki i bobaki wygrzebują sobie kociołki okrągłe do wygodnego gniazda. Pomoc wzajemna i solidarność wspólnej pracy, jest i tu rozczulająca. I tak tym, które napotkały na twardszy pokład, inne pomagają; lub téż gdy się zdarzy w kurytarzu do kopania kamyczek zawadzający, zaprzęgają się do niego jak najęci murzyni, po długich usiłowaniach, czasem cały dzień trwających, z tryumfem eksportują twardą zawadę; jest to rozkoszna chwila, oczywista nagroda pracy, gdy już bryłka ta na brzegu leży, zrzucając bryłkę nogami i towarzyszą jéj trzepocząc skrzydełkami i szczebiocząc wesóło ku ziemi; robotniczki koło noru opuszczonego powirują nieco, świergocąc pozdrawiają się i każda do

swéj roboty leci, bo niema u nich ani chwili wypoczynku.

Przylatują do nas nieco później, jak poprzednie gatunki, wszakże kuryery awangardy spostrzegamy w końcu Kwietnia lub na początku Maja, kiedy jeszcze nader przykre powietrze panuje, a że te ruchliwe i malutkie ptaszęta, tak szybko przez świat świdrują i co chwila w nory swe się chronią, trudno bardzo powiedzieć, czy te awangardy u nas zostają, czy do głównego korpusu z raportem spieszą, a czy na ich miejsce inne przybywają. Nieraz nad rzeczkami wschodniej Galicyi, któremi jest tak obficie poprzeryznaną, w czasie ciągu słońek spostrzegałem te jaskółki po 5 do 7, a zatem w połowie Kwietnia, umyślnie drugiego i trzeciego dnia czatowałem w tych samych miejscach i albo żadnej nie zobaczyłem, albo téż większe lub mniejsze stadko od poprzedzającego latało, które mi jasno dowiodło, że to inne Grzebiołki nadleciały. Te zjawiające się na wiosnę ptaki, są zajmujące w skrytém ich posłannictwie: jak one spieszą, jak ich droga wytknięta, jakie jasne rozkazy dostarczać muszą i jak je szybko i sumiennie wypełniają. Tu już słońce przygrzewa, owady z letargu zimowego się budzą, muszki hurmami nad wodą się kręcą, przecie to ponętném być musi dla Grzebiołki, a one li tu i owdzie jedną muszkę porwą dla zaspokojenia głodu i nabrania sił, a dalej i dalej spieszą rozhułkanym lotem. Gdy mi mignie ten cień i znowu zniknie, a wiosna rozbudziła w duszy uspioną poezję zimnem smutnej naszej zimy, gdy odrodzony człowiek w swém rozczuleniu dla Stwórcy, *poetycznie dziecinnieje*, uśmie-

cha się do pierwszych, z pod śniegu główki wychylających dzwoneczków białych z tym żółtym pyłkiem, które je tak zdobią: podziwia i zerwać nie śmie, bo to próbka kwiecistej przyrody, chciwie patrzy na pączki i pełnym sercem życzy rozwinięcia, kiedy się raduje z widoku tych listków niskich krzewów, któreto pod włoskami obrosłe, aby się od przymrozków chronić i patrzy na szerokie liście dzikich fijołków i poziomek rozsiadających się po ziemi, dumnych, że matkę ziemię już przykrywają; kiedy każdy huczący owad nasze oko ku sobie zwraca i wzrok goni za szczęśliwie przezimowanym motylem, który to, jak cytrynka z skrzydełkami, unosi się nad ziemią i uporczywie szuka miodowych kwiatków, bo go promienie słońca obudziły i łudzi się sztuczną wiosną, biedaczek nie znajdzie jeszcze pożywienia, lecz zetknie się z samiczką i w głodowych uściskach popieszczą się chwilę pod słońcem, ona zniesie jaja i oboje zginą, a przyroda tym zniesieniem sama się opiekować będzie i w Maju wyda gąsienice, zamieni w Czerwcu w poczwarki, a w lipcu już wypuści tysiące tych po kwiatkach, tak miłe kołyszących się cytrynek, — kiedy głosy najpierw nam przybywających śpiewaków, uderzą nasz słuch i podziwiamy to melodyjne przypomnienie przeszłorocznych wyuczonych śpiewek i dumek, a gromady ziarnojadów jeszcze na pary niepodzielonych, obsiadą drzewa z liści obnażone i wspólny śpiew zanucą, śpiew złożony z setnych głosów współbiegających się — o! wtedy każdy ptak, każdy robaczek, każdy owad jest książką zajmującą do czytania, wtedy to przychodzą myśli zastanawiania się nad organizacją całej olbrzymiej

przyrody, nad tym życiem u każdego żyjątku innym, a taką ścisłą harmonią tworzącym; wtedy to ruch ptaka, zawsze z pewnym przeznaczeniem i celem wytkniętym, wodzi wzrok badacza za sobą magnetycznie i im więcej dążność ukrywa, tym więcej ciekawości wzbudza; te pojawiające się i znowu znikające awangardy wielu gatunków mych lubych ptasząt, to pojedynczo, to jak gdyby rodzinami, to znowu hurmą ukazujące się, od wielu bardzo lat uwagę moją na siebie zwracały; różnią się one wielce od nadciągających ptaków, które mało kto w przylocie spostrzedz może i li już rozgoszczone widzi, te awangardy nie zerują, nie szukają lęgowych miejsc, nie odpoczywają i wcale nie w jednym kierunku lecą, są zatem ciekawe do badania.

Mimo, że w Kwietniu tu i owdzie Grzebiołka się ukaze, główna armia w Maju dopiero nadciąga; przelatując nad rodzinnymi okolicami, zostawia tam należące oddziały, a dalej leci do dosyć wysokiej północy. Grzebiołki pojawiają się najpierw nad wodami i każda kolonia spieszy do swój ściany; starsze wyszukują dawne nory, wyczyszczają i wymiatają lub też powiększają, młodzież kłóci się o kryjówki niezamieszkałe, a wszystkim parkom niewystarczające; dni ośm trwa zamieszanie, kłótnie i walki, po tygodniu jedne się ulokowały, inne sobie grzebią nory, a niektóre bywają wygonione dla braku miejsca. Jest-to chwila zajmująca, gdy Grzebiołki z całym zapałem, jaki wzbudza tryb lęgowy, przystępują do pracy i z jaką podziwienia godną wytrwałością skutecznieją w proporcji wątlých sił te olbrzymie dzieła. Aby czytelnika obznajmić z tą górniczą ro-

botą, zaczęły od pierwszej przygotowawczej pracy. Obiecawszy do koła kilkanaście razy samiec z samiczką ścianę, przeznaczoną do wykucia dziury, siadają tu i owdzie, dzióbkiem i nożkami próbują ziemię i znów odlatują i kilka cali opodal siadają, odbywając dalsze próby, jak gdyby znały dokładnie naukę geologii i miernictwa; — o to bowiem chodzi, żeby natrafić na najmniejszy pokład, a grzebać tak prosto, aby się z norą tuż obok będącej towarzyszki nie spotkać, jej i sobie łoża nie popsuć, a trzeba wiedzieć, że w dogodnej, przez długie lato używanej ścianie nory tak blisko są norów, że gdy odświeżone są gniazda na wiosnę i wchody otwarte, to ściana wygląda jak sito i dziurka jest koło dziurki, każda zaś tak prosto kuta, że się w głębi nigdzie nie schodzą jedna z drugą, mimo że na końcu krążanku znajduje się obszerniejszy kociołek.

Nareszcie nasza parka wybrawszy miejsce, wymierzwszy dokładnie kierunek, przylepia się do ściany i ruchu żadnego spostrzedz nie można — i gdyby nie bryłeczki sypiące się ustawicznie ku dołu, niktby nie wiedział, że tamte dwa malutkie ptaszki rozpoczęły olbrzymie dzieło górnicze i niezmordowanie pracują godziny całe; po chwili dla odpoczynku jedna się zerwie, stanie z rozpostartymi skrzydłami, zaszcebiocze wesoło do swych towarzyszek i znowu rusza do pracy, druga sama dalej kuje i woła na współpracowniczkę; za pożywieniem jedna lub druga polecą, czasem obydwie się zerwą jak na umówiony znak i lecą lotem, któremu oko towarzyszyć nie może, uderzają natarczywie w koła wirujących muszek i zadają straszliwą klęskę owadom, lub

tęż w bliskości wody szyją nad zwierciadłem, łowią skrzydlate żyjątka w locie i na powierzchni ziemi, a nawet nurkują, upatrzwszy pożywienie w wodzie, a to z pośpiechem nie do opisania i z tym samym pośpiechem wracają do pracy, a tak wesołe i szcebioczące, że aż miło na takie robotniczki spojrzeć. Po kilku godzinach, już wklęsłość tak znaczna, że połowa ptaka się w tężę ukrywa i wtedy jedna już tylko pracować może, druga zaś odpoczywa, żeruje i znowu w pracy pierwszą zastępuje. Przed wieczorem znaczna dziurka, bo na kilka cali w głąb wykuta, słońce ma się ku zachodowi, towarzyszki starsze już w norach po całodzienną pracę odpoczywają, a młodsze, które dopiero mieszkanie wykuć sobie mają, niemal równie liczne jak tamte, latają przed ścianą szukając bezpiecznego schronienia, długo wabienie ich badacz słyszeć może, *szer szer* powtarzane szybko jak w niespokojności, aż nareszcie wszystko się uspokoi, znalazłszy stosowny nocleg. Mam to przekonanie, iż w czasie fabryki gościnność starszych i równienniczek, które znalazły gotowe nory, jest tak wielka, że do swych siedzib gotowych przyjmują gości na noc i znoszą niewygodne umieszczenie — i opieram to na doświadczeniu, że żadna parka na dworze nie nocuje, ani też dalej nie odlatuje i piszczy pewnie, dopóki ją inne nie zaproszą.

Gdy ranek zawita, gromadka wylatuje, szuka skromnego pożywienia, bo w tej porze dnia rzadko owadów na świecie i wszystko staje do pracy. Nasza parka już się w głąb schowała i oboje już razem w krążanku kopią, jedna dzióbkiem i drapie, a nóżkami w tył odrzuca

nakopaną ziemię, jak gdyby podawała drugiej, a ta znowu równie ogonem obrócona do otworu, nożętami tasczy bryłki, prochy i nareszcie nożkami wierzgając, wyrzuca niepotrzebny materiał; z początku budowy co chwila zoczyć można wystający ogonek cofającej się Grzebiołki, później coraz rzadziej, bo im głębiej, tém trudniej wynosić ziemię, a ku końcu ledwie co godzina uda się coś gliny wyrzucić; gdy dojdą robotniczki do wykucia kotła tej ostatecznej pracy, już się obrócić mogą, gonia się korytarzem, obracają w kociołku i znowu już dzióbkiem naprzód wylatują. Otóż ich dzieło ukończone, co głośnym szczebiotaniem świata głoszą. Wziąwszy w rękę tę ptaszynę, pojąć nie można, że tym małym i słabym dzióbkiem, temi krótkimi nożkami, ozdobionymi delikatnymi pazurkami, mogą wykuć w glinie lub piasku krużganek na kilkanaście cali i kociołek mający obszerności do 6 i 8 cali i to w kilka dni. Cóż dopiero powiedzieć o starszych mieszkaniach, które, jak to wiarogodni autorowie twierdzą, mają mieć do sześciu stóp głębokości; ja tego potwierdzić nie mogę z własnego doświadczenia, lecz skłonny jestem do uwierzenia, gdyż parka przez lat kilka tensam nor zamieszkująca i co roku powiększająca go, może mieć kilka kotłów i długość 5 do 6 stóp. Dowodzi to, że jedność i wytrwałość w pracy przy szczerzej chęci, mimo słabych narzędzi dokonać może prac podziwienia godnych.

Już więc fabryka skończona i można znosić jajka? Gdzież tam, pani domu protestuje: ona elegantka i chociaż młoda i niedoświadczona żonka chce pokazać, że się rozumie na urządzaniu domu, więc mimo nalegań

małżonka, któryby już chętnie odpoczął i jest z mieszkania zupełnie zadowolonym, ona przez dni parę gładzi ściany, wchodzi i wychodzi, za sobą prowadząc samca, aby otwór i kurytarz były proporcjonalnie okrągłymi i wymiecionymi; — w tej skrzętniej pracy prochu w pierze niemało się nasypie, więc idą do otworu, potrzepią skrzydłami, ruszą całym pierzem, pobujają chwilkę i znowu lecą gładzić ściany, aby się przed sąsiadkami nie powstydzic. Już wszystko gotowe, kociołek w kształcie pieca na chleb, na górze sklepiony, na dole okrągławy, tam noszą suche trawki i korzonki, nieco włosia, a niekiedy wełny kawałki: z tych to materiałów składa się gniazdo nieforemnie ułożone, w które w pierwszej połowie Czerwca znoszą 5 do 6 białych jaj, z połyskiem, nader przezroczystą skorupą, przez którą żółtko widzieć można, które samiczka sama wysiaduje, a samczyk jej pożywienia donosi; lecz jak zimne stoty nastają, wtedy i ona za żerem wylatuje kilka razy na dzień nie spuszczać się na samca, który ledwie siebie wyżywić zdoła, a spokojna o ciepłik dostateczny dla jaj w głębi ziemi ukrytych i na miękkiej poduszce zostawionych. Po dwóch tygodniach wykluwają się pisklęta i cała kolonia na nowo ożywiona, od rana do nocy ugania za owadami i donosi dzieciom, które po dwóch tygodniach pierzem okryte, ku otworom gniazd się pchają, żarłocznością parte nie słuchają rodziców, którzy im w kotle siedzieć nakazali; miły to widok w Lipcu tych wyzierających główek z norów i ożywiających smutne ściany, sprawiające nam zawsze wrażenie opustoszenia i gniewu Bożego, który ziemię tu i owdzie porozdzie-

rał i na pamiątkę nam te rozpadliny pozostawił. Niebawem starsze wylatują, piskłeta za tym przykładem — i w kilku dniach z kilkudziesięciu jaskółek, namnożyło się ich tyle, że kilkaset wiruje przed ścianą dzień cały, a na noc spoczywa w kociołkach.

W czasie siedzenia na jajach samiczek, nie jeden koło kolonii przejdzie i nie spostrzeże gnieźdzących się Grzebiołek: samczyki cicho wlatują i wylatują, samiczki najczęściej wcale się nie pokazują, a tak twardo siedzą, że często hałas nawet ich wypłoszyć nie zdoła; gdy człowiek na wierzchu ściany stanie i mocno nogą uderza w ziemię, wtedy spłoszone wylatują, toczą koła pełne zadziwienia, a oswoiwszy się z stojącym napastnikiem, pomału jedna za drugą ślada przy otworze i jak mysz do środka wchodzi. Kurytarz jest tak wąski, że ręka ludzka, nawet chłopca się nie pomieści, a znowu tak długi, że palcami kociołka dostać nie można; aby zobaczyć architekturę budowaną przez Grzebiołki, trzeba rozkopać powierzchnię, a przekonać się o głębokości łatwo, bo dziura zawsze prosta i kijem koniec dotknąć można i wyciągnąć gniazdo, zakręciwszy rozłupany patyk. Zdarza się, iż parka wykuje na kilkanaście cali kurytarz, porzuci i znowu w innym miejscu kuje, co po dwakroć razy powtarza; zdaje mi się, że powodem tej podwojonej i potrojonej pracy bywa twardy pokład lub kamyczki za ciężkie do wyprowadzenia i biedne robotniczki, którym już tak straszliwie pilno razem siedzieć w ciepłym kociołku, czasem tydzień cały ukończenie pracy spóźnić muszą. Bywa też, iż w cieplej porze i przy trwałej pogodzie, gdy samiec siebie i żonkę z ła-

twością wyżywi, a nie jest zagorzałym domatorem, czy z nudów, czy z przywyknienia do pracy, czy w troskliwej myśli dla wygodnego umieszczenia na rok przyszlę swych dzieci, kuje sobie pomału kurytarz osobny i dochodzi przez peryod siedzenia na jajach samiczki do kociołka, nie zapominając bynajmniej o obowiązkach. Nie czyni to dla siebie, gdyż tam nigdy nie nocuje i nawet gdy są już lotne dzieci, wszystko mieści się razem w wygodnej dziurze: jest-to więc poświęcenie lub też nawyknięcie podobne do tego, które nam codziennie biurokraci pensyonowani pokazują, idąc z całym przyborem do bióra i bez rozdrażnienia i zawstyżenia, przy drzwiach przypomniawszy sobie zmianę położenia, wracają do domu bez poprawy, drugiego dnia bowiem o tej samej godzinie, tym samym krokiem wymierzonym, *spieszą to niby* do dawnego bióra. Patrząc na tę akuratność podziwienia godną, myślałby kto, że spieszą do pracy i porównałby ich do grzebiołek pracowitości: straszliwieby moje ptaszyny skrzywdził na reputacyi, bo grzebiołka każda sumiennie pracowita i żadnego roku się nie opuszcza, nie potrzebuje reorganizacyi, będąc od stworzenia świata tak mądrze uorganizowaną, że jej całe życie podziwiać należy, czego o wszystkich urzędnikach zaiste powiedzieć nie można.

I tu bywają nieszczęścia, niespodziane ciosy, często nader przykre przeprawy w życiu, często brzeg się urwie i zawali otwory, ceglarnik zbierze łokieć gliny ze ściany i skryte rodzin życie pokaże, innym znowu woda gniazda zatopi, często i starych jak w porcie obłożonym trzyma, przykre zimno na głód wystawi rodziców

i dzieci: różne, przeróżne, utrapienia mają te ptaszyny, a pomimo tych nieszczęść, pomimo że raz do roku tylko wywodzą pisklęta, mnożą się liczniej jak inne gatunki, co każda kolonia jasno dowodzi; zdawałoby się, że w przyrodzie nie mają prześladowców i nieprzyjaciół. Dodać tu muszę do różnych przykrości, jakie grzebiółki nawiedzają: ilość nieskończoną wszy, które trapią doskonale ptaki i pisklęta, a te ostatnie często ofiarą ich zjadliwości się stają; w tych norach czasem tyle jest tego robactwa, że się całe gniazdo rusza; oprócz tych, co inne gatunki nawiedzają, mają właściwą sobie wesz i od nich nazwaną *Hippobosca hirundinis*, która im niemiłosiernie dokucza, a że w pracy ustawicznej i to *quasi* w kopalniach niema czasu myśleć o polowaniu na te goście, więc cierpieć muszą do czasu, w którym z pisklętami na wolność wylecą i odpoczywając na trzcinie, pierze do prawdziwej czystości doprowadzą.

W tym gatunku, jak i w poprzednich, trafiają się wdowcy, kawalerowie, którym się tego roku nie udało zdobyć samiczki; trafiają się, chociaż rzadko i tacy, których przeszłoroczna samiczka złączyła się z innym: ci bezzenni z całą energią bronią zdobytych nor, wyczyszczają i porządkują, czekając na samiczkę; ci znowu, którym się nie dostało wygodne pomieszkanko, sami z rzadką wytrwałością wykuwają sobie przez ich pobyt u nas wygodne mieszkanie, w którym przesiadują i nocują pewnie w myśli, że roku przyszłego, da Bóg do czekać, wprowadzą tam młodą grzebiółkę.

Twierdzą niektórzy autorowie zagraniczni, że grzebiółka ściele gniazdo często na skałach, w rozpadlinach

starych murów, w dziupłach drzew, że zamieszkują niekiedy blisko wody stojące domy i że nawet gnieźdzą się w opuszczonych gniazdach poprzednich gatunków. W moim zawodzie ornitologicznym, przez lat ośmnaście doświadczenie nauczyło mnie, że grzebiółki przeznaczeniem jest praca górnika i ta praca stała się dla tej ptaszyny koniecznością, co dowodzą jałowe ptaki, które bez gnieźdzenia grzebią przez cały czas lęgowy. Jeżeli przypadkowo zniesie jaja w inne miejsca, to wyjątkowo: przymuszoną jest do tego, będąc oszukaną albo twardym pokładem ziemi, lub też natarczywością samca zniewolona z czasem się przerachować. Zdaje mi się zatem, że powyższe twierdzenie zagranicznych autorów, jest powtarzaniem jednych za drugimi gabinetowych uczonych, bez naocznego przekonania się o rzeczywistości, że w innych krajach drugi podobny gatunek jaskółki skalnej (*Hirundo rupestris*) mieszano z grzebiółką i tak bałamuctwo powstało w opisach gnieźdzenia; nareszcie przypuszczam, iż to niekiedy zdarza się, lecz to uważam za wyjątkowy przypadek przeciwny naturze tego ptaka, o którym można powiedzieć, jak o gospodarzach: *pracuj życie całe, grzebiąc w matce ziemi*. Zważywszy dwie dalekie podróże, które corocznie ta ptaszyna odbyć musi, wykopać głębokie nory, wychować pisklęta: zaiste można ją stawiać za przykład ludziom.

uważane jest za znak bliskiej słoty. Opisy tej ptaszyny, pozostającej przez zimę dosyć licznie na wyspach Malty i San Domingo, są zajmujące, szczególnie przez cechę prawdy jaką noszą. W jesieni przylatują główne korpusy, część zostaje, jak się zdaje starszych i wytrwalszych, inne lecą dalej ku południowi; przez całą zimę widzieć je można jak tylko ciepło przy ruchu owady utrzymuje, gdy zimno głód zapowiada, kryją się w swe nory, które i tam sobie wygrzebują, i w letargu spoczywają, dopóki cieplejsza atmosfera znowu ich do obudzenia nie zmusi. Ten letarg uważany na kilku wyspach, jest ważnym nader spostrzeżeniem, może być podstawą do zgłębienia podań o zimowaniu jaskółek pod wodą; przebywanie kilkotygodniowe w norach bez wychylenia główki, nie może być inaczej jak przez letarg wytłumaczone, gdyż każdy praktyczny ornitolog odepchnie twierdzenie Buffona, który pisze: »że w zimnej porze chowają się grzebiołki do norów na kilka tygodni, muszą tam mieć dostateczną ilość owadów na pożywienie«. Najpierw, jak się w tych norach mają pojawić owady; następnie zkąd ta obfitość, aby wyżywiła gorące żołądki tych ptaków ustawicznie zgłodniałych, a nareszcie jakże możemy przypuścić, aby chowając się do norów kilka i kilkanaście razy przez zimę, zawsze tam znajdowały dostateczne pożywienie. Jeden z pierwszych ornitologów, uczony badacz Belon, w swém dziele ciekawe nam podaje szczegóły o życiu grzebiołki, która wszędzie grzebie i jak się zdaje grzebać musi, gdzie żyć przeznaczoną jest — a że na koszt rządu francuskiego podróżował po wielu krajach z wielką korzyścią dla nauki, wszędzie ją

IX.

W zwyczajach i sposobie życia podobna do jaskółek domowych; równie zwinna i towarzyska jak one, żyje gromadnie, lecz li między swojemi i niełatwo się brata z innemi. Zdarza się przecież, że w czasie odlotu pomiesza się z oknówką: czy na chwilę, czy się wiąże obietnicą na całą podróż, tego oznaczyć nie mogę. Szczególne ma upodobanie latać w czasie deszczu, czy woda wypłasza trapiące ją owady, które z pierza z łatwością strzepane bywają; czy świeże powietrze ożywia nasze górniczki, skazane tyle dni przesiedzieć w duszném powietrzu pod ziemią, nie wiem: lecz tak u nas, jak i w innych krajach, nawet zaoceañskich, gdy deszcz niezbyt zimny, ptaszyny te przez godziny całe używają tej mokrej powietrznej kąpieli i w tym zwyczaju podobne są do mew i jaskółek morskich (*Larus et Sterna*). Od czasu Arystotelesa do Gmelina, Herberta i wielu uczonych podróżujących, to zbliżenie do mewów jest znaném — i tak w Grecyi, Malcie, na wyspie San Domingo, zjawienie się liczne wesoło wirujących grzebiołek

widział zimującą i gnieźdzącą się w ścianach, wszędzie jej nory spostrzegaliśmy, co dostatecznie potwierdza moje zdanie umieszczone w poprzednim zapisku. Między innymi ciekawość obudzającymi, szczegółami opisuje w Romanii ścianę, w której razem z kolonią grzebiołek gnieździło się kilka par Zimorodków europejskich (*Acedo ispida*) i kilkanaście żołą pszczołojadów (*Merops apia-ster*); można sobie ten obraz piękny łatwo wystawić, porównyując jaskrawymi kolorami ubarwione dwa gatunki ostatnich, przy smutnym szarém upierzeniu grzebiołek, gdy te wszystkie trzy gatunki w locie razem się mięszają pod promieniami słońca.

Grzebiołka zamieszkuje całą Europę i mimo delikatności w swęj budowie, leci wysoko na północ i w Syberyi ją spotykał Pallas licznie gnieźdzącą się w norach, w Norwegii i Szwecyi wywodzi pisklęta, nawet w polarnych strefach spostrzegano grzebiołkę. Te podróże jedynie nadzwyczajną szybkością lotu i pracowitością nie do opisania przy grzebaniu norów wytłumaczyć można; gdyż zważywszy, że później wszędzie przylatuje i wcześniej odlatuje jak inne gatunki jaskółek, bo jest nader czułą na zimno i krótki głód ją zabija, że tyle czasu corocznie na kopaniu strawić musi, gdyby nie była tak lotną i tak pracowitą, nigdyby w wysoką północ zalecieć nie mogła, ani też rodzinę wychować i z nią ku południowi na termin naznaczony odlecieć.

Ktoby z czytelników moje opisy chciał sprawdzić, może to z łatwością uczynić. Grzebiołki wszędzie w Polsce znajdzie: i tak ściany strome, gliniaste i piaszczyste wszelkiego położenia, brzegi wysokie jezior i stawów,

brzegi rzek a nawet strumieni; wszędzie ślad podziurawienia spostrzedz można; w potrzebie kopią nory w szerokich rowach i kanałach w brzegach stawów i małych rzek tak blisko wody, że otwór ledwie o kilka cali jest wyżej, jak zwierciadło wody. Te to gniazda często są wodą przybywającą blokowane i często zalewane; widziałem już nawet takie miejscowości, że grzebiołka wylatująca lub wlatująca do swęj siedziby, musiała brzuszek w wodzie umaczać. Roku 1841, ta tak trafnie nazwana powódź w całej Polsce: *świętojanka*, i w mojej wsi ku końcu Czerwca szkody narobiła; mieszkiałem wtedy w Brzeżańskim nad rzeczką, którą wprawdzie książki geograficzne najczęściej nie umieszczają, a która ma przecie płynącą wodę i tą wodą niepospolite psoty mieszkańcom płata. Rzeczką ta nazwana Koropiec od miejsca, w którym do Dniestru wpada. Miałem u siebie kilka kolonij grzebiołek co roku, szczęśliwie się wywodziły, więc też i w liczbę rosły; nie było już miejsc w ścianach stromych i w wysokich brzegach, więc się mieściły jak mogły nad stawem i rzeczką, nawet i w groblach stawów grzebały swe nory. Jedną z tych kolonij dała mi znowu jasny dowód, że u ptaków doświadczenie nie zawsze w pole idzie: że jak u ludzi, tak u nich jedne mają pamięć, drugie wszystko zapominają, jedne mają rozum, czucie i pojęcie, w innych zupełny brak inteligencji spostrzegamy. Nad stawem w ścianie gliniastej gnieździło się do trzydziestu par, a że ściana była wąską, więc młodsze pokolenie przedziurawiło ją wszędzie i dziury były nad samą wodą. Deszcze kilkanaście dni trwające, spowodowały nagłą powódź wśród

białego dnia — i że w większej części gniazd już były wykłute pisklęta, mało która samiczka zatopioną została, lecz niestety cała przyszła młodzież grzebiołek! Straszny to był widok téj srogo nawiedzonej: kolonii latały ustawicznie przed ścianą rozpaczliwie piszcząc, każda parka stawała, trzepocząc skrzydełkami przed otworem swego gniazda, jak gdyby wołała: moje biedne, biedne dzieci! i znowu szyła w powietrze ku pędowi wiatru uprosić, aby wody nie gonił; to znowu szyły ku niebu przeblagać gniew Boży, — wracały po chwili ku gniazdom, topiły wzrok w głębi nor zalanych i nareszcie siadały na wierzchu brzegu, bo już rozpacz siły nadwątlila, lecz to na chwilę tylko, — niespokojność spocząć nie da i znowu latają, stają i piszczą żałośnie, to ruszą jak w rozpacz w głąb dżdżystego powietrza, zdawałoby się, że już nie powrócą, a tu po krótkiej chwili już znowu lamentują przed ścianą, srogo nawiedzone ptaszyny! I tak dzień ten straszny na ustawicznym ruchu zeszedł, nad wieczorem jedne u towarzyszek wysoko wygrzebanych jam gościnne schronienie znalazły, inne na brzegu rzędem ustawione noc przedrzęmac musiały.

Dzień zajaśniał, Bóg swe dobroczynne światło ukazał, deszcz już w nocy ustał i woda pomału ustępować zaczynała. Co która jamka się ukazała, właściciele zacierają do niej, siadają na mokrym brzegu i po chwili lecą żalić się towarzyszkom, że do domu niema po co wracać; nareszcie wszystkie otwory się pokazały, woda się wysączyła i kopalnie powysychały. Do niektórych wlażyły odważne i wytrwałe grzebiołki i wyczyszczały

jak mogły mieszkania, nie widziałem przecie żadnej parki, któraby utopione pisklęta wyrzucała, — inne strończyły od swych norów przez całe lato do czasu ich wędrówki, jak gdyby im żal nie dozwolił wypełnić bolesnego obowiązku ujrzenia poopionych dziattek. Roku 1842 znowu opanowały tęsamą ścianę, mędrsze posiadły wyższe otwory, lub wyżej grzebały, pomne na zeszłoroczną klęskę, lub téż wywędrowały, gdyż mniejszą później liczbę ich widywałem; głupsze wlażyły w nory s & E a wodą, lub nisko sobie nowe grzebały; tak to doświadczenie jednych uczy i umieją w życiu później z niego korzystać, innych nic nigdy nie nauczy: tak i u ludzi bywa, ledwie z jednego nieszczęścia się otręśli, już brną w drugie mimo, że mają sposoby ochronienia się.

Śpiew ich mniej przyjemny, jak dymówki i oknówki, chrapliwe bowiem tony ustawicznie się powtarzają; ich ulubione szer szer i szer szer psują harmonię, jest on głośnie dumaniem, z przerywanemi nutami i jak gdyby wiedziały, że się nie mają z czém popisywać, mniej i krócej śpiewają jak inne jaskółki; głos w trwodze lub wołaniu mają silny i donośny. Nic pociesniejszego, jak ich przygotowania do wędrówki. Jak już młode dokładnie do lotu wprawione i cała kolonia wychowała dziatwę, bo pierwój żadna parka ściany nie opuści, taki węzeł solidarności razem ich trzyma, lecz wszystkie gromadnie odlatują jednego dnia w samym końcu Lipca lub początku Sierpnia. Jest-to dla nich dzień ważny i świąteczny. Pożerowawszy rano *in gremio* uganiają przed ojczystą ścianą, każda ptaszyna zapiszczy

i zaszcebiocze, co tworzy hałaśliwy gwar; w niektóre nory wlatują i wylatują, powtarzając przez godziny całe to pożegnanie, nareszcie coraz w gęstsze hurmy się gromadzą, wirują przed otworami jak komary, to w górę to w dół lecą wszystkie, aż nareszcie jedna lub dwie się odbije w innym kierunku, za temi lecą pewnie dzieci, dalej inne — i jak stojące wojsko, co się kompaniami rozwija i dalej maszeruje, tak one pomału za pierwszemi oddziałami snują się i niebawem ariergarda znika, — otóż to było ostatecznym pożegnaniem wdzięcznych i tkliwych ptasząt. Niech nikt nie myśli, że to one już na wędrówkę lecą; bynajmniej, grzebiołki lecą na upatrzone już pierwój stawy i jeziora zarosłe trzciną, tam nad wodą dzień cały bujają, a w nocy zasiadają gromadnie na trzcinie. Jeżeli przy gnieźdzeniu jest grzebiołka zajmująca, to pewnie równie zwróci uwagę na siebie w tych musztrach przygotowawczych przed daleką podróżą. W tój porze roku najwięcej owadów drobnych trzyma się przy wodzie i nad wodą i na samém jój zwierciedle pływa ich niepospolita ilość, to jest powiedziałbym *wypas* grzebiołek, wypas ten dla wycieńczonych rodziców, wypas dla skąpo karmionych młodych, jest im koniecznie potrzebnym przed rozpoczęciem długiej i męczącej podróży w ciepłe kraje.

Może nawet myśliwi na łódce, polujący na kaczki, nie uważali tych harców zręcznych, tych powietrznych kąpieli, tych łowów na owady i zatopieni w zabawie, oczów nie zwracali na te wszystkie zachwycające ruchy, z których każdy jest prowadzony myślą i dążący prosto do celu; a cóż dopiero o ogóle mieszkańców po-

wiedzieć, którzy w większej części nie rozróżniają ptaków gatunki i ich zwyczaje.

Gdy kolonia ku wodom emigruje, ptaki trzymają się razem, a mimo to badacz rozezna w tój kłębującej hurmie rodziny pojedyncze: — rodzice przodkują, — dzieci wszystkie ruchy naśladują i w tój gromadzie odznaczają się oddziały z 7 do 8 ptaków złożone; — przez dzień cały mieszkańcy kolonii dzielą się na mniejsze kompanie, a często rodziny zupełnie odosobnione, bywają i pojedyncze ptaki, które jak kuryery od stadka do stadka lecą, jak gdyby dawały i odbierały rozkazy; a w tym pędzie błyskawicy trwającym cały dzień, nie zapominają o pożywieniu i co na drodze, w pośpiechu porywają; wszystkie te oddziały, jak gdyby miały już jasne dyspozycje w pewnych obwodach dzień cały uganają, niekiedy się złączą i znowu rozleczą, a na godzinę naznaczoną pełne subordynacyi stawiają się akuratnie, gdy jeszcze dzień jasny, a to z powodu trudności, na jakie napotyka z kilkuset złożona armia przy umieszczeniu się, bo wszystkie razem posiadawszy na trzcinie muszą przed nocą zaświergotać wieczorną modlitwę. Mało jest rozkosniejszych widoków, jak rodziny grzebiołek w pierwszych dniach przybycia ich nad wody: dwoje starych leci naprzód, dzieci za niemi, napotkawszy koło wirujące owadów, najpierw rodzice uderzają, a za ich przykładem młode, a że się przestraszone muszki rozbijają lub też w zbitój hurmie ku górze lub dołowi lecą, wymaga łowienie niepospolitej zręczności, a do nabycia jój instynkt ptaków nie wystarcza i rodzice uczą każdego ruchu. W inném miejscu

rodzina płynie spokojnie nad zwierciadłem z wzrokiem utopionym w wodzie z regularnością maszyny, wtém jedno z rodziców staje w powietrzu, wszystkie się zatrzymują, a wskazawszy pływające żyjątko, rzuca się jedno, dwoje — czasem i wszystkie dzieci, trącają się i w wodę dzióbkami sięgają; chciwość rzadko do zaspokojenia życzeń prowadzi i to się nieraz grzebiołkom wydarza, przez ich natarczywość dają czas robaczkowi do ucieczki, wtedy uszykowawszy się w dawnym porządku, trzepoczą chwilę nad wodą, żałośnie zaświergotają, *bo delikatne natury lada przykrość zamarkoci*, i dalej ciągną. Gdy znowu kilka lub kilkanaście pająków, muszek lub komarów pływa po wodzie, wtedy jak motyle nad kwiatów kielichami kołyszą się i chustają, brzuski przy łowieniu maczają i w powietrzu wodę otrząsają, ruchem pompy, cała rodzina podnosi się i zniża do chwili, w której już nic na wodzie do łowienia nie pozostaje, więc dalej rusza, nie czując nigdy potrzeby odpoczynku. Między dwuskrzydlatemi owadami są gatunki z tak szybkim lotem, że je okiem ścigać nie można, te muszki służą za cel i stają się nagrodą dla grzebiołek. Gdy która upatrzy brzęczący owad, zawoła na drugie i wszystkie na niego uderzają, albo go schwycą: nim uciekać zacznie, albo też rozpoczną się najzabawniejsze w świecie gonitwy. Mucha szyje prostą linią naprzód, to w bok uderzy, to w tył się rzuci, lub też ku obłokom tryśnie, grzebiołki goniąc te same ruchy powtarzają, lecz, że ich jest kilka, plątają się skrzydełkami i uderzają jedna o drugą, zręczna mucha ginie im z oczów; stają w powietrzu, jak żołnierze na

komendę chwilkę, jedna z grzebiołek znowu muszkę upatrzyła, zawoła na rodzeństwo i pogoń nowa się zaczyna, dopóki zmęczony owad nie padnie na wodę lub jaskółka go nie uchwyci. Która ptaszyna była najręczniejszą i najzwinniejszą i uchwyciła to lotne jój pożywienie, ucieka z zdobyczą a inne w swawoli gonią towarzyszkę; są to prawdziwe igraszki, bo z paszczki jaskółki już nic wyrwać nie można, latają tak w różnych kierunkach, dopóki się nowy jaki owad nie pokaże. Przed zachodem słońca cała kolonia na miejscu umówioném się zjawia, później druga i trzecia, już miryady grzebiołek razem się trzyma i kołują nad trzciną, — po chwili spuszcza ich się kilka lub kilkanaście i jak kwaterymistrze wybierają bezpieczny nocleg i wygodny; kołyszą się i chustają nad trzciną coraz niżej i niżej — nareszcie usiądzie jedna, dwie i więcej, a nie uznawszy miejsce za stósowne, zrywają się i dalej łodygi trzciny próbują (*Arundo*); nareszcie siadają po dwie i trzy na jedną czasem i więcej, bo to próba, czy łodygi zniosą liczną a niespokojną drużynę, tymczasem reszta Grzebiołek kołuje nad trzciną; te przygotowania do noclegu trwają i godzinę całą, tak są te ptaki ostrożni. — Gdy już kwaterymistrzynie zaświergotają, zapraszając na nocleg, cała churma śpieszy usiąść; lecz cóż się robi? Jak 3 — 4 usiądą na jednej trzcinie, to ta ciężar wytrzyma, lecz nierozważna młodzież siada bez porządku, jak to u nas bywa przy licznych kolacyach i czasem rzędem 10 — 15 czepia się łodygi i nagina do saméj wody; — spłoszone Grzebiołki zrywają się i przerażliwym piskiem popłoch w całe towarzystwo rzucają,

wszystkie podlatują, szturchają się jedne o drugie, już się ściemniło, więc się tworzy niepospolity nieporządek i trzeba całej przytomności i powagi przewodniczek, aby popłoszone ptaszęta do upamiętania nakłonić i znowu na łodygi sprowadzić. Już się wszystkie umieściły, zdaje się, że spokojność zapewniona, naczelniki okrążają obóz: tu pisaną, tam zaświergocą, muszą bowiem napomnieć, zadysponować i wszystkiego własnem okiem dojrzeć, po téj rondzie i te zabięrają się do snu; siedzą spokojnie, już żadnego głosu nie słysząc, wtém nowy popłoch, hałas, burzliwe zrywanie się i świeże zamieszanie. Cóż się stało? oto jedna Grzebiołka niewygodnie siedząca, chciała się poprawić i swym ciężarem nagięła łodygę do saméj wody, siebie i towarzyszki zamoczyła, a wszystkie popłoszyła i nowa reorganizacja musiała nastąpić. Często im się zdarza, że Sokół Kobiec (*Falco subbuteo*), który tak lubi późno w wieczór polować, po nieobfitych łowach i nieudanych, uderzy na nocujące Grzebiołki, a spłoszwszy kilka, reszta się podrywa, żałośnie piszcząc goni burzyciela stawowój spokojności, czasem ilość tych ptasich ćmów przestraszy Sokolika i ucieknie, czasem jedną porwie i wynosi się do lasu; rzadko Kobca do tego głód przymusi, on zręczny i odważny, a większych ptaków nie braknie, gardzi on tą odrobiną i w wyjątkowém li położeniu, co znaczy z próżnym żołądkiem, rzuca się na Grzebiołki.

Przesiedziawszy na łódce lub na suchej kępinie tyle wieczorów do późnej nocy, przypominam sobie zawsze z prawdziwą przyjemnością te ciche, odludne miejsca, które oprócz mnie, nikt z ludzi w téj chwili nie nawie-

dział; sam więc wśród licznych ptaków, to czekałem na nadlatujące kaczki i cyranki, to znowu o polowaniu zapomniałem, zobaczywszy igrające kurki wodne, poważne czaple, pełne zamyslenia bąki, hurmy nadlatujące szpaków i pliszek, szukających podobnych miejsc na noclegi, jak Grzebiołki; w téj szaréj godzinie, co tam zawsze było życia, a w tém życiu jaka mądra organizacja, co scen zajmujących, *co za różnice między indywiduami tego samego gatunku*, tego żadne pióro opisać nie zdoła, a zaiste każdego ten widok zająćby musiał.

Między samcem a samicą prawie żadnej różnicy okiem dopatrzeć nie można; mając zaś oboje w ręku do porównania, samiec się okazuje z ciemniejszym nieco upierzeniem i większemi rozmiarami. Młode Grzebiołki w pierwszej barwie: ciemniejsze na płaszczu, piórka ich mają rdzawe obwódki, lotki z plamkami okrągławemi tegoż koloru, na szyi cień rdzawy zasłania białe pierze, — w téj to barwie odlatują do ciepłych krajów i w upierzeniu doskonałych ptaków powracają nam na wiosnę.

Wielu podróżujących rozgłosiło błędną wiadomość, że jaskółki drugi raz się gnieźdzą w południowych strefach przez zimę, a szczególniej twierdzili to o Grzebiołkach, widząc, że w nory tam wlażą i z tychże wyłażą, jak w Europie. Każdy kto obrachuje czas potrzebny na te dwie dalekie podróże, czas kilku tygodni niezbędny do zupełnego wypierzenia się, a w którym to ptaki wszystkie bywają cierpiąciami i o lęgu myśleć nie mogą, — kto więc, jak nasze wszystkie wędrowniczki, dla pożywienia i odpoczynku dnie i tygodnie na miejscu pozostają i znowu głodem lub zimnem zmuszone dalej lecą, ten

pewnie wierzyć nie będzie, iż jaskółki za morzem drugi raz gnieździć się mogą. Ta drobna ptaszyna polując dzień cały za żerem, nieskończoną ilość owadów wyłupia i staje się nam nader pożyteczną; z przykrością więc widzimy po targach południowych miast, tysiące Grzebiółek złowionych w sieci i wystawionych na sprzedaż dla łakotnisiów, którzy z przyczyny, że w jesieni są tłuszcem oblane, smażą je i pożerają nie dla pożywienia, bo go nie znajdują, lecz dla smaku! — Jako gromadne ptaki i nocujące hurmami, w trzcinach łatwe są do złowienia: sieć dubeltowa, jako ściana postawiona w trzcinie, złowi większą część napędzonych z przeciwnéj strony jaskółek. Sieć z wielkimi bardzo oczami wisząca przy drugiej gęstej tak, jak do łowienia ryb, przepuszcza spłoszone ptaki, które uderzają o drugą i chcąc się wysuwać, plątają się długimi skrzydłami. Te sieci na wszystkie nocujące ptaki po trzcinach, jak jaskółki, pliszki i szpaki są zaiste niebezpieczną bronią, bo gromadnie się zbierają zawsze na témsamém miejscu przez kilkanaście dni, a zatém podają łatwość zastawienia w pewnym kierunku téj ściany.

Przystąpię dalej do rozbierania kwestyi od tylu wieków dyskutowanéj, odrzucanéj i znowu wznawianéj, kwestyi zajmującej niemal ludzkość całą od czasu skreślenia pierwszych liter; wszyscy autorowie o niej wspominają, wszyscy o niej słyszeli, a nawet gmin każdego kraju ma o téjże kwestyi ciekawe podania. *Kwestya o śnie zimowym tych ptaków czyli o stanie letargowym, o wyławianiu jaskółek przez rybaków sieciami, narzęście o jaskółkach wyłowionych, które znowu odżyły.*

X.

O ŚNIE ZIMOWYM PTAKÓW.

Cóż łatwiejszego w życiu ludzkim, jak orzec, że to, lub owo stać się nie może, lub téż, że nie jest prawdopodobném? Cóż wygodniejszego dla uśpionéj myśli, jak wątpliwość pozwalająca pozostać w dalszéj nieczynności, a zasłoniąca przed wyrzutami tém soporyficzném słowem: *wątpię i wątpić muszę*. W pocieszającéj naszéj religii, wątpliwość uwalnia człowieka od wypełnienia przykrych często przykazań kościoła, ona to rozpuszcza węzły i pęta obowiązków! W naukach ułatwia liche prace, nie pozwalając dochodzić mozolnie prawdy, tak zawsze w głębi tajnéj, ukrytéj; w badaniach wyższéj natury jest ona zgubnym hamulcem dla szczérych pracowników, dla płytkich zaś portem wygodnym, do którego się chronią, jak najspieszniéj! W życiu męża każdego zwątpienie osłabia energię, podkopuje wytrwałość, siły odejmuje, paraliżuje wszelką czynność i w jakimbądź zawodzie postępu niedozwala; skutki jéj zawsze

zgubne; ciąży na człowieku, jak przekleństwo, a przecie wkrada się niepostrzeżenie, jak niezdrowe powietrze przez każdy otwór i potrafi zatruć życie!

Wątpić, to nie kochać; wątpić, to nie używać nigdy pokoju wewnętrznego; wątpić, to odrzucić szczęście jeinyne, którego nam w swém miłosierdziu Stwórca używać dozwolił; wątpić, to w naszej pielgrzymce po téj ziemi katuszą duszę dręczyć; wątpić, to odpychać bez miłosierdzia dla siebie nadzieję, tę pocieszycielkę pełną anielskiej słodyczy! Zwątpienie mieć w duszy, o zaiste, to życie swe kirem obrzucić; a cóż dopiero dziać się musi z człowiekiem, który w nieszczęściu srogiem, wpuści do kryjówek serca ten jad szatański?

Cóż z przyszłością narodu, w którym się szerzy zwątpienie, tłumiące cnotę, niszczące energię, wyzuwające go z wszelkiej nadziei, zwalniające węzły obowiązków religii i obywatelstwa, rozprzegające całość, która jest podstawą siły? Sroga to rzeczywiście kara, gdy Bóg w swym sprawiedliwym gniewie zsyła na człowieka, na rodzinę, na społeczeństwo, lub też na naród: *zwątpienie*, które jak rdza padająca na kłosa złocistego zboża, zwolna niszczy plon, a tak skrycie, że oko ludzkie postępującego zniszczenia nie postrzega i czas dopiero odkrywa ogrom strat spowodzonych. Te myśli nasuną się mimowolnie każdemu, który spojrzy na mieszkańców naszej od Stwórcy tak bogato uposażonej krainy; zdawałoby się, iż przeznaczoną jest do zażywania bogactw i błogięj spokojności, a zaszczepienie sztuczne zwątpienia, podejrzliwości, nieufności jednych do drugich spowodziło stan opłakany, stan kraju, w któ-

rym każdy boleje, każdy sobie samemu się skarży, a przed drugim narzéka, szuka trucizny w swém życiu, a nie znajduje często, bo szukać nie umieć; wkradł się jad już we wszystkie warstwy ludności, następuje bezwładność, niechęć, brak ufności w przyszłość, stan letargu, z którego się budzą nie do dobrego, lecz do złego i znowu zasypiają, bo życie często ciężarem się staje!

W naukach i badaniach ileż to zwątpienie i rzucana wątpliwość wstrzymały postępu, ile zawiści pokryły, ileż zaszczepiły podejrzliwości? Ogół zawsze wolno koleją życia postępował, mała jedynie liczba wybranych sporszym krokiem ruszała naprzód i skokami, jeżeli tak powiedzieć mogę, otrzymywała nieprzewidziany postęp; postęp, który zdobyć musiała olbrzymią wytrwałością, gdyż towarzysze nauki z początku dziwili się, później zazdrościli, a na końcu ciskali się na odkrycie, wątpliwość chciwie chwytaną przez ogół i ona spizowym hamulcem wstrzymywała go, dopóki zbawienne dowody nie przekonały ciemnych, iż rzeczywiście człowiek człowiekowi dobrodziejstwo wyświadczył. Czytając życiorysy Krzysztofa Kolumba, Gutenberga, Kopernika i tych wszystkich zasłużonych mężów, poświęcających całe życie dla ludzkości, zmierzmy trudności, z jakimi im przyszło walczyć, a rzeczywiście dusza zabojeje, pełna współczucia i niejeden z nas przyzna, że w podobnych okolicznościach byłby wszystko porzucił, a zniechęcony schował się w swą skorupę, jak ślimak. Świadczyć dobrodziejstwa, ułatwiać drugim życie, odkrywać źródła bogactw, wskazywać nieznanne zarobki, wynajdywać ży-

zne kraje, do których płynąć może przepelniająca Europę ludność — i za to być odpychanym, za to żyć w niedostatku, a często w nędzy, być uważanym za marzyciela lub filuta, a nie ustać w tym dobroczynnym zawodzie, to zaiste trzeba być od Boga wybranym! Zmierzymy te otchłanie, trudności, niechęci, zawiści i zemsty, w których pasowali się ci dobroczyńcy ludzkości, postępując z wolna naprzód mimo zakładanych im kajdan, trawiąc życie częstokroć bez pociechy i nagrody, porównajmy ich z tymi, co z łatwością z nicości powstają, ci apostołowie zgubnych i fałszywych doktryn, obfitujących we wszystko, laurami skronie zdobiących: ich nauki szatańską elektryką przebiegają światy, a ogół w stan gorączkowy wprowadzony, przyklaskuje i cieszy się, iż fałsz za prawdę bierze, a ciemnice za jaskrawą światłość. Wtedy dopiero pojąć zdołamy niebezpieczeństwo wątpliwości, grożące nam ustawicznie, wtedy z bolesnym przestachem ujrzymy tę ludzkość od jój kolebki do dzisiejszej chwili zawsze gotową do złego, a tak uporczywie trudną, tak zawsze niechętną do przyjęcia dobrego.

Wieleż to trzeba złożyć dowodów, wieleż jawnych prób odbyć w jakiegokolwiek naukowej gałęzi, aby wiara w rzeczywiste odkrycie rozszerzyła się i utwierdziła, szczególnie, gdy błąd głębokie korzenie zapuścił.

W części, tylokrotnie oszukana ludzkość łatwo uwierzyć nie chce; w części zazdrość współubiegających się, rzuca wątpliwość, a większość nieskora do przyjęcia nowych odkryć, obojętnością szkodzi — i tak niejedno odkrycie spoczywa, jak poczwarzka czekająca ciepła

i słońca, czyli miłości, poświęcenia i rzeczywistego światła. Znając stan ludzkości, ujrzymy łatwo podstawę tej szkodliwej niechęci, zemsty i prześladowania: gdy się wzniesie na ogół człowiek i jednym słowem przewróci systemat, w który przez tyle lat wierzono, może być inaczej? gdy przyjdzie tysamym odwoływać to, co za rzeczywistą prawdę głosili uczniom? Niestety i w naukach napotykałyśmy mało poświęcenia jednych dla drugich, rzadko natrafiamy na szczerze zaparcie się tego *ja*.

Szczególniej w naukach przyrodzonych, wymagających tyle mozolnych badań i trudów, a w którym zawodzie szczerzy i zamiłowany pracownik co chwilę ujrzy nową i nieznaną odmianę, co chwilę przekona się wobec tajemników przyrody o rzeczywistości znanego słowa: *że nie wszystko jest prawdą, co drukują* — i że to sprostowanie z poświęceniem przeprowadzić wypadnie, wtedy się przekona, jak trudną będzie ta praca i jak każde odkrycie z przymusem zadawać trzeba, jak lekarstwo, przeciw czemu chory się broni całymi siłami, bo to tak wygodnie przy dawnym pozostać, nowego się nie uczyć i wątpić a wątpić, nie badać dalej i głębiej. Jakaż-bo to boleść dla naukowego badacza, jeżeli widzi, iż mu prostują i zmieniają to, co wypiastrował, co głosił i uczył, że wymacują to ulubione *mihi*, które miało imię jego do potomności przenieść; że mu dowodzą, iż nie zgłębił prawdy i nie odkrył tajemników przyrody. Możemyż się dziwić, że w tém poniżeniu, a zaślepieniu miłością własną, żywią się niechęcią i zawiścią, rzucają wątpliwość na bolesne dla nich odkrycie, a zamiast uznania prawdy, zamiast w szczerém poświęceniu

nieść pomoc nauce, stawiają tamy i sobkowość niemal zawsze bierze górę. Niestety, taki jest człowiek: nawet wzniosła nauka nie oczyszcza go z brudu zawiści.

W moim, nawet skromnym, zawodzie badacza, nie mając ani czasu, ani możności oddania się wyłącznie naukom przyrodzonym, krępowany niejednemi kajdanami obowiązków różnych, w tém nawet urywkowém badaniu, li ogrzany miłością nauki i prawdy, party niepohamowaną chęcią poznania skrytości przyrody, bez miłości własnej, bez szukania chwały i nagrody w tém, że tak powiem, ciasnym kółku, w którym się szlachcic polski na wsi rusza, doznałem nieraz téj trucizny pochodzącej z wątpliwości, jaką rzucano na me twierdzenie. Rzecz szczególna, że antagonizm w zawodzie naukowym nie ustaje, owszem wszędzie go uczuć można, gdy tylko miłość własna nowością, sprostowaniem lub odkryciem rozdrażnioną bywa. Jak o śnie zimowym jaskółek, a dawniej i ssących zwierząt, jak o tyłu skrytych tajnikach przyrody, których w mieście poznać nie można: tak téż wątpiono, że czapla, bąk (*Ardea stellaris*), huczy samiczce na wiosnę koncerta miłosne nie gardzielą, jak inne ptaki, lecz nabieraniem i wypluwaniem wody, lub téż trzymając dziób głęboko w wodzie i puszczając powietrze, wydaje te tony nieporównane z innymi znanymi. Szczęśliwym trafem razy kilka podkradłem się tak cicho pod huczącego bąka, że najdokładniej widziałem, jak nabierał i wyrzucał wodę i jak w wodzie dziób trzymając, huczał niedaleko samiczki, zachwyconej talentem samczyka na tym męczącym instrumencie. Raz nawet po pierwszej przeciągniętej nu-

cie, spłoszyłem wirtuoza i przymusiłem go, że podlatując wydał wodę, która miała służyć do wydobycia drugiej nuty. Spisawszy to zdarzenie, potwierdzone kilkoma dowodami, oparte na ludowych podaniach dawnych, czytałem rozprawę zgromadzonym badaczom w Halberstadt: niejeden się zadziwił, niejeden znowu wątpił, badał mnie znowu na osobności inny, a formujące się grupy spoglądając na mnie, rozprawiły nad tém odkryciem, z nieufnością i podejrzewaniem. Tu przecie po długich naradach przyznano rzeczywistość tego odkrycia.

W moich powtórzonych wycieczkach po Tatrach i Karpatach, w miesiącu sierpniu widywałem niedaleko szczytów gór (połonin) krążące ptaki, które nie były drapieżnymi; przekonałem się, że to były młode kniejotki Głuszce (*Tetrus urogallus*), z samiczką wprawiającą się do lotu temi powietrznymi ewolucjami. To moje odkrycie potwierdzili górale. Rzeczywiście młode ptaki z samicą, już w zupełnym piérzu, nad wieczorem podnoszą się razem do lotu i krążą do zachodu słońca ponad polanami szczytów gór; po jakimś czasie spuszcza się i kryją po gąszczach. Te igraszki powietrzne trwają dni kilkanaście w czasie pogodnym, a gdy lotniami już są ptakami i z łatwością przenoszą się z góry na górę, wtedy rodzina powraca do skrytego życia pod cieniem gałęzi i liści, rzadko kiedy skrzydeł używając. To rzeczywiście szczególne odkrycie podałem do czasopism niemieckich: zadziwienie było wielkie i wątpliwość we wszystkich; jak iskra elektryczna przebiegła ta wiadomość po pismach publicznych — i niejeden

sędziwy badacz książkowy wykrzyknął, a potem wydrukował: to być nie może, to jest przeciwnem naturze grzebiących ptaków; a przecie to odkrycie jest wynikiem mozolnych i sumiennych badań, których sprawdzić nie mogą uczeni z pod Hagi, Berlina, Heidelbergu i Paryża, nie mający pewnie ochoty zwiedzania uroczych, a dziewiczych gór i niedostępnych lasów.

Od lat kilkunastu co roku niemal, odkrywać mniemają uczeni postępowej Europy gatunki ptaków i opierają odkrycia na różności rozmiarów, stosunku lotek do sterówek, odmianach nieznacznych, w barwach i t. d., a że te odkrycia odbywają się między ścianami gabinetów, oparte na porównaniu preparowanych (często nader niedokładnie) egzemplarzy, bez daty i wypisu miejsca zamieszkania ptaka, bardzo łatwo odkryć gatunek nowy, potwierdzając odkrycie wystawieniem kilkunastu podobnych egzemplarzy; a że ptaki podług wieku i płci zmieniają się, podług obfitego lub niedostatecznego żeru mają większe lub mniejsze rozmiary, a nawet w różnych okolicach różne odmiany w śpiewie i zwyczajach napotkać można, te nibyto odkryte gatunki w katalogu ptaków europejskich zaświeciły chwilowo, aby zgasnąć na zawsze; wszakże mgłą bałamuctwa w niejednej książce i w niejednej głowie pozostawiły, niejeden taki sztucznie stworzony gatunek, dzięki naszej bogatej faunie, zamordowałem niemiłosiernie, przesyłając wynalazcom wszystkie barw przejścia — i przez lat kilkanaście styczności z niemieckimi badaczami mógłem do sytu się natrzeć, ile jadu sączyć może miłość własna upokorzona i jakich broni używa, aby zakryć upokorzenie i szkodzić

pogromcy. Zdarzyło mi się również odkryć, że czaple szare (*Ardea cinerea*), gdy nie znajdują w okolicy obfitęj w żer, wysokopiennych spokojnych lasów: gnieźdzą się w trzcinach na wodach i błotach jak spokrewnione gatunki; to odkrycie przewróciło dotąd utrzymywane zdanie, bo nawet za cechę tego gatunku uważano gnieźdzenie czapel szarych po drzewach. Znowu zdziwienie i rzucona wątpliwość. Wypisuję tu drobne te szczegóły i małoważne odkrycia, nie przypisując sobie żadnej zasługi, bo jak to mówią, *same mi pod oczy przyszły*, lecz dlatego, aby udowodnić jak mało jest solidarniej pomocy w naukach i co za przeważną rolę odgrywa wątpliwość służąca za zręczną broń; wypisuję również dlatego, aby i w tych małych szczegółach pokazać niechęć i niedowierzanie pracy, wytrwałości i nauce.

O śnie zimowym czyli letargu zwierząt ssących, przez długie wieki wierzyć nie chciano, nareszcie oczywiste dowody dostarczone, mogły każdemu ułatwić przekonanie, gdyż te próby na myszach (*mus*), koszatkach (*myoxus*), bobakach (*marmota*), w pokoju odbywać można było, i przez zimę kilkakrotnie do życia zwierzątka ciepłikiem przyprowadzać i znowu zimnem mroźnym zasypiać na długi czas. O śnie zimowym ptaków, czyli chwilowem trętwieniu, ani jeden autor nowoczesny słyszeć nie chce, zaś dalszych badań nie robiono, mówiąc: *to być nie może*, aby ptak z kompletnym systemem arteryj i z płucami potrzebującemi powietrza, mógł trętwieć na kilka miesięcy, a przecież najdawniejsi i średniowieczni autorowie niemal wszyscy o tém wspominają, opierając się na podaniach ludowych.

W każdym europejskim kraju można u wieśniaków równo-brzmiących wiadomości zaczerpnąć; nie godzi się twierdzić z pewnością, że to być nie może, nie mając niezbitych dowodów, a że ilość nieskończona tajemnic w przyrodzie pod grubą zasłoną spoczywa, i wieki miną, nim je oko ludzkie odkryje, nie wypada nam z założonemi rękami a spoczywającym rozumem wątpić, a nie badać dalej i dalej: a z czasem Bóg nam może uchyli mgłę zasłaniającą skarby zakryte przyrody.

Pliniusz wspomina o jaskółkach pod wodą zimujących. To twierdzenie towarzyszy nauce badawczej do téj chwili, w której ludzie postawili rozum nad wszystko i tym rozumem sądzić i pojąć chcą wszystko, nawet tajemnice Boskie, a co ten rozum pojąć nie może, ze wzgardą odrzucają i potępiają. Lineusz, pierwszy systematyk z badaczy przyrody, mówi o jaskółce grzebiolce, (*Hir. riparia*) „aut in aquis hybernans;“ o jaskółce dymówce (*Hir. rustica vel domestica*) „utrum aquis submersus;“ o jaskółce oknówce (*Hir. urbica*) nie wspomina, żeby miała pod wodą zimować; nie rozpisując się wcale i nie tłumacząc bynajmniej tego zadziwiającego zdarzenia, umieszcza je jako wszystkim znane. Nim przystąpimy do dalszego rozbioru tego tajnika natury, musimy tu nasze zdanie powiedzieć, iż uważamy w części te słowa Lineusza, *pod wodą zimujące*, w sensie innym, to jest: że u nas zimują w Europie, a nie koniecznie pod wodą; po drugie, wytłumaczyć, z kąd to twierdzenie powstało. Często rybacy po wylewie wód wyławiali kupki jaskółek, szczególnie

grzebiołek z wody, które jedne drugich pazurkami się trzymając, tworzyły nierozdzielny kłębek, a dostawszy się nad powierzchnią wody, częstokroć do życia powracały i jeżeli stopień ciepła dozwolił im znaleźć pożywienie, latały i z oczów znikały; jeżeli zaś zimno było, wtedy biedne ptaszki z głodu i mrozu ginęły. Zdarzało się to wtedy, gdy rybacy świeżo z dziur wyplukane jaskółki wyłowili, któreby były później utonęły; — równie tak tłumaczyć wypada zdarzenia opisane przez podróżujących marynarzy, którzy nieraz przy okrętach wyłowili jaskółki z wody i te ptaki odżyły, lecz to były jaskółki, które przeciwnym wiatrem lub podróżą zmęczone wpadły do wody, a ratując się pazurkami i długimi skrzydłami wzajemnie się powięzły; *gdy zaś rybacy wyłowili nieżywe jaskółki, czyli potopione, odrzucili je na bok nie wspominając wcale o tém zdarzeniu*; a że grzebiołki jamy brzegów stromych gromadnie zamieszkują, łatwo pojąć, że fale wody buchające do otworów, te gromadki nareszcie wypłukują, i że broniące się ptaki szukają ratunku jedne u drugich, chwytając się wzajemnie pazurkami i tym sposobem tworzą kłębek ptaków wyłowionych, o którym-to kłębku tyle pisano. Również łatwo pojąć, dlaczego się to tylekrotnie powtarzało: wylewy bywają po wielkich długo trwających slotach, a że wtedy jaskółki dla zimna i braku pożywienia chowają się do norów, więc je prawie zawsze powódź w mieszkaniu zastawała i wypłukiwała. Widziałem naocznie jaskółki grzebiołki, wyciągnięte siecią z Wisły pod Krakowem w późnej jesieni, (data w notatkach moich nie

zapisana), było ich kilkanaście, lecz do życia ich przywrócić nie zdołałem, niektóre już nawet w dekompozycyi się znajdowały, oczywiście w kryjówkach nadbrzeżnych zalane, później przez wodę wypłukane i do rzeki zaniezione zostały. Rzeczywiście, rozum się wzdryga na myśl, że żyjątka z ciepłą krwią i płucami pod wodą niejaki czas przy życiu pozostać mogą. Lecz że w przyrodzie wszystkiego pojąć i wytłumaczyć nie można, a tém mniej pod równe prawa poddać i temi samemi argumentami dowodzić systematu życia jednych i drugich żyjątek, trzeba cierpliwie czekać oświaty, a sumiennie i wytrwale badać dalej, czekając odkrycia prawdy.

Przytaczam tu niektóre źródła wiarogodne nie dla poparcia mego twierdzenia, że ptaki pod wodą zimują, bo dotąd mniemam, że to są wyjątkowe zdarzenia *krótkotrwałe*, lecz żeby zwrócić uwagę badaczy, a nawet ogółu do dalszego badania i przekonać, że niemal w życiu każdego gatunku żyjątek, zdarzają się wyjątkowe natury i przeznaczenia, które wątpliwości pokrywają, a które są przecie rzeczywistemi zdarzeniami i te to wyjątki najwięcej zajmują badacza. Thompson w swém dziele opisuje podobne zdarzenia i cytuje urzędowe potwierdzenia, i tak: koło Ballantrae w Irlandyi nieraz widywał przez rybaków wyciągnięte, a zupełnie zmarznęte, nie okazujące znaku życia, w jego przytomności ptaki z tamsamym organizmem, jak jaskółki, np.: Nury rdzawo-garliste (*Colymbus septentrionalis*), Maskonura mnicha (*Mormon fratercula*), a sieci były spuszczone do 180 stóp głębokości w morze. W dziele p. Pastré; *de la cause de l'hybernation chez les animeaux dor-*

mans, mówi o gapie białym (*Sula alba*), że bardzo często zamrożony z morza wyciąganym bywa, a tak jedne jak i drugie do życia powracały w stopniowo powiększającym się ciepłe. Kto podróżował po północnych morzach lub czytał wiele raportów naturalistów i uczonych, kto zna ilość ogromną różnych nurkujących ptaków nader lichemi narzędziami do lotu uposażonych, tamże przebywających w czasie lęgu, a kto znowu zmierzy ilość w porównaniu z powyższą nader lichemi narzędziami do lotu uposażonych, tamże przebywających w czasie lęgu, a kto znowu zmierzy ilość w porównaniu z powyższą nader małą ptaków tych, przybywających na morze Bałtyckie w jesieni, a rozlatujących się po kontynencie w czasie zimowym, temu mimowolnie na myśl przyjdzie musi, że reszta ptaków tak mało lotnych, musi znajdować na północy kryjówki i *zimować w stanie i lokalności badaczom nieznanym*, gdyż przypuścić nie możemy, aby w lodowatej atmosferze dochodzącej do 40^o mrozu, ptaki znajdowały w dosyć znacznych przestrzeniach cieplice i w nich pożywienie, lub mogły oddychać tém zabijającym powietrzem? W dziele zajmującym a nader rzadkiem p. Leidenfrost 1758, *De lethargo hirund:* jest wiele opisów o jaskółkach w otrętwieniu (*torpor*) zostających, a wyłowionych z wód lub znalezionych w jamach między kamieniami lub po dziupłach spruchniałych drzew. Dzieło p. Gaimard o Islandyi i Grenlandyi podaje nam opisy równobrzmiące z dziełem wyżej cytowanym p. Pastré. W tłumaczeniu niemieckim z r. 1839 Gmelina o śnie zimowym zwierząt, wiele myśli i zdarzeń wyczytujemy, które

każdą, nawet wielce uśpioną ciekawość zaostriżyć muszą; równie w poważnym bardzo dziele: filozofia natury pana Smelié. Arystoteles w filozoficznym swém dziele mówi o śnie zimowym ptaków i zwierząt, dodając, że gdy słońce zimowe przygrzewa ptaki, te się budzą, latają i znowu w otrętwieniu (*torpor*) zasypiają. Arystoteles zdanie jest nader ważne, służyć może za wskazówkę; on pierwszy nie upiera się w wyszukiwaniu dowodów na zimowanie pod wodą jaskółek, lecz twierdzi: że w otrętwieniu zimują po różnych kryjówkach w ziemi; również pierwszy przekazuje nam bystre spostrzeżenie, które się tylokrotnie potwierdziło, że w różnych miesiącach zimowych w Grecyi jaskółki na krótki czas się pojawiały i znowu znikaly. Nasz Gdańszczanin Klein te same spostrzeżenia robi: wierzy, iż jaskółki pod wodą zimują, mimo, że w ciągu pracowitego swego życia mało dowodów zebrać mógł, lecz że częściej po kryjówkach licznie zebrane w śnie zimowym kilka miesięcy przebywają. Buffon, a po nim Cuvier przedłożyli raporty akademii paryskiej o jaskółkach, które 3—4 godzin były pod wodą i okazywały, wyjęte z wody, wszelkie oznaki śmierci przez zalanie wodą. Raz pięć, drugi raz siedm jaskółek wyjęto z wody w miesiącu wrześniu, obsypano je ciepłym popiołem: po trzech dopiero godzinach dostrzegli początek oddychania, lecz bez żadnego ruchu, dwie godzin później ruszyły się jedne po drugich, otrząsały z pierza popiół, posunęły się nieco z miejsca, lecz tak były zmęczone, że wieczór i noc całą w nieruchomości przepędziły; rano dały się w rękach na okno ponieść i po kilku chwilach zaszczębiotawszy poleciały.

Te jaskółki w czasie zimnej jesienniej słoty, już bardzo osłabione do pokoju przyniesione zostały. Czyby to dla nas nie było wskazówką, że późno wyklute pisklęta z drugiego zniesienia pomału się do zimna i głodu przyzwyczajają, a nie mogąc już dla zimnej pory i braku owadów lecieć w dalekie kraje, w głębokie nory się chowają, tam trętwieją i zimę przepędzają. Pewnie ilość wielka jaskółek wytrzymać nie może tego letargu, i już z kryjówek nie wylatuje, zaskoczona śmiercią spokojną; lecz przypuścić mogę, że inne ten czas letargu wytrzymają i nam się wczas na wiosnę pokazują. Tym twierdzeniom zarzucają, że gdyby to się zdarzało, wtedy częstobyśmy gromadki strętwiąłych jaskółek znajdowali, a nawet w bliskości pomieszczeń kryć się powinnyby czasami. To wcale nie zbija zdania mego: najpierw mając znając nory jaskółek po stromych i wysokich brzegach, miejscowości w rozpadliny obfitych, niedostępne zatem najczęściej miejsca niełatwo sprowadzą człowieka, jaskółki się tam chowają, częstokroć giną, inne na wiosnę wylatują, niektóre woda wypłucze, drugie ziemia zasypie, czasem nawet jeden duży kamień zasunie otwór i już po życiu miłych ptasząt! Człowiek pociąga wszystko pod jedne prawa, rozumem zgłębia, a co nie rozumie, o tém wątpi i to potępia, a ogół chciwy wątpliwości! Możemyż twierdzić, że wiemy co się dzieje w głębinach niedostępnych lasów, w środku wiekowych w pruchno przemienionych drzew, w norach i rozpadlinach ziemi, w skałach popękanych i jamach gór lub w naturalnych jaskiniach, co się tam dzieje w zimowych miesiącach, Tam gdzie niema przekonania opartego na dowodach?

tam gdzie przyroda pod tak grubą zasłoną kryje swe tajemnice, łatwo wątpliwości rzucić nie godzi się w nauce, w której mozolnie ślimaczym chodem zdobywa badacz, że *tak powiem odrobiny odkryć*, a pracując całe życie, zgłębiając ustawiczną pracą tajniki przyrody, co rok się nowych, dziwnych, czasem niepojętych zdarzeń doczeka; w téj nauce po najdłuższém życiu, po najsumienniejszej pracy, gdy na brzegu grobu stanie, z pokorą wyrzeczy: Dzięki Tobie Boże za to, coś odsłonić raczył, ale wiem, iż moja wiedza o tajemnicach przyrody ma się jak ziarnko piasku do ogromu kuli ziemskiej!

XI.

Twierdzą dalej, że Niedźwiedź, Świszcz bobak, Borsuk, Koszotka i t. d. tyle w sobie mają tłuszczu, że im na całą zimę wystarcza za pożywienie Z jednej strony krytykując to zdanie, musimy się zaiste zadziwić, iż do utrzymania życia przez pięć miesięcy, dostatecznym być ma ten tłuszcz wylizywany z łap, *któryby się tam z całego ciała koncentrować musiał?* lub téż jak u bobaków, które w kółko jedno blisko drugich się kładą i kupkę nierozdzieloną tworzą, emanacya wzajemna za pożywienie służyćby miała? Z drugiej strony widzimy ssące stworzenia, nie zostające w długim i ciągłym letargu zimowym, zabezpieczające sobie spiżarnię na zimę, jak Jeże, Wiewiórki, Homiaki, niektóre gatunki myszy i t. d. Cóż to dowodzi, że jedne potrzebują pożywienia, a drugie w otrętwieniu, jak bez życia, zostają zimę całą; dalej, że jedne jak np. Niedźwiedź w gawrze mają czucie i zaraz dają znaki życia, inne i tych jest większa część są, że tak powiem, zmarzniętymi bryłkami. Czyż twierdzenie o bobakach potrzebuje odparcia? pewnie

nie, lecz dla okazania, jak mało tój zajmującej kwestyi badań i poszukiwań poświęcono, jak mało ją rozbię-
rano już nie na podstawach anatomii i nauk przyro-
dzonych, lecz zdrowym rozumem sądem, wypiszę tu
z mych notatek dwa zajmujące spostrzeżenia.

W roku 1834 pokazywano mi w Sabaudyi kil-
kaset sążni ziemi do słońca leżącej w lodowcach *de*
l'allée blanche, okolonój lodami okiem nieprzejrzane-
mi. Na tym kawałeczku kilka rodzin świszczów bo-
baków od niepamiętnych czasów żyje, młode wycho-
wuje i w tój mikroskopicznej ojczyźnie życie pewnie
bezprzykładne spędza, gdyż w roku całym dziewięć mie-
sięcy są śniegiem zasypane, a ła trzy miesiące lub cztery
(w szczęśliwym dla nich roku) odkrywa się skała, ubar-
wia nędną wegetacyą, która im służy za pożywienie.
W Tatrach naszych znam podobne, chociaż nieco więk-
sze miejscowości, na których te zwierzątka żyją kilka-
naście tygodni, wydają dorodne bobaczki na świat co
roku, a 7 do 8 miesięcy w letargowym śnie przepędzić
muszą. *Zdaje mi się, że na podobnym chlebie tłuszczu*
zbytecznego nie uzbierają. Lecz tak, jak nie każdy nie-
dzwiedź w gawrze całą zimę śpi, tak nie każda rodzina
bobaków przeznaczoną jest na tak długie otrętwienie;
to dowodzi, jak życie zwierząt jest częstokroć wyjątko-
we, jak się stosuje do okoliczności, nawet przypadko-
wych, jak często jest różna potrzeba pokarmu i ilości
powietrza. Mam przekonanie, że gdyby do tych dwóch
miejscowości przyniesiono z innych, mniej zimnych stref
bobaki pod jesień, te z trudnością wytrzymałyby długo-
trwały letarg, do którego się były nie przyzwyczyły. To

nam dowodzi, że są już wyjątkowe położenia w naturze,
których prawie pojąć nie można, że do tychże pomału
żyjątku się przyzwyczajają i do okoliczności i potrzeby
z *przeznaczenia* umieją, czyli mogą się zastosować. Mnie
zaś to przekonywa, że w przyrodzie wszystkiego pod te-
same prawa podciągnąć nie można i sądzić wszystkiego,
opierając się na jednej podstawie, tém mniej, gdy dotąd
z tajników zasłona nie spadła i my na niektóre zda-
rzenia wyjątkowe nie mamy dowodów, a jeżeli ich ro-
zum nie pojmuje i dlatego potępia, będziemy zawsze
krótko widzącymi i bliżej błędu jak prawdy. — Myszy
i rodzaje pokrewnione z niemi, potwierdzają tę naszą
uwagę; w tym samym gatunku jedne znalazłszy obfite
pożywienie i ciepłą zimowlę nie trętwiąją i nawet mnożą
się, inne po jamach w uspieniu część zimy przepę-
dzają. Wiele bardzo raportów z różnych krajów mia-
łem przed oczyma od roku 1770 do naszych czasów,
w których były zapisane dnie i miesiące pory zimowej,
dowodzące, iż w listopadzie, grudniu, lutym i marcu po-
jedyncze, lub w małych gromadkach jaskółki pojawiały
się na krótki czas i znowu znikwały z widnokregu; zawsze
była mowa o jaskółkach Dymówkach i Grzebiołkach,
nigdy o Oknówkach; opisy z południowych wysp euro-
pejskich zgadzają się na to twierdzenie: w zimie często
bardzo jaskółki przylatują w ciepłych dniach, pobujają
chwilkę, a jak zimno chwyci, lub słota nastanie, znikają
w okamgnieniu. Czy kto będzie miał odwagę wyrzec, że
te ptaki z Azji południowej lub Afryki na spacer sobie
kilkaset mil przyleciały i znowu spacerem odlatują? Pe-
wnie, że nikt. Sam nieraz widywałem dwa pierwsze ga-

tunki w drugiej połowie Października i w Listopadzie lub też na końcu Marca i początku Kwietnia. Te chwilowe pojawiania się jaskółek zawsze mnie dziwiły i już od lat wielu naprowadzały na tę myśl, że one w otrętwieniu wyjątkowo spoczywały, dalekiej podróży odbyć nie mogły, gdyż zimno i głód byłyby je nieochybnie zabiły; tém mniej przypuścić mogę, aby znikając mi z oczów na długi czas, one napowrót kilka tysięcy mil odlatywały w porze mroźnej, w której wszystkie owady w śnie zimowym pogrzebane bywają. Raporta różnych podróżujących, zgadzają się co do terminów przybywania jaskółek do ciepłych krajów: w Egipcie i w Libii w pierwszej połowie Września, w Bengalu, Kaniadzie, Senegalu i w Jamajce, na wyspach Kanaryjskich i przyłądku Dobrej Nadziei najpóźniej do 6 lub 7 Października; jakże wytłumaczyć możemy obecność jaskółek w naszym kraju w Październiku lub Listopadzie? Jak wytłumaczyć te pewne liczby tych ptasząt latających w témsamém miejscu, dające ruchami i zwyczajami dowody, że to zawsze tesame, a przecie znikające i pojawiające się na nowo? Przecie te ptaki nie mogły odbywać podróży dalekich i znowu powracać; uwzględniając niesłychaną lotność jaskółek, a przypuściwszy nawet, że w 24 godzinach mogą odbyć 100 mil, jeszcze myśleć nie możemy, iż w jednym lub drugim tygodniu polecą już nie do Indyj, lecz do Grecyi, Malty lub na wyspy Archipelagu i niebawem do nas powrócą? Twierdzą, że te spóźnione ptaszęta wszystkie głodową śmiercią giną; pewnie że wielką część ten smutny los spotyka, lecz gdyby te wszystkie, które widzimy, miały zdechnąć i to w krót-

kim czasie, *gdyż głód i zimno w jednym lub dwóch dniach wszystkie zabiłyby musiał*, przeciebyśmy je spotykali na różnych miejscach i o tém słyszeli, a kto w Październiku, Listopadzie lub Marcu może nam złożyć na to dowody? Inaczej ma się rzecz z jaskólkami gromadnie przybywającemi w Kwietniu do naszych krajów. Wtedy słotne zimno często krociami je zabija, lecz *czas otrętwienia minął, organizm rozbudzony trybem łatwym, rozgrzany pożywieniem przyjętém, nie da się w jednej chwili do letargu, tego symbolu śmierci, przymusić* — i wtedyto niemal na każdym miejscu znajdujemy ofiary niecierpliwych podróżniczek; dla czegożbyśmy nie mieli ich zdybywać w tych miesiącach, które wyżej wypisałem? Łatwo zaiste wątpić, a wątpliwością jak mgłą ciemną nakrywać to, czego zrozumieć dotąd nie możemy, a nader trudném zadaniem śmiertelnika odkryć i na to złożyć dowody, co z woli Stwórcy przyroda w tajemnicy kryje!

Wielu autorów idąc w ślady za poprzednikami, szczególnie zaś za Kleinem, przypuszczają, iż niektóre jaskółki chowają się w kryjówki i tam się żywią żukami i ich poczwarkami, owadami lub ich jajkami. — Kto spruchniałego drzewa trociny badał, kto przejrzał w jesieni rozpadliny ziemi i nory jaskółek, kto zna żarłoczność tych ptaków, pewnie z uśmiechem to zdanie potępi i odrzuci. Że ludzkość pracująca, corocznie w odkryciach postępuje, co roku pewne zasłony zdziera, dowodzić nie potrzebujemy; astronomia, nauki przyrodzone, chemia i fizyka codziennie potwierdza, że nieco odkryliśmy, lecz, że każdy sumienny pracownik ma ot-

chłanianie jeszcze przed sobą i w każdym zawodzie nie jedno życie strawimy, generacye zastępywać będą generacye, a tajemnic zostanie niemało do skończenia świata, których Bóg człowiekowi odkryć nie dozwoli, aby wiedział, że wszechwiedza jest boską atrybucją, niezgodną z naszą ułomnością!

Cóżby w średniowiecznych czasach odpowiedziano na to twierdzenie, iż chemicznym procederem można człowieka uspić i strętwić do tego stopnia, że obieg krwi i oddech ustają, i znowu tegoż człowieka fizycznym aparatem poruszać i trupy nawet do ruchu przyprowadzać?

Cóżby poprzednicy, badacze przyrody za zadziwienie okazali, gdyby usłyszeli, że niektóre ptaki bez zmiany pierza, bez starcia końcówek piór, przybierają inne kolory i te kolory potęgując jaskrawość, zmieniają w zupełności barwę tych ptaków, a to w tak krótkim czasie, że rozum téj metamorfozy pojąć nie może; a o rzeczywistości téjże sam się przekonałem. To odkrycie zrobił lat temu 18 profesor Szlegl w Leydzie w Holandyi, sumienny i zacny badacz, jego imię pełne zasług przejdzie do potomności z laurami rzadkimi w naszych czasach, barwiącemi odkrycie nie dające złota i srebra, metalami, za któremi dziś wszyscy gonią, nad pomnożeniem których najtęższe głowy pracują. Rzeczywistość tego zadziwiającego odkrycia sam licznemi dowodami; poprzec mogę, a mógłbym czytelnikom arkusze wypełnione przedstawić, dowodzące z jakim niedowiarstwem i zazdrością odkrycie to w sąsiednim naukowym świecie przyjętém było, jak się autorowie silili na udowodnienie, że to być nie może i że wątpić wypada!

Jeżeli dotąd nikt doktorowi Schwedenborn nie zadał kłamstwa, że dziewczynę czternastoletnią na trzy tygodnie zamroził i znowu ocucił, że później tę ofiarę badań naukowych na dłuższy czas tym samym procederem uspił i do życia powołał; jeżeli prorocy indyjscy (Santosy) po kilka miesięcy w ziemi zakopani na 3 do 5 łokci, potem zmartwychwstają i durzą łatwowiejnych, iż Boskość posiadają: wtedy mimo wstrętu rozumu, wiele niepojętego wierzyć, a jeszcze więcej przypuszczać możemy. Na pierwsze zdarzenie, mamy dowody w protokóle akademii w Sztokholmie z roku 1845; na drugie wiele raportów wiarogodnych podróżujących, a najważniejszy w sprawozdaniu gubernatora Indyj lorda Grey, który był osobiście przy zakopaniu proroka i przez sześć tygodni grób wojskiem otoczony trzymał, po którymto czasie wydobyto ofiarę i widział naocznie, jak stopniowo do życia przychodził i później kilka lat przy dobrém zdrowiu go zostawił.

Przejdźmy w inny świat żyjątek. Gaimard zamrażał ropuchy, polewając je na mrozie wodą i tworzył bryłę nieruchomą lodu; po czasie, jaki sobie wybrał: raz dłużej, drugi raz krócej, polewał je letnią, dalej ciepłą wodą, i tak do życia i ruchu w 10 minutach powracał. Jak wiele tych zwierząt niejaki czas bez powietrza obejść się może, dowodzą ropuchy i żaby zamurwane na lat kilka a może i kilkanaście; sam znam zdarzenie, iż ropucha przez trzy lata w murze bez żadnej styczności z powietrzem, spoczywała wapnem przyrzuconą i w téj samej pozycji odkryliśmy ją: z początku nie ruszała się, lecz patrzyła na nas, po kilku minutach ruszać się za-

częła, po dwóch godzinach poszła sobie, pewnie szukać pożywienia! Wiele bardzo żuków trzymać można godzin kilka pod wodą, byle je do tego stopniowo przyzwyczajać, które później odżyją, równie owady i robaki. Nikt przecie nie powie, że prawidła przyrody przeznaczają wszystkie żyjątka do tego życia wyjątkowego, które niemal w każdej klasie napotykamy, a one je znoszą i tym sposobem śmierci unikają.

Do téj chwili moje doświadczenie niebogate w dowody, mimo, że żadnej sposobności nie opuściłem w zgłębianiu téj ciekawej tajemnicy; a mimo, że dwa razy znalazłem Przepiórki i jaskółki Dymówki w skośnieniu (*torpor*), które do życia powróciły, jeszcze z pewnością twierdzić nie śmiem, iż niektóre ptaki w tym letargu zimę całą przepędzić mogą. W połowie Grudnia roku 1837 przyniesiono do dworu mego majątku w Brzeżańskim cyrkułe położonego, siedm młodych lecz wykształconych przepiórek. Znalezione je w dziuple spruchniałego buka, siedzące w kupce, z nóżkami ściągniętymi pod brzuszki, na obfitych trocinach; ptaki, które w tym stanie widziałem, były twarde jak kamień, po kilku godzinach spostrzegliśmy w ciepłym pokoju pierwszy znak życia w poruszeniu pierza całego, dalej odsunęły nieco skrzydła od ciała, drgać zaczęły w dalekich odstępach, nareszcie oczy otworzyły i mrugając, jak do taktu dzióbki otwierały, cały dzień pożywienia żadnego przyjąć nie chciały i spostrzegliśmy wielkie osłabienie do drugiego dnia. Te same zmartwychwstałe przepiórki, puściliśmy w pole na wiosnę. W buku ściętym 12 Grudnia, leżało sześć jaskółek Dymówek zmar-

zniętych zupełnie; przyniesione do pokoju 4, pomалу do życia powróciło, dwie zaś sen do śmierci zaprowadziły; niestety i tamte cztery po kilkunastu godzinach z głodu zginąć musiały, owadów nie było a innego pokarmu przyjąć nie chciały. Dziś surowo sobie wyrzucam błąd nie do przebaczenia, że nie zamroziłem kilka tych ptaków na nowo: byłbym miał skazówkę, jeżeli nie dowód na to, czego tak uporczywie szukam, a być bardzo może, iż w dalszém mojem życiu nie zdarzy się już znaleźć w zimowej porze strętwiąłych ptaków. Nieraz mi myśliwi i wieśniacy podobne zdarzenia opowiadali, lecz bez dowodów na powrócenie do życia, gdyż jak to pojąć łatwo, ile razy znaleźli ptaki otrętwiąłe, odrzucali je na bok jako zdechłe, i te rzeczywiście później już odżyć nie mogły. Jeżeli porównam organizm i obieg krwi ptaków z organizmem w letargu spoczywających ssących zwierząt, nie znajduję żadnej przyczyny, aby tak jedne jak drugie nie mogły w stan letargowy przechodzić, a że już nie potrzeba dowodzić rzeczywistości *torporu* w wielu gatunkach czworonożnych żyjątek, jak również tego: że jedne chwilowo trętwieją, inne na dłuższy czas i znowu się budzą; te zasypiają, przy ciepłe oczy otwierają, pokrzepiają się powietrzem; tamte żeru szukają, jedne przyjmują nieco pożywienia, drugie w letargu całą zimę przepędzają; są znowu takie, które przy pewnym stopniu ciepła, kryjówki opuszczają i żyją życiem naturalnem, a przyciśnięte zimnem, trętwieją. Napotykamy wszędzie wyjątki, wszakże śmiem twierdzić, iż są peryody *krótkie, które zwierzęta ssące, gady i owady przespąć muszą*, i li przypadkowemi okolicznościami

w terminie tym rzadko kiedy przebudzanymi bywają. Że cała przyroda tak ściśle jest związaną, tak szczególnie zamknięty tworzy łańcuch, iż idąc z ogniwa po ogniwie, można z ostrożnością daleko zejść i pewne dedukcje czynić, które późniejsi badacze, mając wskazaną drogę przez nas, potwierdzą lub sprostują. I tak np. widząc ptaki otrętwiałe w Grudniu, z tego gatunku, z którego towarzyski dwanaście tygodni pierwiej Europę opuściły, przecie do życia ciepłikiem sztucznym przywrócone, można przypuścić, że tak, jak wytrzymały sześć lub ośm tygodni ten *torpor*, mogą w tym stanie do wiosny wytrzymać. Ptak w ruchu będący bez pożywienia, po 24 godzinach żyć przestaje (wyjawszy drapieżne), a zatém czy ptak ośm dni, czy sześć miesięcy nie żeruje, a znowu do życia powołanym bywa, jest obojętnym zdaje mi się zarzutem. Ptaki, które w tym stanie widziałem, były tłuste czyli mięsiste i tego wycieńczenia nie spotykałem, które z bólem serca uważamy czasem na czajkach, bocianach i czaplach w Kwietniu, gdy mróz ściśnie wodę, a śnieg pokryje ziemię; również w opowiadaniach innych o chudości szkieletowej nigdy nie słyszałem.

Nieraz zadawałem sobie pytania, na które i dziś z pewnością niestety odpowiedzieć jeszcze nie mogę: jak np. przepiórki z późnego zniesienia w Sierpniu, a czasem i we Wrześniu, będące jeszcze w Październiku niezupełnie wypierzonemi, a bywa ich u nas niepospolita liczba, szczególnie w gospodarstwach z wielkimi łąkami, suchemi i obszernymi łanami koniczyn, gdzie najczęściej pierwsze zniesienie kosa niszczy — jak te pta-

ki mogą odbyć podróże zaatlantyckie, kiedy niemal co roku ku końcu października mróz chwyta i śnieg pruszyć zaczyna; jakże znowu mogę przypuścić, że te wszystkie późno wykłute ptaszyny skazane być mają na nieochybną śmierć i że w każdej jesieni krocie ich przeznaczone na zniszczenie. Czyż tak sądzić możemy o mądrém i miłosierném gospodarstwie Bożém? Gdy w późnej jesieni spotykam te biedne przepiórczeta najpierw rejterujące z pola do bliskich krzaków, później do lasów gdzie tak mało pożywienia znaleźć mogą: wtedy mimowolnie mi zawsze myśl przychodzi, że kryjówek szukają i pomału w otrętwienie przechodzą.

Chróściel wodnik (*Rallus aquaticus*), również jak inne owadożerne ptaki, odbywa co roku w jesieni zamorskie podróże, a przecie niemało ich pozostaje w naszym kraju przy cieplicach obszernych stawów i jezior, niedostępnych dla gąszczów utworzonych przez odwieczne trzciny i szuwary; tak samo zimuje jak w Grenlandyi północnej Szwecyi, Norwegii i Islandyi. Te ciekawe i w swych zwyczajach mało znane ptaki, zajmowały mnie przez wiele zimowych miesięcy — i myślę, że ich życie porównać mogę do życia letargowych ssących zwierząt. Gdy dzień był słoneczny i mróz ustąpić musiał przed promieniami południowego, tak krótko nam świecącego słońca, wodniki w gwarze i ruchu nieustającym godzin kilka przepędzały, w innych chwilach grobowa cisza panowała; gdy znowu śnieg sypał czas długi lub mrozy w otrętwienie całą przyrodę wprowadzały i powierzchnia cieplic nawet ciężkim lodem jak szybą szkła się nakrywała, wtedy ani oko spostrzedz wodnika

nie mogło, ani ucho słyszeć tych mi znanych tonów, tak podobnych do głosu wydawanego przez świnię i dla których Grenlandczycy nazwali tego ptaka: *ptakiem świnią*. Powietrze podobne trwa u nas czasem tygodnie i miesiące całe, co robią wtedy wodniki? Często umyślnie wybierałem wodę i szlamową ziemię z cieplic i badałem je sumiennie: wprawdzie znajdowałem wiele poczwerek i ślimaczków, lecz nie tyle, aby przypuścić, że ta ilość jest w stanie wyżywić kilkanaście ptaków przecie znacznej wielkości; równie myśleć nie mogę, aby ptaki te tłukły dziobami lód i szukały żeru? Cóż więc wnosić musimy? *Że albo w otrętwienie ptaki te wpadają, lub że się przy życiu utrzymują nieznanym nam sposobem?*

Jeszcze tu jeden szczegół do tych zagadek dodać muszę; będzie on silnym bodźcem do badania tej tajemnicy. Przepędziwszy na wyspach północnego morza kilka tygodni, umieszczałem się zawsze w najodludniejszych stronach, aby gadatliwy człowiek nie przeszkadzał moim badaniom i poszukiwaniom, a ja zakryty, abym mógł swobodnie przypatrywać się życiu mych lubych lotnych ptaków. Pierwszych dni października zaskoczyły mnie tak mocne i zimne północne wiatry, że się z wyspy ruszyć nie można było, dzieliłem więc biedę, zimno i niedostatek z ptaszynami srogo nawiedzonymi — i z niemalém zadziwieniem w ciągu mej podróży spostrzegałem pojedynczo lub gromadnie latające jaskółki Grzebiołki i Dymówki, zaś w czasie zimnym ani jednej oko spostrzedz nie mogło. Gdy naziutrz rozkiewane wczorajsze wiatry dać przestały, a ja

się podkładałem pod wał przeciw falom morza wysypany, ujrzałem kilka jaskółek Dymówek, wylatujących ze szczelin i rozpadlin między kamieniami; szturchając zaś stępłem od strzelby wygoniłem jeszcze kilka. Że te nory były kręte, nie mogłem się przekonać, czy tam jeszcze inne pozostały lub delikatniejsze już w otrętwieniu spoczywały. Pokazało się, że przy każdej zimnej słońcu i na noclegi, jaskółki do tych kryjówek się chroniły. Czy mi za złe czytelnicy i koledzy wezmą, jeżeli się przyznam, iż posądzam, że te jaskółki w tym wale zimę przepędzają, nie mogąc przypuścić, aby w tej późnej porze roku mogły się puścić w daleką podróż.

Czas już pewnie konkluzję tego wszystkiego wypisać i was czegoś nauczyć, a jakże tu z zagadki konkludować? Skromnie i z pokorą wyznać więc muszę, że nic z pewnością twierdzić nie mogę, i że z zagadki w przypuszczenie przechodzę, z domniemywania wnioski czynię, a gorąco proszę i serdecznie pragnę, tak serdecznie, jak tylko miłośnik przyrody pragnąć może w swęj nienasyconęj ciekawości, aby ci, co o tej tajemnicy wiadomości jakie mają, łaskawie mi ich udzielili; zaś do badaczy się udaję, nawet do ufnych w potęgę nieomylnego ich rozumu, aby bez szyderskiego uśmiechu szczerze tę tajemnicę zgłębiali, a nie pisali o niej jak o bajeczce dla dzieci, lub jak o baśniach z gminnych podań.

Nie mogę więc twierdzić, że jaskółki zimują w kryjówekach naszych krajów, *czyli pewna ich część*, nie mogę tu przekazać potomności, jako owoc mych prac i doświadczenia, lecz przyznaję, że to przypuszczam i że dalej badać będę z całym poświęceniem te skry-

tości ciekawe; a co przez kilkanaście lat spostrzegłem, wypisałem tu jako skazówkę dla późniejszych badaczy. Że się jaskółki do kryjówek chowają w późnej jesieni, te które nie zdążyły z towarzyszkami w podróż się udać; że jaskółki, które widzimy czasem w Marcu i początkach Kwietnia, nie przylatują z Indyj, bo zimno i głód tych podróży nie dozwolą; że wreszcie ptaki w pierwszych miesiącach zimowych z otręwienia obudzone zostały: wierzyć muszę, *choć to dotąd za wyjątkowe zdarzenia uważam*: a biegnąc z przypuszczenia w przypuszczenie, czynić muszę wnioski, które nie napotykając opozycji w sędzie rozumu mego, rozdrażnić muszą ciekawość moją, a zaostrzyć chęć każdego badacza do pracy.

Pewnie sztuka lekarska w zamięłowaniu nauki, w chęci przyniesienia ulgi cierpiącej ludzkości, znakomite postępy uczyniła i niepojęte odkrycia zdobyła, a czy dziś może wyjaśnić letargi ludzi? Czy może powiedzieć, dlaczego cały organizm w ten torpor wpada i jak długo ten torpor trwać może? Czy dwa lub trzy dni letargu nie nasuwają nam myśli, że nieme groby dłuższe i straszniejsze letargi w tajemnicy chowają. W klasach ludzi, w których skomplikowane lekarstwa do dekompozycji nie pomagają, w których człowiek umiera cicho i prędko, że tak powiem, znika bez hałasu i wrażenia, jak kwiatek z łąki, czy w tej klasie pełnej zdrowych soków, nie zepsutych ani sztucznymi niezdrowemi pokarmami, ani aptecznymi truciznami: letargi krótsze i dłuższe zdarzać się muszą, o których akademie lekarskie nigdy nie słyszały! Mogą uczeni doktorowie

twierdzić, że letarg dłużej nad 48 godzin trwać nie może; ja myślę, że w niejednym grobie prostaczka straszliwy dramat się odbywał — i my wtedy dopiero ujrzemy tę tajemnicę bez zasłony, gdy trąby archaniołów zagrzmią, a jeden o drugim wiedzieć będzie: co cierpiał, jak duszę oczyścił i jaką pokutą gniew Boży przebłagał!

Oprócz podań ludowych dawnych bez pewnych dowodów, oprócz ustępów autorów, częstokroć zacnych i wiarogodnych: nie mamy źródeł, w których czerpać możemy dochodzenia tajemnicy zimowania ptaków pod wodą; ja sam, mimo że tyle o tém słyszałem, nie zebrałem dotąd żadnego dowodu, a zatem nie mogę nawet uchwycić nitki Aryadny do tego labiryntu, — lecz nie opierając wszystkiego na rozumie, na wszechwiedzy, której nikt nie posiada, odrzucić nie mogę tego, o czém rozumniejsi odemnie nie wątpili; a jeżeli nury i maskonury z pod wody przy biegunach północnych w zupełnym torporze wyciągane bywały i do życia przywracane, a ptaki te mające płuca i tensam obieg krwi, nie pojmuję, dlaczego przypuścić nie można, że inne ptaki w podobnych okolicznościach i miejscowościach nie mogą pod wodą zimować? Mój rozum zgłębiając te tajemnice, wprawdzie na tę myśl wzdryga się i nie znajduje jednego argumentu do poparcia zimowania ptaków pod wodą, lecz znając ogrom tajemnic przyrody, niski stopień naszego wtajemniczenia, mądrość niezrozumianą Stwórcy w urządzeniu i w prowadzeniu olbrzymiego świata, z Arabem wykrzyknę w pokorze: Wszystko być może, Bóg wielki!

Co zaś do letargu ptaków, *organizmem tak do ssących zwierząt zbliżonych*, wyznać muszę, że niektóre dowody i tyle wskazówek prowadzą mnie do wniosku, iż rzeczywiście ptaki jak i zwierzęta w torporze zimować mogą; niektóre używając tu i owdzie okruszynek pożywienia, inne bez obudzenia się do czasu wiosennego słońca i odzycia owadów spoczywają. Przypuszczam naturalnie, że są to wyjątkowe zdarzenia, lecz myślę, że kilkakrotnie na kontynencie co roku powtarzać się muszą; bo jakże inaczej twierdzić, widząc krocie ptaków odlatujących do ciepłych krajów i czytając równobrzmiące raporta o terminach przybycia ich za morza: znowu przypuścić tu muszę, że wielka część ptaków corocznie z drugich zniesień jaj tak późno wyklutą bywa, że podróży już dla zimna i głodu odbyć nie może.

Czuję ja dobrze, iż te wyjątkowe przeznaczenia dla żyjątek téjsamój gromady, tegosamego rodzaju, a nawet i gatunku, które udowodnić usiłowałem: straszliwie razić będą mych kolegów, twierdzących, że pewne gatunki temi samemi prawami rządzone bywają i być muszą, lecz gdy się bliżej przyrodzie przypatrzą — ujrzą wszędzie wyjątkowe egzystencye, spostrzegą, że są tajemnice, których nasz rozum przebić dotąd nie może, i z pokorą wyznać będą musieli, że nam wiele do odkrycia pozostaje; a jeżeli dumny rozum wątpliwości hamulcem zatrzymywać nie będzie dalszych badań, pewnie potomność dowie się o tajemnicach, których dziś ludzkość przypuścić nie chce.

Mimo nienaruszonych, odwiecznych praw, rządzących światem od jego stworzenia, widzimy wszę-

dzie tajemnicze wyjątki, których pojąć nie możemy — i na wargach drga ustawicznie to słowo grzesznego człowieka: *dłaczego?* Jak dzieci nie mogące pewnych myśli zrozumieć, dąsają się i sobą miotają, — tak my, przy szronie na włosach, ogarnięci miłością własną, dufni w naszą wiedzę, wyteżamy wzrok umysłu, a gdy jasno nie stanie przed nami szukana myśl, z niepojętą zarozumiałością utrzymujemy, że jój niema, bo jój nie widzimy!

Letarg w człowieku jest wyjątkowym stanem, a zaprzeczonym być nie może. Ssące zwierzęta w téjsamój gromadzie, czasem w tym samym gatunku: jedne chwilowo w letarg wpadają, inne całą zimę w tymże pozostają, te kiedy niekiedy pożywienia potrzebują, tamte w skośnieniu całą zimę przepędzają bez żadnego żeru; w tym samym gatunku mnożą się niektóre, a towarzyszyki trętwieją w mroźnych porach. Ropuchy polewane lodowatą wodą, lub zamurwane na lat kilka i znowu do ruchliwego życia przywracane, znoszą wyjątkowy stan. Santosy indyjskie zagrzebując się pod ziemię, na kilka tygodni wpadają w stan umarłych. Magnetyzowani i jasnowidzący często w stan nienaturalny wprowadzeni bywają. Moje jaskółki i przepiórki znalezione w Grudniu w stanie skośnienia i przywołane dobroczynném ciepłem do życia, znajdowały się w wyjątkowém położeniu; a czy kto powie, że każde zwierzę ssące przeznaczone na otrętwienie, lub ropucha na kilkoletnie zamurowanie? każdy Indyanin na pochowanie żywcem do grobu? wszystkie przepiórki i jaskółki na letarg zimowy? Czy wszystkich ludzi można przez

magnetyczne uśpienie na równy czas quasi śmierci oddać? W rodzajach motyli i ciem, te wyjątkowe prawidła, normy i zwyczaje odwieczne, są widoczniejsze jak u ssaków. Część tychsamych gatunków znosi jaja w lecie, gąsienice się wykształcają, poczwarki (krizalidy) dojrzewają i w jesieni doskonały owad wylatuje, życia używa, mnoży się: i samiczka na zimę jajka znosi. W tychsamych gatunkach gąsienica przekształca się w poczwarkę — i jako taka zimuje. Jak pojąć i określić ten proceder, gdy widzimy w lecie gąsienice dojrzające do przemian, szukające do słońca wystawionych miejsc, aby poczwarka promieniami ogrzewaną była; a znowu tychsamych owadów poczwarki zimujące, jako takie przez siedm naszych lodowatych miesięcy? Również bywa, że gąsienice w otrętwieniu zimują i na wiosnę, tak jak poczwarki do życia powracają. Twierdzą nawet niektórzy Entomologowie, że motyle: Cytrynka, Osetnik, Pawiak, obydwaj gatunki Pokrzewników i t. d., w otrętwieniu zimują i przy pierwszych promieniach słońca do życia powołane bywają. Wprawdzie własnem doświadczeniem tych spostrzeżeń potwierdzić nie mogę, nie mając dowodów, lecz je przypuszczam, nie mogąc sobie wytłumaczyć pochodzenia motyla przy pierwszych cieplejszych dniach marcowych; przypuścić bowiem nie mogę, aby zimne promienie słońca w Marcu były w stanie ogrzać poczwarkę, nadać jej życie i koloryt, gdy ledwie świeci przez godzin kilka, a ranki, wieczorki i noce zimne, nie pobudzające owadów do życia? Zagadkowych tych zjawiska nie można przeczyć, gdyż się w każdym roku powtarzają. Jakże

pojąć naturę tejsamiej gąsienicy, poczwarki i tegosamego motyla, kiedy jedne wymagają suchego ciepła, jako warunków życia, inne zimę wytrzymują, bez narażenia się na śmieć. W różnych gatunkach much, te same procedery i wyjątki, a zatem jedne owady w otrętwieniu (torpor) czyli letargu przez siedm miesięcy spoczywają, inne zaś prawami nadanemi ogółowi są rządzone i w tychsamych gatunkach. Każdy odpowie, że nie, a w świecie owadów i żuków w tym świecie olbrzymim, a mikroskopijnym, cóż tajemnic, co wyjątków i jakie trudności w odkryciu ich, a przecie istnieją i zadziwiają nas ustawicznie! Każde stworzenie potrzebuje codziennego pożywienia, bez którego zginąć musi, a przecie w każdej gromadzie dziwne wyjątki napotykamy.

W zimie nawalnie śnieżnej, upatrzyłem w zaspie śniegu zajęcia zadętego, który dni 6, to jest przez cały czas trwania tego okropnego czasu, nieruchomie i bez pożywienia odsiedział swą pokutę, i znowu pobiegł za pożywieniem, gdy się powietrze zmieniło; a twierdzić mogę, że często i dłużej te pożyteczne dla nas zwierzątka, bez pożywienia czas zamieci śnieżnych przesiadują w pół-otrętwieniu. Nikt więc wyjątkowych przeznaczeń z przyrody wymazać nie może; nikt wyrzec, że tajemnic niema dla rozumu ludzkiego, a kto z sumiennych badaczy obroni się przeciw zwątpieniu, kto zgłębi prawdę i zbierze rzeczywiste dowody nim wątpić zacznie, ten kroczyć będzie śmiało ku skarbowi tajemnic przyrody.



222653 / 1-2